

BOLESZCZYCE.



**J. I. KRASZEWSKI.**

**POWIEŚCI HISTORYCZNE.**

**V.**



**BOLESZCZYCE.**

Powieść  
z czasów Bolesława Szczodrego.

**T o m I.**



**KRAKOW.**

**Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.**

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.

Krasz-541



W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1986 D 26



*Ukraińskiemu Słowikowi*

JÓZEFOWI BOHDANOWI ZALESKIEMU

ZE CZCIĄ SERDECZNĄ

posyła

D. 3 Maja 1877.

Drezno.

**AUTOR.**



## I.

Było to na wiosnę 1079 roku.

Drzewa już się rozwijać zaczynały, gdzieniegdzie dąb głuchy stał tylko jeszcze z pączkami nabrzękłemi, niedowierzając wczesnemu w tym roku ciepłu, słońcu i pogodzie. Do koła szumiała i woniała Niepołomicka puszcza, wśród niej na zielonéj łące, u strumienia, przy którym złościły się gęsto rozkwitłe łotocie, w cieniu drzew kilku, które występowały z lasu, siedzieli i leżeli na ziemi odpoczywający podróżni czy myśliwcy. — Czeladź ich przy małym ogniu grzała sobie strawę i przypiekała mięsiwo; panowie na pagórku zasiadłszy, gwarzyli między sobą po cichu. Było ich pięciu ludzi, średniego wieku, raczej młodych niż starych, a po odzieży i z twarzy łatwo rozpoznać mógł każdy, że do możnych należeli rodów.

Patrzało im z oczów, że rozkazywać byli nawykli, a choć do lasu przystrajać się nie potrzebowali, wszystko co na sobie mieli dowodziło dostatku i zamięłowania w pewnej wytworności.

Pod samym dębem starym, który stał w pośrodku, z rękami w tył zarzuconemi siedział z odkrytą głową, lat średnich mężczyzna przystojnej twarzy, butnego wyrazu, z jasną, bujną brodą, która mu się szeroko na piersi rozkładała. — Rumiany, zdrów, z oczyma niebieskimi, nosem orlim, na ustach miał uśmieszek, pogardliwy zarazem, wesoły i dumny. Odziany w kaftan skórzany, wyszywany barwisto, na którym drugi, lżejszy wisiał wolno porozpinany, odjął był miecz, złożywszy go na boku, i czapkę przykrył; piersi miał na pół odsłonięte, włos porozrzucany. — Widać, że mu błogo było tak wygodnie wyciągniętemu, na suchej ziemi, mehu i darni, używać wczasu w cieniu. Umieścił się też jak mógł najlepiej, nie wiele troszcząc, jak to będzie wyglądać.

Obok niego siedzący, młodszy z twarzy, a rysami doń podobni, równie byli porozpierani wygodnie, rozkładali się ze swobodą — jedni na pół leżąc, drudzy na rękach głowy złożywszy

Ubiorz wszystkich były krojem i barwami do siebie podobne, z cienkich tkanin, kaftany jednym szyte wzorem, obowiązownie misternie pookowywane, szłyki lekkie futrzane jednego kształtu i szerści.

Po za niemi i około nich porozrzucane były

łowieckie i rycerskie przybory, łuki, lekkie oszczepy, ostre końcówki żelazcami, miecze małe i noże w bogatych oprawach. I te znać z jednego wychodziły skarbu, bo wszystkie były prawie jednakie.

Toż eo o stroju i zbroi powiedzieć było można o Indziach, spojrzawszy na twarze; widać było, że z jednego pochodzili rodu, bo choć w obliczach tych wyraz był nieco odmienny, choć wiek różny, rysy mieli dziwnie do siebie podobne. — Orle ich nosy, ciemniejszych nieco, lub światlejszych odcieni włosy jasne, usta mięsiste, pociągłe twarze, wysokie czoła, wszyscy mieli jednego kroju. — W ruchach też ich było pokrewieństwo, w mowie dźwięki brzmiały tonem jednym.

Była to jedna krew, w różnych rozkwitnieniach stanach — jeden typ urozmaicony odmianami, jakie do nieskończoności umie mu nadawać natura.

Siedzący pod dębem, był widocznie najstarszym z braci, i zdawał się też rej wieść między nimi.

Słońce się już było ku zachodowi skłaniać zaczęło, ale promienie jego mocno jeszcze dogrzewały; gromadka też odpoczywająca nie myślała się ruszać z wygodnej zaciszy, i chłodem a cieplem lasu się rozkoszowała. Pomiedzy nimi stały rogowe kubki podróżne ponalewane miodem i naczynia z wodą, którą ludzie z niedalekiego zaczerpnęli źródła. Niedaleko od nich na łące, pasły się bujną trawą wiosenną, konie zażywe z sierścią

lśniącą, grzywami długimi, suchemi nóżkami, nieco dzikie. — Niekiedy podnosiły głowy, jakby się rozpatrzyć chciały, a te które się napasły, zaczęły się do zabawy i walki wyzywać. Wesołe to były stworzenia, jak panowie co pod dębami spoczywali.

Ludzie nie spuszczały ich z oka, na uboczu siedząc przy dogasającym ognisku, otoczeni zgrają psów, z których jedne leżały, drugie resztek jadła szukały do koła. Na berłach wbitych w ziemię, widać było osadzone trzy zakapturzone i spętane ptaki.

Szum wiatru, rżenie koni, skowyczenie psie, i swary, cichy szept czeladzi, przerywały tylko milczenie. Młoda owa družyna siedziała, jakby odpoczywając po zużyciu, ust nawet leniąc się otworzyć. Czasem który sięgnął do kubka z miodem lub naczynia z wodą, napił się, otarł usta i legł znowu, pół drżąc, na pół czuwając. — Spoglądali na cienie od słońca, jakby wyczekiwali nadechodzącego wieczora.

Choć rażno a butnie wyglądali myśliwcy, nie można było powiedzieć, aby się na ich twarzach odbijało wesele; rycerska ochota była w spojrzeniu, lecz z niepokojem pewnym zmieszana.

Niekiedy wzrok starszego utkwiał w dali nieruchomy, a myśl się widocznie zablakała też daleko od puszczy i doliny. Drudzy dumali również nad wiek poważnie i tęskno.

— A co! czasby może do powrotu? — odezwał się ziewając ten co u dębu siedział, a któremu imie Borzywój było.

— Czegóż się tak spieszyć mamy! — odparł drugi wyciągnięty na ziemi, szczypiąc trawę i wyrwijając drobne kwiatki, któremi był otoczony. — Zwano go Zbilutem, a chłopak był piękny, rumiany i włos miał obfity, złocisty, który mu spadał na ramiona. — Czego się spieszyć mamy? nie nie pędzi, a tu jak u Boga za piecem cicho i wygodnie — człek choć spocznie.

— Pewnie — odezwał się trzeci — łowy też teraz, żal się Boże, nie potem; słońce piecze jak śród lata, zwierz chudy, skóra z niego na licha się nie zdała, darmo się ganiać po lesie.

Ten, który to mówił, Dobrogost było mu imie, do starszych należał i twarz miał zmęczoną, a wyraz jój posepny.

Pozostali nawet się nie odzywali, gdy Borzywój z pod dębu dodał:

— Na służbę do pana przecie warto pospieszyć. aby mu tam tęskno, ani gniewno nie było, żeby którego nie zażądał...

— E! — odparł jeden z tych co milczeli, zwany Odolajem — jest komu nas zastąpić. W lesie człek trochę odetchnie, gdy na zamku we dnie i w nocy spoczynku nie ma.

— Kiedy ci się tak odpoczywać chce — przerwał dotąd milczący Ziema — jedź doma do pana

rodzica, albo do Jakuszowie do dziada — jeżeli stary ślepiec cię przyjmie — a nie było ci się zaciągać na dwór królewski. Kiedyś grzyb, to leż w kosz, o miłym spokoju nie ma co i prawić.

Rozśmieli się drudzy.

— To prawda — rzekł Odolaj — że u nas o pokoju ni myśleć, ni pytać, a jednakbym ci Wawelu na Jakuszowie nie mieniał, ani na Zborów... W Jakuszowicach u dziada ledwiebym się zdał ślepemu na parobka, w Zborowie ojcu na nie, a na Wawelu, u boku pana służąc, choć w pocie czoła, człowiek się czegoś kiedyś dochrapie...

Borzywój się rozśmiał niemal pogardliwie.

— A co my wiemy czego się dosłużemy i kiedy — rzekł. — Albo się dobije który bardzo wiele, albo gorzej niż nie, boć to u nas wojna nieustanna, a co najpewniejsza w niej, to guzy. Niech Bóg da królowi panu wszycko dobre, pan dla swoich i obcych szczodry jako żaden, ale w inną godzinę srogi, zapamiętały, i tak mu łatwo dać skarb, jak głowę zdjąć.

— A no — rzekł Ziema — królem ci jest, to mu przystało. Najgorszy bodaj taki co ni ciepły, ni zimny, bo człowiek przy nim zagnije i roześni się. — Wojennemu rzemiosłu trzeba raz wraz jak w łaźni, to ukropu, to zimnej wody.

— Pewnie — rzekł pierwszy — król musi w dłoni wszystko dzierżeć a krzepko, gdyby cugli popuścił ludziom, roznieśliby go na cztery wiatry.



A co było za Mieszka, gdy król szalał a baśa musiała rządzić?

— Jemu też na sile nie zbywa — odezwał się Borzywój. — Od Bolka Wielkiego pana u nas takiego, jako ten nie bywało... Drży przed nim co żyje i co żywe słuchać go musi...

— Oj! oj, — przerwał Zbilut — nie tak to wszyscy mu się korzą, a bardzo słuchają. Podczas gdyśmy w Kijowie gościli, dużo się wypręgåło i wiele do roboty zostało, póki znowu się w ład wprowadzi. Ho! ho!

— Wszyćko się to zrobi powoli, czekaj — dodał Borzywój — początek już jest, przyjdzie koniec.

— I ja nie wątpię — rzekł Zbilut — gdyby tylko z rycerstwem było do czynienia, z ziemianą i z żonkami ich, co sobie pohulały, gdy im się na mężów czekać sprzykrzyło — dawnoby już koniec temu był — ale się biskup wdał... a to już bieda, kiedy z szablami trzeba pod próg kościelny, i z tym panem do boju, który ma za oręż łaskę krzywą, co jej nie odbić mieczem, a na głowie mitrę jak królik jaki. W kościele on też królem.

Namarszczył się Borzywój i westchnął.

— Bodaj żeby i wszędzie po całej ziemi oni królami być nie chcieli, a królów za namiestników swych nie trzymali. — A no z biskupem jednym radaby może łacniejsza była — mówił Dobrogost — choć i to człek twardy i uparty — gorzej, że

poza nim stoi dużo władyków i rycerstwa, którzy wolą księdza w rękę całować, niż królowi się pokłonić... Tym w gębie wędzidło nie smakuje, jużci im lepiej z rąk biskupów panować, niż królewskie spełniać rozkazanie...

— Kiedyś też z niemi się przyjdzie rozprawić -- rzekł Ziema — do tego się gotuje i musi dojść. Próżno ich biskup zasłania... a i z tym biskupem.

Rozmowa ta chmurami twarzę powlokła.

— Co tam o tém naprzód prawić! — odezwał się po chwili Borzywój na pół ziewając. Kto wie, co się stać może, my jedno znać powinniśmy. — Wszysey, jako tu stojemy, Boleszczyce jesteśmy. Przewano nas tak drużynę pańską, jakby na uragowisko, dla tego, że przy królu Bolesławie stoimy — my się chwalimy tém imieniem, żeśmy Boleszczyce, prawi słudzy jego! Znajmyż to, że gdy skinie, my za nim w ogień czy w wodę!

— W ogień i wodę! — zawołali wszysey — a Zbilut dodał śmiejąc się:

— A jak na Biskupa skinie!

— To co? — odparł Borzywój — my swój woli nie mamy, tylko jego, ja pójdę kędy powie.

Drudzy zmilezeli patrząc po sobie.

— E! — cicho przebaknął Ziema — gdyby się jednak z biskupem mir złożył, lepicjby było. — Bodaj księdza nie zaczepiać. Mają oni takie siły i moc, której żaden król nie ma. Prawda, że król żelazny i męzny, ano i ten twardy, kamienny, bo

czuje po za sobą nietylko władyków, ale anioły i świętych!!

— O świętych i aniołach co my tam wiemy, prości ludzie — rzekł Borzywój — dosyć tego, że ma za sobą duchowieństwo i biskupów naszych, i tych co w Rzymie są i gdzieindziej! Wszyscy się oni za ręce trzymają. Nawet proboszcze, którym teraz żenić się zakazują, muszą iść jak żołnierze posłuszni.

— To co — odparł Zbilut — przecie ich tam lik nie tak straszny, a ludzie do boju nie wprawni... Ja mówię, przyjsz do tego msi, że się z nimi wyrąbać będzie trzeba...I, czém prędzej tém lepiej. — Cóż to jest? król co na Rusi zwycięzcą był, na Węgrzech panem, wszędzie gdzie doszedł, rozkazywał, żeby w domu panem nie był?? Za się!!

— Czekaj! — rozśmiał się Borzywój. — Nie znasz chyba Bolka, będzie on i donia panem — byle czas miał.... Myśmy od początku jego panowania gośćmi w domu, nie było się czasu rozpatrzeć. Królowa albo namiestnicy siły nie mieli, wszystko się rozlazło i rozpuściło.... Teraz gdy król sam na swoich śmieciach, zrobimy porządek, zrobimy!

Zbilut w żart to obrócił.

— Naprzód około żonek trzeba zrobić porządek... niech nam król zda to na ręce...

— Cha! cha! — rozśmiał się Ziema — tybyś

naprzód poszedł ład zaprowadzać u Krysty, u samego króla, ty jakiś!!

— A no! jeszczeby się tu kto znalazł może, coby się tego samego podjął! — mruknął Borzywój. Tymczasem cień się długi wyciągnął, do koni!

— Do koni!

Wszyscy zwolna ze swych legowisk się ruszać poczęli, skinąwszy na ludzi, którzy zrywali się szybko biegnąc na łakę, gdy odjazdu znak dano a psy za nimi pobiegły, wesoło się przeganiając, aby pasące się pochwycić wierzchowce. Te, choć popętane uciekać nie mogły, rwały się i skakały.

W milczeniu młodzież przypasywała mieczyki. Każdy broń swą rozpoznając brał z kupy, głowę nakrywał, kaftan zapinał. Niektórzy kubki dopijając, chowali je do worków u pasa.

Gotowano się tak do odjazdu, gdy po drodze, co nieopodal wybita szeroko szła lasem ku Krakowu, zatętniało zdala. Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę, z kąd głos przychodził, schylając się, aby pod gałęzmi zobaczyć przybywających... Liście jeszcze nie puściły były wszystkie, więc z za nich drogę dobrze widzieć było.

Milczeli pospieszając poprzypasywać miecze i łuki mieć w pogotowiu, choć żadnego nieprzyjaciela obawiać się nie mieli powodu.

Tentent zbliżając się, poczynął mieszać z gwar-  
ną rozmową kilku jezdnych...

Borzywój, który naprzód najdalej się wysunął, dał znak ręką braciom, i odwróciwszy się szepnął ku nim.

— Mścisław z Bużemina!!

To mówiąc rozśniał się szydersko.

— Czyby go nie pozdrowić — boć to zasłużony człek! — złośliwie, z przekąsem rzekł Zbilut do braci.

— Od nas, Boleszczyców poznałby się na drwinach — odczuwał się drugi — dać mu pokój. — Ma on i bez tego zgryzoty dość.

Wszyscy ciekawie zaglądali, chcąc się przypatrzeć zapowiedzianemu.

Droga szła tak blisko od ognia i miejsca, na którym stali Boleszczyce, iż pominąć ich, nie widząc — nie było podobna.

Wszyscy jeszcze podsunęli się o kilka kroków naprzód i stanęli niemal wyzywająco. W boki się pobrali, twarze nastroili butno a szydersko, czapki pokładli na głowy przewiesiwszy je na ucho. — Strasznie zaczępnie i zwadliwie im z oczów patrzało.

Wtém na drodze orszak jezdnych się pokazał. Przodem ich jechało trzech; rycerz lekko zbrojny, ciemnych już, siwiejących nieco włosów, twarzy rozgniewanej, pochmurnej, smętnej — mąż w czerni wyglądający na kapłana i młode pachole wesole, zręczne, z wesołemi oczyma.

Za niemi szło ludzi zbrojnych sześciu, wiozących broń i w sakwach zapasy podrózne.

Ten, który się dowodzić zdawał, nazwany Mściśławem z Bużenina, choć wyraz jego rysów gniewny stan duszy malował — w innych ludziach obudziłby raczej politowanie niż szyderstwo, tak z oczów i czoła głęboki w nim panował smutek.

Gdy nadjeżdżającym pokazali się ci, co nad drogą stali, zachnął się nieco Mściśław, brwi zmarszczył, usta mu się zatrzęsły, ręka zdawała się szukać czegoś; oczyma powiódł po ludziach swych, ale wnet, jakby ochłonawszy, koniowi popuścił cugli, uderzył go, pospieszał. — Mijając wszakże Boleszeczyców, wejrzenie gróźnie, śmiałe skierował ku nim, jakby chciał dowieść, że się ich nie lęka...

Ręką się wziął w bok i tak ich mijał, jakby żadnego nie znał.

Ani Boleszeczyce, ani ów podróznny, którego oni Mściśławem z Bużenina nazwali, cicho między sobą żarty zeń strojąc jawne — nie myśleli się pozdrawiać. — Oczyma się mierzyli, ścigali z pogardą i gniewem, lecz ni z jednej, ni z drugiej strony wzrok sobie nie chciał ustąpić.

Widać było, że mało co brakło, by się nie rzucili na siebie.

Pan z Bużenina konia zrazu podpędził, potem namyśliwszy się, strzymał go umyślnie, stępując mi-

nał jadąc Boleszczyców i czeladź ich, która z końmi nadciągnęła. — Dopiero gdy cała gromadka o kilka kroków odjechała, a Mściława plecy tylko już widać było, w kupce stojących nad drogą, parsknęły śmiechy głośnie, dojmujące, szyderskie.

Zdawało się, że Boleszczyce z niemi wybuchli naumyślnie, popisując się z hałaśliwą wesołością, zanosili się rozlegającymi śmiechami, jedni po drugich, i co który ustał, poczynął inny, a reszta mu wtórowała.

Jeźdźcy odjechawszy nieco gościńcem, stanęli, jakby się namyślali, czy mają upomnieć o zniewagę; słychać było głos mężki gniewny, i drugi duchownego, który hamował i uspokajał. Boleszczyce stali nieulęknieni, niewzruszeni, brali się tylko do mieczyków, poglądając po sobie, lecz po chwili, tentent koni powolny oznajmił, że jeźdźcy dalej ciągnęli w milczeniu.

— Nieboszczyk mąż pięknej Krysty! On sam! poznałem go zdala! — odezwał się Borzywój — On sam!

— On! on! — potwierdzili inni — ale jakże zestarzał.

— Słyszę teraz żonę dopiero kochać strasznie poczał, gdy mu ją król wziął — mówił Dobrogost — rady sobie po niej dać nie może....

— A tybyś lepszy był, gdybyś ją miał i wzięto ci ją?? — rzekł Zbilut.

Zapytany nie odpowiedział.

— Zważaliście — rzekł Borzywój — wszakci księdza z sobą miał! Ani ruszy teraz bez nich.— Ten co z nim jechał, przy biskupie jest w Krakowie. Mściśław téż teraz u biskupa pierwszy sługa, popycha go gdzie zechce.

— Jać bo mówiłem — powtórzył Zbilut — komuby taką żonkę wzięto, ten szukając ratunku, nie z biskupem a z djablemby gotów się pokumać!

Ofuknął nań Borzywój oglądając się.

— Cichobyś był, w drodze pod noc takie lichowspominać!

— Sam sobie winien — głupi człek — dodał Ziema — nie przyszłoby do tego, żeby rozum miał...

— Cóżby mu rozum pomógł? — odezwał się drugi.

— Nie zaszkodziłby — mówił Dobrogost. — Tyś na to nie patrzył jak my, a gadasz, myśmy świadkami byli, wiemy jak sprawa szła; — nam nie tobie sądzić o tém. — Tyś jeszcze podówczas, czy w Jakuszowicach, czy w Zborowie za łaniami latał...

— A nauczcież miłościwie, jak to było? — rzekł młodszy — ciekawym.

— Naprzód głupi człek — mówił starszy — że taką śliczną, młodą żonkę, wystroiwszy jak łątkę, przywiózł na okaz na dwór królowej, jakby mu pilno się nią pochwalić było. — Doma ją trzymać



winien był za zasuwą i nie pokazywać nawet ro-  
dzonemu bratu...

Toéto śliczność jest, jakiéj drugiéj niema.

— Prawda! — potwierdził Zbilut gorąco —  
dziś na zamku ona królową, i gdzie się pokaże,  
królowa... Człekby za nią w ogień i w wodę  
skoczyć gotów!

— Król téż nie mnich — mówił pierwszy —  
aby sobie oczy zakrywał, gdy mu hoże liczko  
wpadnie do oka... Jak ją raz zobaczył, spokoju  
nie miał, póki znowu jéj nie widział. Mnie dziw  
tylko, że ją pierwszego dnia puścili z zamku! —  
Ile nas było wówczas, szeptaliśmy sobie — król  
ją weźmie. — A co za dziw? Królowa nie młoda,  
zajęta synkiem, a hożą taki nigdy nie była jak  
ta... Czy to królowi nie należy się najpiękniejsza  
w królestwie niewiasta, jak na wsi panu??

Mściśław zmiarkował od pierwszego razu, że  
król mu się coś do żony bardzo swatał, bo od  
niéj cały dzień nie odstał. — A i Krysta nie była  
od tego; co król, to król, lepiej być królewską  
kochanką, niż ziemianina żoną. Wywiozł ją mąż  
do Bużenina, toć przecie nie za światem. Pojecha-  
liśmy w tamtą stronę na łowy, dobrawszy taką  
porę, kiedy pana doma nie było. — Zmiarkowali  
zaraz wszyscy, o co królowi szło. Byłem z uim,  
gdy do dworu przyciągnął, musiała żona wyjść  
przeciw, bo gospodarza nie było... Król się nam  
obozem kazał rozłożyć w podwórzu, a sam do

dworca szedł i został tam dzień jeden i drugi. — Drugiego dnia już wszyscy wiedzieli, że ją z sobą wywieziemy. Młodzintkie stworzenie dało się wziąć jak kuropatwa, kiedy jastrząb nad nią zawisnie. Płakała niby i opierała się wrzekomo, a śmiała drugim oczkiem i szła bez przymusu... Trzeciego dnia jechaliśmy do Krakowa, upolowawszy jeno Krystę, ale ta nam za najlepszą stała zwierzynę. Król ją na zamku we dworcu posadził osobnym i pilnuje jak oka w głowie.

Stał się dopiero srogi krzyk i wrzask a gwałt! Jakby królowi nie wolno było mieć miłości? — jakby to ich Mieszkowi bronila Dubrawka, albo Bolko Chrobry nie chował ich we dworze, ile mu się chciało? — jakby to cesarze i panowie tego samego nie czynili co dnia?

— Tać — rzekł drugi cicho — niechby był brał jaką chciał, tylko nie ziemianinowi żonę. — Drndzy tego nie czynili.

— Kto tam wie! — ciągnął dalej opowiadający — bywało różnie, wrzawy takiej dla jednej niewiasty nie podnoszono. Biskupowi, co do króla zęb miał, było to na rękę. Wziął się sam za tę sprawę i począł grozić...

Ale król się z niego i z grózb tych śmieje — a Krysta na dworze została i siedzi.

— Czego bo od niego chcą i biskup i królowa — przerwał Ziema — alboby lepiej było, żeby królowę odprawil, a drugą sobie wziął natomiast?

Przecie się matce Mieszkowej krzywda nie dzieje, bo jój wszyscy cześć oddają.

— Dość bo już tego mléwa, z którego tylko otręby — krzyknał Borzywój ruszając się. — Na konie czas siadać! — mała rzecz a gadanina bez miary. Biskup z tego straszne rzeczy robi, bo mu tak trzeba; przez Mściława wszystkich władyków i ziemian burzy, że już żon i córek swych nie są bezpieczni. — Jak królowi doje, to co się dziś śmieje, burknie, nie daj Boże z nim wówczas rozprawy, nie daj!

— Gdyby Biskup nie był Biskupem — dodał Ziema cicho.

— Jakby to biskup nie był człowiekiem, jako my? — odparł Borzywój.

— I téj ziemi ojczycem, a nie żadnym Włochem lub Francuzem, jak inni, bo do tamtych, co ich papież z Rzymu przysyła — król takiego prawa nie ma — rzekł Zbilut.

— Pewnie! — potwierdzili inni — toć ze Szczepanowa jest rodem.

Po chwili Zbilut w oczy starszemu spojrzawszy, szepnął mu ciszej:

— Nie godzi się to może panu bratu starszemu przymawiać, ani go drażnić — anobym rzekł, że sprawy królewskiej tak broni; bo i jemu Kryście w oczy zaglądałby się chciało!! Ej! ej!

Borzywój namarszczył się i pięść mu ściśniętą pokazał.

— Milczałbyś ty, gołowaśie jakiś, co mléko masz pod nosem! Dam ja ci! dam!

Zbilut pokorną zrobił minę, głowę w ramiona schował, a z pode łba uśmiechał się do braci — tylko starszemu w oczy spojrzeć nie śmiał.

Drudzy téż na starszego spoglądając, wszyscy się po troszę śmieli i poprychiwali.

Borzywój, choć tak srogą twarz był przybrał zrazu, sam téż nieco usta krzywił i nie nie mówiąc, zabierał się do drogi.

Podawano konie, które czeladź już dawno w pogotowiu trzymała pokielznane i popodpinane.

Wszyscy ujmując się grzyw, skakali na nie rażno, choć im nikt ręki nie podawał. — Żwawe wierzchowce rwały się zaraz z miejsca, tak że je ledwie utrzymać było można.

Czeladź pościągawszy reszty sakw podróżnych i przyborów, natychmiast dosiadła swoich mierzynów, puszczając się za panami, tą samą drogą, którą jechał niedawno Mścisław z Bużenina, ale w stronę przeciwną.

Słońce, chociaż już dawno było z południa, jeszcze na niebie kawał przebiecz miało do zachodu — ale już upał wiosenny się zmniejszył — chmurki je przycieniały i powietrze było do oddychania lżejsze,

Aż miło jechać było, i Boleszczyce nie spiesząc, przebywali skraje puszczy, pod sam już wieczór wydobywając się z niej w żyzny kraj ku

Krakowu. Tu też ruch na gościńcu zaczynał być znaczniejszy coraz, spotykali więcej wozów, konnych i pieszych ludzi.

Wszystko to na widok jadących, którzy z czeladzią, psami i ptakami, całą szerokość drogi zajmowali, zdawa już ustępowało przed nimi, zsuwało się na kraje, picisi stawali, kłaniając się do ziemi, bo w nich królewską drużynę poznawano.

Boleszczyce, jakby byli w swoim prawie, nie myśleli ustępować ani się ścisnąć dla nikogo — wozy nawet musiały przed nimi zjeżdżać na role. Psy uganiały się swobodnie za owcami w polu, a odpędzić ich nie śmieli pastusi... Była to królewska drużyna.

Ludzie i niewiasty niewolne, zdawa na pole zbiegali, by się z nią nie spotykać.

Nad wieczorem już za lasem byli w otwartym miejscu, gdy zdawa ukazał się naprzeciw nich jezdny orszak, który też zajmował drogę całą... Borzywój, gdy się nieco zbliżyli, wpatrzywszy się weń, oczyma dał znak swoim braciom i czeladzi, ażeby nie ustępowali.

Zdawa widać już było ludzi konnych i zbrojnych, skromnie poddziwianych z cudzoziemska.— Liczba ich nie przechodziła gromadki Boleszczyców z ich czeladzią.

— To biskupi dwór i słudzy — odezwał się Borzywój półgłosem — ja ich znam, musi ktoś jechać z jego pobocznych, jeśli nie on sam...

dokąd? kto wie. — A no, mniejsza o to, choćby i sam Biskup był, czego mamy mu ustępować! albo nie jesteśmy królewską družyną?

— Nie ustąpić pewnie — zawołał Dobrogost.

— A no, nie! nie! — zaczęli powtarzać inni, mając się już do oręży. — Oczy się im zapalać zaczęły.

— Nie przepuścimy — powtarzali.

Dwa orszaki coraz się ku sobie zbliżały. Z drugiej też strony musiano poznać, z kim miano do czynienia; ludzie się nieco zatrzymali, zwalniając kroku, jakby dla narady, co począć mieli.

Tylko jeden przodem jadący na nic się nie zdawał uważać, wyprzedzając tych, co mu towarzyszyli,

W milczeniu, ściśnięci, ławą jechali Boleszyce, oszczepy trzymając w ręku, ramię do ramienia, w bok się biorąc, i butę okazując straszliwą...

Jeden drugiemu oczyma odwagi dodawał — spoglądali na czeladź, aby ją utrzymać w porządku. Borzywój niby wódz zajął miejsce w pośrodku i postępowali zwolna, ale tak, jakby na nieprzyjaciela uderzyć mieli.

Z tamtej strony ciszéj, spokojniéj szli ludzie, jakby pewni byli, że się im nic stać nie może. — Patrzali przed się nieulękliwie wcale, nie okazując żadnego wrażenia.

W pośrodku ich jechał na koniu kapą okry-

tym mężczyzna lat średnich, pięknej postawy, wspaniałego oblicza. Wierzchowiec jego spokojny, nie świecił żadnemi ozdobnemi rzędami, ani wiśladły; na sukni też czarnej, którą on sam był odziany, oprócz krzyża na piersi nie więcej widać nie było. Twarz nie potrzebując oznak innych dostojności, znamionowała męża co się czuł silnym i nad pospolity tłum wzniesionym wysoko.

Wejrzenie miał, które raz zwrócone na człowieka, zmuszało do poszanowania i trwogi, nie żeby gniewne było, albo surowością zaprawne, ale majestat z niego promieniał i siła jakaś niezwyciężona. Piękne rysy osłaniał pokój niewzruszony...

Jechał zwolna powstrzymując konia, jakby chciał dać czas do namysłu tym, co mu drogę zastępowali.— Czeladź otaczająca go, choć zbrojna, nie spieszyła z żadną oznaką, jakoby gościniec sobie miała torować siłą; jak on sam, zdawała się pewną, iż broni użyć nie będzie potrzebowała.

Borzywój mocno się nasrożywszy, gdy oko w oko stanął z jadącym naprzeciw, widocznie się zawahał, rzucił wejrzeniem gniewnym, lecz—stało się to sam nie wiedział jak — ustąpił w bok, konia ściągawszy gwałtownie i szparko, tak, że na tylnych osadził się nogach. — Inni też zobaczywszy to, ruszyli nieco z miejsc, tak, że dla orszaku biskupiego pozostał wolny wązki przesmyk, mię-

dzy dwoma kupkami ściśniętych Boleszczyców, jakby go między siebie wziąć i osaczyć chcieli.

Nieulękniomy biskup konia potracił nogą i wjechał w tę gromadę zwolna, nie spiesząc wcale, ani się troszcząc o to, co się z ludźmi jego stanie. Ci za przykładem pana jechać środkiem chcieli, gdy, Biskupa przepuściwszy, Boleszczyce się ścisnęli groźnie i pozostała czeladź musiała, pana samego zostawiwszy, zjechać na bok z gościńca w pole, przyspieszając kroku, jakby uchodziła. — Młodszy Boleszczyce na widok nieładu, który powstał między orszakiem Biskupa, w głos szydzić i śmiać się zaczęli.

Po twarzach ludzi towarzyszących Biskupowi, widać było złość i oburzenie, nikt się z nich jednak porwać pierwszy nie ważył na królewską drużynę, a Biskup wolnym krokiem przejechawszy przez rozstępujących się, i głowy nawet nie zwrócił, aby zobaczyć, co się po za nim działo, tak się zdał pewnym, iż się ani jemu ni czeladzi nic złego stać nie może.

Tą powagą i wejrzeniem pełnem ufności w swą siłę, zmusił on królewską drużynę do cofnięcia się przed sobą. Borzywój i oni wszyscy ani wiedzieli jak się to stało, iż ustąpili. Sami na siebie gniewni byli, a czuli, że ich do tego skłoniła jakaś potęga, którą uczuli spotykając ten wzrok królewskim majestatem zbrojny.

Zaledwie się to stało, Boleszczyce ochłonawszy



obejrżeli się za siebie naśmiewając i szydząc, a w istocie chcąc pokryć wrazenie, którego doznali, niektórzy ręce zbrojne popodnosili do góry. — Biskup nie widział tego, gdyż wzroku nie zwrócił ku nim, towarzysze tylko ze szmerem oburzenia dognali go, oburzeni i gniewni, ale wkrótce na zakręcie drogi znikł im z oczów poczet cały.

— Czegóżeś mu z drogi ustąpił! — zawołał Dobrogost do Borzywoja — byłoby mu stanąwszy zaprzec gościniec, a nie zjeżdżać w bok... niechby on był zmuszony cofać się przed nami, a nie my przed nim!

— Albo ja wiem, co się z moim koniem stało! — odparł Borzywój — uląkł się i w bok żachnął, nie pospiałem go strzymać.... Zresztą Biskupem ci jest! a nie ustąpiłem się dla niego... tylko...

— Tylko dla czego? — rozśmiał się Dobrogost.

— Aby ludzi mu wprawić w zamieszanie — Na gościńcu się z nim rozprawiać nie nasza rzecz.

— Spojrzałeś ty mu w oczy? — odezwał się Zbilut.

— Cóż myślisz? pewnie — wzrokubym się nie uląkł nieczyjego! — wołał Borzywój.

— Ale srogo patrzy jakoś, aż mrozem ścina — wtrącił Ziema. — Ciarki po mnie poszły, gdy mijając go, oczy spotkałem.

Inni się nie przyznawali, starając pokryć wrazenie żartami i szyderstwami. Oglądano się jeszcze, ale już tylko tuman kurzawy widać było za niemi.

Słońce zapadało, wśród wesołych chmur, pomalowanych dziwnie czerwono, złocisto, pomarańczowo i fioletowo... W górze obłoczki, jakby fręzlami oszyte, rozpinały się po niebieskiem tle niebios. — Ptastwo uwijało się gromadami w powietrzu, zabierając pospiesznie do spoczynku — mrok już z drugiej strony niebios nadchodził.

Jechali jakiś czas w milczeniu posepném.

— Wyznaj Borzywój — szepnął Ziema — i tyś go się uląkł jak ja! Ani ci się dziwię. Ten ci to sam, co Piotrowia zmartwych wskrzesił na świadectwo, nie trudno by mu więc było żywych martwemi uczynić, gdyby chciał. — Ja wołałbym go ani widzieć, ni zaczepiać....

— Pewnie — szepnął starszy po długim przestanku. — Jak mam przeciw sobie żelazo i strzały, wiem z kim walczyć i co mi grozi, a z temi co niewidzialną siłą mogą zabić lub wskrzesić — jak tu wojować! Wołałbym, żeby i król z nim pokój zawarł, ale pono po czasie o tém myśleć. Biskup srodze rozjątrzony, odgraża się na pana, iż go precz wyżenie...

Wszyscy księża mówią teraz, że do tego doprowadzą króla, iż jak cesarz papieża niedawno, on biskupa w nogę będzie musiał całować.

— Cesarza ja nie znam — dodał pomilczawszy Borzywój — ale króla do tego zmusić — bodaj ciężko będzie.

Spojrzeni po sobie głowami potrzęsając Boleszczyce i westelnęli.

— Co o cesarzu prawią, że mu papież nogę na karku postawił — przebaknął Zbilut — to tam baśnie być muszą, które klechy roznoszą, aby straszyć świeckich ludzi.

— Nie bajki, — zaprzeczył Borzywój — sły-  
szałem o tem od króla nieraz. Śmiał się z cesarza mówiąc:

— Gdybym ja cesarzem był, rychlejby m ko-  
ronę postradał, niż cześć moją.

Gwarzyli tak jeszcze jadąc, gdy się w dali na boku od gościńca pokazał dworzec znaczny, ostrokołami i drzewy otoczony. Na wyjaśnionych niebiosach drzewa i zabudowania ciemną się masą malowały, wśród której otwarte okna i drzwi silnie oświecone błyskały jak ogniska, w podwórzu zaś smolne stosy i beczki pozapalane, łuną szeroką okolicę zalewały... Zdawało się jakby gorejące drzew wierzchołki i unoszące się w górę krwawe od płomieni dymy, iskrami natykane.

— Hej! hej! — zawołał wesoło Dobrogost —  
wszak ci to chyba się król tu zabawia, na swym  
wiejskim dworze, bo któżby inny!

Ruszyli wszyscy ochoczo pokrzykując...

— Król nasz! król!.... dobrze się nam go  
spotkało! A no żywić!

Kłusem puściła się cała gromadka, przyspieszywszy kroku.

Im się bardziej zbliżali, tém światło większą łuną na nich biło; wrzawę, śpiewy, gęśle słychać było coraz donośniejsze.

— Król bez wątpienia... powtarzano.

— I wesoło tam około pana naszego — mówili — w dobry czas ku wieczery przybywamy. Ani chybi téż z królem Krysta być musi, a kto rad się jej uśmiecha, choć w oczy jej zajrzy...

Z wesołemi śmiechy i okrzyki, Boleszczyce się ku wrotom zbliżyli, gdzie czeladź stała liczna — dalej konie powiązane do żłobów stojących w dziedzińcu rzędami. — Inne czeladź w rękach oprowadzała.

Przez okna, których otwarte okiennice na oścież stały, w środku widać było pochodniami oświecone izby, z których wesołe śpiewy i brzęczenie muzyki dochodziło.

Zaledwie Boleszczyce w dziedziniec wjechali, zewsząd ich pół-głosami witać poczęto. — Tu téż dla czeladzi prawdziwie królewską ucztę zastawiono. Beczki stały gęsto, kubki i ezerpaki przy nich, chleb leżał stosami, sery bieleły na słomianych matach i woń piezonego mięsiva rozchodziła się do koła.

Drzwi i okna oblegała czeladź i dwór strojny i zbrojny bogato, ludzie oreźni w pięknych sukniach.

Tuż pod złocistém okryciem aż do ziemi spadającym, dwóch ludzi zwolna przeprowadzało pię-

kną klacz ulubioną królewską, którą Orlicą zwano. Około niej z wielką pieczą i troskliwością kręcili się ludzie chleb jej z rąk podając, to podstawując napój — ale ona obojętnie gardzić się zdawała.

Niewielkiej miary, siwo jablłkowita, z polyskującą sukienką, czarnemi kopyty, nozdrzami różowemi rozdartemi, czarnemi wielkimi oczyma, długą grzywą jedwabną i ogonem jak kosa zaplecionym wstęgami złotemi — królewska faworyta zdawała się wiedzieć do kogo należała. Szła dumnie nie dając się pociągnąć, zatrzymując ludzi, podnosząc głowę czasem i rżeniem zdając się okazać niepokój i znudzenie.

Gdy się ten głos ozwał w dziedzińcu, naówczas konie, które u żłobów stały, rwały się, rżały, mieszały i całe podwórze rozlegało temi końskimi rozhowory, które śpiewy i gędkę głużyły...

Orlicę jak królowę tego stada, otaczał dwór jej własny, miała nawet namiot osobny, w którym spocząć mogła gdy chciała na świeżo podeślaną słomę, wśród kublów z wodą, naczyń z owsem i wonnego siana.

Boleszczyce witani wesoło, posiadali z koni, pościągali suknie, pozapinali kaftany, pooddawali części uzbrojenia czeladzi, i wprzód nim weszli do środka, przez okna starali się przypatrzeć obrazowi, który ztąd wewnątrz dworu przedstawiało.

W izbie długiej, niskiej, a niezbyt szerokiej, którą stojący przy ścianach pacholłowie oświe-

cali, — widać było ustawiony stół długi, okryty obrusami szytymi na rusi wzorzysto, zastawiony naczyniami srebrnemi i złotemi. Konwie, dzbany, kubki, misy, wszystko było z tych kruszców grubo knute i świeciło a lśniło się w ogniu blasku. Mno-gość tych naczyń prawdziwie królewska, dziwiła ciekawy tłum, który cisnąc się do okien, przypatrywał pańskięj biesiedzie.

Nie odpychano gawiedzi, bo król łaskaw był dla prostych ludzi, niekiedy aż do zbytku, tak, że ziemianie i rycerstwo za złe mu mieli, iż więcej niemi się opiekował, niż temi, co z nim i za niego krew przelewali. — Widać było ze swobodnych śmiechów i ruchów tych gromad, że się tu czuły jakby u siebie, i wcale królewskiego dworn, jego ciwunów i sotników nie lękały.

Na szerokięj z poręczem ławie, obwieszonęj suknem bogato, siedział na podwyższeniu lat średnich mężczyzna, ciemnych oczów, włosy i brody, którą nieco postrzyżoną nosił, w sukni z jedwabiu złotem szytęj, ze sznury i kutasy złotemi, bramowanęj bogato. Na szyi miał gruby łańcuch, pas na biodrach szeroki i mieczyk przy nim kamieniami sadzony. — Na głowie przechylony siedział szлык szkarłatny z futerkiem. — Nogi miał obcisło suknem okryte, z niechcenia założone, jedna na drugą, oznte bntami czerwonymi ze złotemi skówkami na nosach.... Siedział rozparty wygodnie,

rękę jedną na poręczy trzymając, drugą wyciąguawszy ku pięknej niewieście, którą miał obok siebie.

Twarz jego, choć zmęczona, piękną jeszcze była, nadewszystko dumy, siły, namiętności i ufności w siebie pełną. — Króla w nim znać było zdala, nienawykłego ustępować nikomu, Gorzały ogniem jakimś wewnętrznym rozplamienione, żywo biegające oczy — usta wydatne, wydęte były i mięsiste, policzki okrywały rumieńce silne, czoło miał wyniosłe, nos orli z nozdrzami rozdętymi.... Po twarzy widać było gdzieś krwią wzdęte żyły, zdające się skórę podnosić, jakby im pod nią ciasno było. Z królewską dumą na twarzy tej łączyły się królewska ludzi pogarda i pycha niezmiierzona. Młode i zdrowe lice, życie i trudy jego już pofałdowały były i zmięły, wyciskając na niem ślady burz, przez które przeszło zwyciężko.

Oczy czarne czasami zmrużał dziwnie, niekiedy usta oddymiał, srożył się i marszczył, na chwilę prawie spokoju nie dając obliczu swemu. Biegały po niem prądy różne i widome dla wszystkich, bo się z nimi ukrywać nie chciał i nie potrzebował.

Gniewy, radość, szyderstwo, oburzenie, zniecierpliwienie, przelatywały jak chmury po niebiosach, mieniały się, nikły, wracały, tak, że kto chciał czytał w tej twarzy na oścież stojącej, co się działo w duszy pana.

A twarz to była, jak kwietniowych dni niebo zmienna, błękitem naprzemiany, obłokami czarnymi, chmurkami białymi, oponami szaremi, słońcem wesołym i złocistym malowana, której poranek nie ręczył za wieczór, a burza nie trwała dłużej pogody... Piorun mógł z niej uderzyć niespodziany, a w chwilę potem mogły się otworzyć spokojne błękity...

Od dziecka niemal pan, żołnierz, wódz, zwycięzca; co rozdawał trony — był nieuleknionym i nie rozumiał może, iżby dlań co niepodobnym być mogło.

Niewiasta siedząca przy nim, piękna i młoda, na twarzy czcze niemal dziecinną, miała wyraz zalotności wyzywającej, śmiałej, nie wstydzącej się weale, naiwnej.

Białej pści, z małym rumieńcem, nieco blade, czarnymi wielkimi, wesołymi oczyma z pod ciemnych łuków brwi, patrzała w króla jak w tęczę. Małeńkie jej usteczka uśmiechały mu się lubieżnie, a w uśmiechu białe pasy zębów śnieżnych przeglądały. — Ciemny włos rozpuszczony miała na ramiona, które się od niego bielsze jeszcze wydawały.

Niebieska sukienka ze złotem szyciem, ciasno obejmująca kształty ciała, pokryta była drugą szkarłatną w fałdach bogatych osłaniającą ją, od niechcenia rzuconą... Na piersiach, głowie, ramionach, rękach, u pasa, złote ozdoby świeciły



i wyglądały, gdzie tylko się mogły umieścić. — Strojną była do zbytku, chciała być piękną i wyglądać po królewsku, choć na to się tak bardzo stroić nie potrzebowała. — Młodość jej była pełną uroku, świeżość wdzięku, który gasił wszelką urodę niewieścią, coby z nią chciała wystąpić do walki.

Król jedną ręką spierał się na białem jej ramieniu i z rozkoszą patrzył w czarne jej oczy, rozjaśnione weselem dziecinnem. Śmiała się jemu, światu, życiu, wszystkiemu na co patrzała, mężczyznom co przechodzili, złotym dzbanom, pochodniom i nocy pogodnej, która oknami zaglądała. Ani wstydu, ani uczucia innego nad to roztrzęsione wesele nie widać w niej było. Smutnemu panu ten śmiech perłowy musiał serce zastygłe rozgrzewać.

Tuż za tą królewską parą stało kilka niewiast młodych, pięknych, strojnych, wesołych także, szepczących poufnie między sobą, śmiejących się i chichoczących ciągle, spoglądających śmiało po mężczyznach, którzy króla otaczali.

Piękne te niewiasty zdawały się dobrane, aby i wesołość pani i jej wdzięczną twarzyczkę, jeszcze weselszą i wdzięczniejszą czyniły. Przy niej wydawały się tak gminne, pospolite, jakby z innego pochodziły świata.

Ich srom nawet był od jej zalotności bezwstydniejszym.

Dwór męzki, który króla otaczał, składał się z samych młodych i rycerskich postaci. Niektóre z nich ledwie się zdawały wychodzić z dzieciństwa i puszek ledwie się im na brodzie i na policzkach wysypywać zaczynał. Wszyscy oni błyszczeli od złota i bławatów, przepyszenie strojni — i znać lubujący się w wytworniej odzieży — wszyscy mieli twarze wesołe, usta uśmiechnięte, trochę pańskiej dumy na lieu i buty dworaczęj.

Ani jednej siwój głowy, ni jednego starca poważniejszego w całym tém okoleniu nie było. — Król się wydawał najstarszym ze wszystkich i najbardziej uwiedłym.

Wszyscy stojący około pana, czekali, patrzali rozkazu i skinienia, zdając się chcieć odgadnąć z oczów króla, jakiej może zapragnąć usługi. — Nawet mieniając wejrzenia z niewiastami, co ich oczyma i ruchami wyzywały na psoty, młodzież ta ciągle ku panu jedném okiem spoglądała.

Jak żadnej stariej, tak też i posępnej nie widać było twarzy. — Królowało wesele, pan smutku w tych godzinach nie lubił.

Na ławie w głębi siedziała gędzba, pobrzakując w struny, a gdy się ozwała, niewiasty za królem stojące, nucić poczynają z cicha. Śpiew ich zrazu nieśmiały, wzmagał się potém coraz silniej, łączyły się z nim głosy nowe, i pieśń wesoła swawolna, przerywana śmiechami, przebrzmiewała po

komnacie, wylewając się na podwórze, gdzie jej zdala wtórowano.

Śpiewające dziewczuchy, gdy przyszło coś zbyt surowego w pieśni, zakrywały sobie oczy, odwracały głowy, osłaniały się rękami, zarzucały fartuszkami, ale śpiewały ochoczo.

W chwilę potem opadały ręce, odgarniano zasłony, błyskały oczy śmiechu pełne i usta różowe.

Piękna czarnobrewa swobodnie się opierając na poręczy siedzenia, przechylała się w takt pieśni, kołysała, jakby giętką kibić i kształty toczone chcąc ukazać. Czasem podnosiła rączki białe, klasnęła w nie zlekka, to spuszczała na kolana, niekiedy szybkim, ukradkowym wejrzeniem przelatywała po izbie i twarzach, po drodze zawadzając swawolnie o gorące oczy młodzieży.

Każdy, na którego padł wzrok ten czarodziejki, mimowolnie drgnął, jakby go kto mieczem przebił, ale nim pogonił za nim, już on gdzieś odleciał daleko — król na nią tylko patrzył, czasem usta zwilżył trochę w złotym kubku, który stał przed nim i znowu go stawiał przed sobą zamysłony. Dwór czatujący na pańskie wejrzenia, dzisiaj go nie mógł pochwycić.

Boleszczyce popatrzywszy przez okna, poszeptawszy w progu, pośmiawszy się z przyjaciółmi u wniścia, wreszcie się do izby skierowali. Rozstąpiły się im strażę, zaczęli głośno witać znajomymi — usuwali się wszyscy. Szmer się stał, król

odwrócił głowę, brew zrazu zmarszczył, lecz obaczywszy swą wierną drużynę, uśmiechał się im znak dając, aby szli do napitku i jadła.

Za królewskim wzrokiem poszły oczy czarnobrewy, spotkały się z wejrzeniami, które ich już szukały; zarumieniła się mocno, niby zadana odwróciła szybko głowę, wnet spojrzała powtórnie i pokraśniała mocniej jeszcze... Borzywój i Zbilut szczególnie ścigali ją wzrokiem zuchwałym. — Wszedłszy Boleszczyce stanęli nieco zdala między swemi.

Król w chwilę skinął, aby się zbliżyli. Podszedł Borzywój jako starszy.

— Cóż tam wasze łowy? — zapytał król obojętnym głosem.

— O mało się nam bardzo nie udały — odezwał się Borzywój — bośmy spotkali na drodze straszną zwierzynę.

— A coście z nią poczęli? — rzekł król — zabiliście?

— A! nie — mówił starszy z Boleszczyców — nie wiedzieć jak się to stało. Stado poszło w rozpęk, a zwierz nas rozpędził.

Król spoglądał ciągle nie wiele wagi przywiązując do opowiadania, jakby o czém inném myślał, w tém Zbilut podszedłszy, dodał za brata.

— Nie udały się nam łowy, miłościwy panie, bo biskup Stanko drogę nam przejechał.

Posłyszawszy to imię, król się zachnął i zmar-

szczył nie nie odpowiadając. — Nawet w żarcie wspomnienie o biskupie przykrém mu było.

— Dziś bo zgoła szczęścia nie było w lesie — mówił dalej Borzywój oczyma strzelając ku pięknej czarnobrewie — wszak ci to i pana z Bużenina spotkaliliśmy na gościńcu w lesie.

Twarz niewiasty oblala się cała krwią, pokraśniały nawet białe ramiona, odwróciła głowę, przelęknła, jakby na padalca nastąpiła.

— Byłóż go tu zabrać z sobą — przemówił król obojętnie a szydersko — niechby się napił i poweselał, bo zły, słyszę, chodzi i gniewny.

— O! jechał smętny jak post — odezwał się Borzywój — kędy? Bóg wiedzieć raczy i z księdzem, jakby się na śmierć gotował.

Król usta odął, uśmiechnął się wzgardliwie i odwrócił żywo do siedzącej przy sobie. — Bole-szczyców już jakby nie widząc, zapomniawszy o nich...

Ci też, wyczekawszy mało, ustąpili z przed króla, wmięszali między dwór, a młodszy po za niewiasty wszedłszy, gzić się z niemi i zaczepiać je ostrożnie zaczęli... towarzyszek czarnobrewą nie zdały się im tego brać za złe, srożyły się wprawdzie, ale w tak dziwny sposób, jakby wyzywać chciały. Ręce co innego, oczy co innego mówiły, co innego usta. — Król choć słyszał chichotania i szepty, wcale się nie odwrócił nawet, bo znać tak zawsze bywało...

Czarnobrewa tylko spozierała surowo nie na swe niewiasty, ale na tych niewiernych, co na inne twarze w jej obecności patrzeć mogli.

Parę razy wzrok jej pobiegł za Borzywojem i Zbilutem, na każdego z nich spoglądając inaczej. Śledzić się zdawał pierwszego, drugiego szukać niespokojnie, jednego obawiać, drugiego pożądać, jak dziecię zabawki...

Wszystko w niej było aż do zalotności dziecięcym.

Właśnie się krótka rozmowa Boleszczyców z królem skończyła, gdy gęślarze, którzy byli umilkli trochę i spoczywali, brzęknęli w struny, szmer ucichł, piosnka cicho i nieśmiało poczęła się odzywać jakby z dali.

Stara to była pieśń miłosna:

Stanę się, stanę siwym kaczorem...

. . . . .

Niewiasty jakby urokiem jej porwane, rozśpiewały się na dobre, zapomniały o wszystkiem, prześcigały głosami, i pieśń rozlegała znowu po izbie, w podwórzu, kołysząc jak fala, aż póki z ostatnią nie umarła zwrotką.

Westchnęła czarnobrewa — może się jej dawne jakie przypomniały czasy, inne głowy pospuszczały. Niewiadomo co pieśń niesie, za słowami jej kryje się tyle widm i upiorów.

Długo tak w noc król śpiewać kazał i przy-

śluchiwał pieśniom, w oczy patrzył pięknej Kryście, to z nią żartował, to się zasepił i na służbę gniewał, to śmiał do rozpuku, a za nim tłumy, nie wiedząc czego się śmiały — aż po północy gęślarze na ławie, przy miodzie się pospali, król i czarnobrewa gdzieś znikli, dwór się, gdzie kto mógł i chciał do snu rozłożył i zwolna we dworcu ucichło. W podwórcach tylko u koni czaty chodziły i u drzwi pańskich mieniali się ludzie, by ich miał król na zawołanie.

Bywało tak czasem, któż mógł przewidzieć? że się Bolesław zerwał śród nocy i rozkazał na łowy, na Wawel, na wojnę, na drugi państwa koniec, gdzie się myśli pańskiej pobiedz zachciało. Czasem obozem leżał miesiąc, niekiedy spoczynku nie dał jednej nocy — przebiegały w nim zachcenia różne, których hamować nie chciał i nie umiał. Tak samo dobrym był i okrutnym, szyderskim i litościwym bez miary. Ci, co z nim żyli, w oczy mu patrzali, nigdy powiedzieć nie mogli, co wieczór, noc i poranek przyniesie. Na wszystko gotowi być musieli.

---

## II.

Gdy Bolesław zabawiał się tak na królewskim dworcu, o kilka mil z tamtąd ściagało się po cichu rycerstwo, zwołane na radę przez Mścisława z Bużenina i innych ziemian, którzy od króla odeszli. Na ten zbór jechał i Biskup krakowski Stanisław ze Szczepanowa, którego Boleszczyce z małym orszakiem na drodze spotkali.

Zwołano radę jakby ów stary wiec, który wprzód wiciami rozsyłanemi gromadzono, ale potajemnie i cicho. Teraz już starych tych obyczajów porzucono wiele, nie godziły się już one z nowym ładem i składem. — Gromady nie miały głosu jak bywało. Od czasów Mieszka panowali knezie a królowie; oni sami tylko zwolywać wiece mieli prawo, a szli na nie ci, których pozwano i przypuszczono, kogo pan zażądał.



Pod żelazną dłonią Chrobrego, ziemianie i rycerstwo starych swych praw wyrzec się i zapomnieć musieli, nikt do nich odwołać się nie śmiał, choć żyły jeszcze w starych ludzi pamięci. Gdy potem Mieszko Bolesławów syn z Ryksą objęli rządy, podniosła nieco głowę dawna swoboda słowiańska, ale się to nieładem, burzą i zniszczeniem skończyło. Za Kazimierza wrócił dawny królewski porządek i posłuszeństwo, a gdy rządy po nim objął rycerskiego ducha Bolko Szczodry, nikomu też z sobą władzy dzielić nie dawał.

Od początku niemal panowania, wojował bezustanku, rycerstwo wodził za sobą to do Węgier, to na Ruś, spoczywać mu nie dając. Ziemian innych znać niechciał, oprócz tych co mu służyli.— Głowy podnosić zbyt wysoko nie pozwolił nikomu.

Urodzony z matki rusinki Dobrogniewy, ożeniony z ruską księżniczką, z Rusią związany ciągłemi wojny i brataniem, Bolko jak wojak krajem rządził, jak wódz i pan, a u siebie doma tak chciał mieć jak w zawojowanym kraju, i jak bywało na kijowskiej Rusi.

Musiąco mu służyć na skinienie wojsko, ziemianie, lud, nawet duchowieństwo, które on sam sadzał na biskupich stolicach i chciał je mieć sobie posłuszném. Wolał przeto polskich mieć biskupów, niż Włochów i Francuzów, których mu z Rzymu stręczono.

Z duchowieństwem szło opornie; czuło się ono nadto silnie związanem z całą potęgą kościoła na Zachodzie — by mu ulegać miało nie broniąc swój niezależności, gdy gdzieindziej albo władzę ze świeckimi dzieliło lub nad nimi brało górę.

Była to w całej Europie chwila przełomu, która o losach kościoła stanowić miała, — mieli on, wedle wyrażenia Hildebranda, być słońcem, a królowie i panujący księżycami, czyli przy słońcu cesarskiem, jak skromny stanąć satelita.

Cesarstwo wprowadzie wassalów mnogich liczyło, siły wielkie, ale czémże one były obok potęgi duchowieństwa, rozsianego po świecie całym, skupionej w ognisku z którego płynęły rozkazy; dzierżącego w ręku najpotężniejszy oręż klątwy i wyłączenia ze społeczności, równającój się śmierci i nad samą nawet śmierć straszniejszej.

Piętnastu biskupów polskich otaczało tron Bolesława Szczodrego, w czasie koronacyi jego w Gnieźnie; — byli to jakby piętnastu wojewodowie potężnego zastępu, który władzy królewskiej albo mógł iść w pomoc, lub z nią walczyć.

Bolko ani znać od nich nic innego nie chciał nad posłuszeństwo i poddanie się rozkazom. Spotykał opór bierny, choć mu się otwarcie jeszcze sprzeciwiać nie śmiano, czuł że tu miłości nie miał — zastraszyć nawet nie potrafił.

On też na czele rycerstwa swojego nie lękał się żadnej wojny.

Tymczasem duchowieństwu wypadki w pomoc przywiodły część tej siły którą król za swoją rachował.

Mściśław z Bużenina, którego młodą żonę wziął Bolesław z mężowskiego domu, wrzał chęcią zemsty przeciw niemu, mieli też i inni ziemianie niechęci powody; zwołano więc w pewnym uroczysku niedostępnym, zwanym „dziewiczy łąk” wiece, który miał stanowić, jak sobie dalej poczynać miano.

Był to początek zмовы przeciw królowi, który wielu już dorobił się nieprzyjaciół w domu.

Mściśław nie naznaczył na ów zbor miejsca, ani we dworze, ni we wsi, ani na oczach ludzi, bo wiedział że to by się prędko doniosło do uszu króla, który pospolity lud miał za sobą. — Obawiano się zdrady, naprowadzenia i napaści — bo choć ziemianie i część rycerstwa na króla sarkają, zniechęconą będąc do niego — miał on z sobą drużynę swoją, swych Boleszczyców i żołnierzy, którzyby zań życie dali i poszli choćby na rodzonych braci.

Obesłali się więc starsi, uproszeni przez Mściśława, głowy rodów znaczniejszych: Toporezczyce, Śreniawy, Doliwy, Lisy i inni, po cichu a ostrożnie, na dzień ów stawić mając na dziewiczym łąku w lesie, sami bez czeladzi, bo tej nieufa-

no. — Jeździł pan z Bużenina sam od dworu do dworu i nie żałując trudu, aby na swém postawił.

On był duszą tego zboru przeciw królowi, a wiedząc iż i biskup krakowski mu był niechętnym — narzekając i bolejąc nad jego swawolą, — także go na radę zaprosił. Nie pierwszy to raz Mścisław się do niego udawał, znał go już dawniej Biskup, rodzinie téż nie będąc obcy, więc gdy przybył na zbor go prosząc, miejsce i czas oznajmując, rzekł mu pasterz:

— Nie przystało mi, słudze Chrystusowemu i kapłanowi jego, potajemne czynić zмовy, i kryć się z tém co czynię. Czyny moje i słowa jawne są, nie lękam się ich ani światu ni królowi na oczy postawić. Nie żądajcie więc po mnie tego abym z wami był.

Ale Mścisław, do rąk jego przypadłszy, całować je począł i błagać aby dla nich to uczynił i przybyć raczył, bez czego, jak powiadał, gorszy nieład i zaburzenie przypaść mogło.

A tak Biskup Stanko, po długim namyśle i pilnym rozpytaniu, gdy się przekonał, iż skuteczną być może bytność jego, przyjechać wreszcie obiecał, zapobiegając aby niesforne umysły rozjątrzonych ludzi, szkodliwego co nie postanowiły.

Pod wieczór dnia tego widok dziwny przedstawiała dolina wśród lasów, zwana „Dziewiczym

łanem“ — oddalona od osad i wsi, odosobniona i w kolo ścianą drzew i gąszezy objęta.

Była to łąka i pola część dość rozległa, zdawna odłogująca. — U stóp wzgórza na którém się rozpościęrała, ku jednęj ławie puszezy zlekka skłaniając, płynął strumień leśny po brzegach gdzieniegdzie kamieniami usłany...

W samym środku pola onego stał odwieczny dąb rozłożysty, ogromny, tak jeszcze żyw i zdrów jakby kilkuset lat i niezliczonych burz i zim nie przebył.

Niegdyś tu, wedle podań, odbywały się Sobótki, schadzały czasem wiece, a nieopodal miało być cmentarzysko pogańskie i zgłiszce. Pod lasem widać było zielonym darniem okrytą mogilę, zwaną Kurową, od imienia wodza jakiego; który tu zgiął przed wieki. Lud dotąd w pewne dni zbierał się nocami nad strumień, na uroczysko, pieśni śpiewał i obrzędy pogańskie odprawiał. Dla tego proboszcz wystawił tu był krzyż drewniany, na którym, jak dawniej na drzewach, zawieszano płachty ehorych, a pod nim stawiano obiaty.

Przed zachodem słońca, przybyło już pod dąb jezdnych kilku, a ehoć nikogo nie znaleźli, powoli się rozkładać zaczęli.

Ponieważ, dla bezpieczeństwa, nikt z sobą czeladzi nie prowadził, sami panowie około koni swych staranie mieć musieli, i sami téż sobie po-

sługiwali. Niektórzy, co synów i młodzież zabrali na radę, nią się wyręczać mogli. Wszyscy też naówczas nawykli byli do najtwardszej pracy i nikt się od niej nie wymawiał, a chlubę z tego ciągnął, gdy sam sobie we wszystkiem dawał radę.

Trzech Toporów, którzy tu przybyli pierwsi, bracia Starżowie, nie długo pozostali sami, zjawilo się wnet dwu innego rodu, a po nich pięciu Toporów, których Kołkami zwano. Witali się jedni, drudzy mniej znani sobie, bliżej dopiero zapoznawali.

Wszyscy podestawszy opony z koni zdjęte na ziemi się porozkładali, bo jak ezeladzi i wozów, tak namiotów też nikt nie brał z sobą, trzeba było pod dębem się chronić...

Obojętna poczęła się rozmowa co i gdzie się w okolicach działo, jak stało we dworach, osobliwie tych, które jeszcze po kijowskiej wyprawie i swawoli służebnych, do ładu przyjsć nie mogły.

Posepni byli wszyscy i nie zbyt radzi wiecowi; nie małą bowiem rzeczą było na owe czasy, zjeżdżać się niechętnym i poróżnionym z królem, który o zdjęcie głowy z karku ziemianinowi nikogo nie pytał, nikogo się nie zwykł był radzić, a gdy ukarać postanowił, sądów nie zbierał, posyłał siepaczy swych i ścinać kazał, tak dobrze prostego człeka jak najmożniejszego władykę. —

Choć ze zgromadzonych tu, mało komu co na sereu nie leżało, nie spieszyli ze skargami i żałami, czekano aż się zbierze więcej ludzi i Mściśław zagał. Niektórzy zapewniali że i Biskupa z Krakowa spodziewać się było można, lecz temu nie bardzo dawano wiarę. Znano go jako męża co otwarcie zawsze występować był nawykły, a po królu największą miał powagę.

Z każdą chwilą powiększał się ów zbór u staro-  
rego dębu, i o słońca zachodzie już z pół seciny,  
po większej części mężów statecznych i podży-  
łych naliczyć było można. Wielu z nich siwy  
włos okrywał, a młódź ściągnięta starszym ku po-  
słudze, nieco się opodal trzymała. Po uzbrojeniu  
i szatach rozpoznać było można zamożnych wła-  
dyków i ziemian dostatnich, u niektórych nawet  
oreż i sprzęt złotem obficie połyskiwał. — Konie  
tęż, które młódź na łąkę, splątawszy puściła, pię-  
kne były i dobrane, a pieszczono znać chowane,  
jak u rycerzy zwyczajnie. Boć pieszy człek naów-  
czas nie wiele był wart, i wojak nie stąpił bez  
konia.

Zebrani gwarzyli głosy stłumionemi, gdy nao-  
statek z lasu pokazał się Mściśław, duchownego  
pana mając u boku, sam jeden z nim, bo czeladź  
swą i brata młodszego opodal zostawił. Obaczy-  
wszy go niektórzy zdala rękami witać poczęli,  
inni wołać ku niemu:

— Bywaj!

Mściław żywo z konia zeskokczył, księdzu, którego wiódł z sobą pomagając, i oba wierzcho-  
wece, do gromady odpędziwszy, sam pospieszył  
do tych co nań oczekiwali.

Znani i nieznajomi mogli się teraz lepić przy-  
patrzeć dawno niewidzianemu panu z Bużenina;  
który po wzięciu mu żony, długo na świat oczów  
nie pokazywał. — Mąż to był lat średnich, czar-  
no zarosły, zawczasu siwizną przypruszony, oczu  
bystrych, niskiego czoła, krępy i silny, w któ-  
rym niepomiernej zaciętości, a zarazem żalu wiel-  
kiego, boleści głębokiej wyraz uderzał.

Szedł zwolna, z pod gęstych brwi nachmurzo-  
nych rzucając wejrzenia niespokojne na tych co  
go witali, z dumą jakąś i wstydem niemal. Wi-  
dok tylu ludzi przed którymi na srom swój się  
miał użalać, mieszał go i burzył razem. U boku  
jego idący bratanek, duchowny z Krakowa, przy  
nim się zdał wylękł i do zbytń pokorny, a spo-  
kojniejszy daleko. Szepeząc też coraz coś na ucho  
Mściławowi starał się i jego ukoić.

Powstawali z darni leżący pod dębem aby wi-  
tać przybyłego, który ze wzruszeniem znaczném  
jednych obejmował, drugich w twarze i ramiona  
całował, innych pokłonami pozdrawiał, rozgląda-  
jąc się ile już ich tam było. — Tymczasem nowi  
przybywali coraz, rosła liczba zebranych, i gwar  
w kółku, a jeszcze jakby oczekiwano na kogoś,  
i ku lasom spoglądano.



— No — ozwał się najstarszy z Toporów, my tu sobie sami sługami dziś być musimy, gdy nam na to zeszło że własnej czelądzi wierzyć nie można. — Niechże młodzi ognia naniecą, kołem siadajmy wszyscy, a zacznijmy radzić o sobie aby czasu nie tracić.

Tedy Mścisław, obejrzawszy się dokoła, odezwał się głosem cichym, iż Biskupa Stanka na nadzieję oglądać, życząc aby się z naradą wstrzymano aż przybędzie. Na to też inni godząc się, zamilkli wszyscy.

Nieco na uboczu, młodzi, których myśl weselsza nie opuszczała, choć starszych twarze posępne były, wzięli się ochoczo i swawolnie do naniecenia ognia. Wieczór był piękny i spokojny, ale rosa padała tak obfita, iż ognia rozpaścić nie przyszło łatwo. Namęczyli się dosyć nim go potrafili dobyć, a gdy z chrustu suchego i gałęzi płomień się ukazało, aż rażniej się zrobiło wszystkim. Ten i ów dobywać począł co przywiózł z sobą, bo każdy się po troszę opatrzył na drogę. Pokładzono na trawie co kto przywiózł, podobywano barylki podróżne, wyciągnięto z sukien kubki, i wzajem się częstując, pokrzepiać zaczęto, przyczem wrzawa i rozmowy coraz się weselsze rozlegały...

Mścisław tylko z księdzem siadłszy na uboczu, sparł się na kolanach, i ani jadł ani pił, ani się zdawał słyszeć co się wkoło niego działo, tak

był w myślach zatopiony — poglądał wciąż nie-  
spokojnie w tę stronę, z której się przybycia Bi-  
skupa spodziewał...

Nikt też zbolełego człowieka nie zaczepiał sło-  
wem, nie drażnił wzrokiem, bo wszyscy nad nim  
litość mieli.

Mrok już padł był dobry, gdy z lasu ujrzano  
wyjeżdżających dwu mężów, a w jednym z nich  
poznano Biskupa Stanka, przeciw któremu, zer-  
wawszy się z ziemi, pospieszył zaraz Mścislaw  
z bratankiem swym i kilką innemi.

Reszta zgromadzonych żywo wstawać i poru-  
szać się zaczęła, gotując do wiecu, rzucając dlań  
jadło i rozmowy.

Młodzi podłożyli ognia, który jaśniej znowu  
gorzeć zaczął, oświecając jaskrawo dąb, dolinę,  
gromadę zebranych ziemian, i w dali pasące się  
konie.

Gdy tak stali w niemém oczekiwaniu wszy-  
scy, ukazał się Biskup zwolna idący pieszo, z twa-  
rzą swą poważną i pogodną, zamiast pozdrowie-  
nia błogosławiąc krzyżem na wsze strony. Głowy  
wszystkich skłoniły się z poszanowaniem.

U boku jego zajęli miejsca dwaj duchowni,  
a tuż przy nich stanął Mścislaw.

Była chwila milczenia, w czasie której Biskup  
stanąwszy, ze złożonymi rękami, zdawał się cichą  
odmawiać modlitwę.

Dokoła ściskając się i starając przybliżyć, sta-

nęli ziemianie, a Biskup skinął na Mścislawa. Pan z Bużenina pochylił głowę, potrzebował chwili by mu głos w piersi zastygły powrócił, tak gniew i przypomnienie krzywdy doznanej je ucisnęło. — Nareście stłumionym, cichym ozwał się oczy podnosząc.

— Radzić nam o sobie potrzeba, miłościwi panowie — radzić samym, bo i my się bez opieki zostali, wydani na pastwę jakby dzikiemu zwierzowi! Radzić nam trzeba, jeśli ginąć nie mamy.

Zatrzymał się nieco, szmer poszedł koło.

— Czas o sobie myśleć — dodał, — i głowę spuścił, bo znowu mu głosu zabrakło. Milczeli wszyscy, czekając co dalej mówić będzie. Mścislaw, jakby się w nim gotowało i wrzało, belkotał tylko, ręką po czole wodząc spotniałém, w ziemię patrząc nie na ludzi. Żał brał widząc silnego człowieka, którego boleść niemym czyniła.

— Radźmy — rzekł stłumionym głosem, jeśli ginąć nie chcemy.

— Radźmyż! podchwycił nłitowawszy się nad nim Topor, na lasce z siekierką oparty — radźmy o sobie. (Wszyscy owi Topory, Starżowie i Kołki bez siekier nigdy nie stąpili).

— Sprawę moją znacie — odezwał się wreszcie Mścislaw niepodnosząc oczów. — Srom mówić o niej, a no, gdy człeka zwiierz okaleczy, ranę okazać musi, choćby sromotnie był okaleczony. Tak i ze mną. — Sromotnie okaleczony jestem



przez tego, który mnie od sromu bronić był powinien... Król, co opiekunem być miał, stał się rabusiem, żonę mi wziął...

W tém z boku mu któryś przerwał.

— Azali białogłowa lekka nie sama go ku temu wyzwała? Sam ci pokrewnym jej, mówił dalej, a bronić nie chcę i obwinieć raczej. Któraby nie dozwoliła nie byłoby z nią tego co się z twoją Krystą stało.

Mścisław gniewnie odwrócił się ku mówiącemu, i rzucając się niemal na niego, zawołał.

— Azali nie wiecie co niewiasta każda jest? alboli która z nich rozum ma? Przeto gdy jedna z nich zgrzeszy, nie jej winą, a tego co ją przywiódł do grzechu — bo ona dzieckiem jest... Winien Król co miał więcćj psiej chuci niż rozum i sumienia.

Uderzył się Mścisław silnie w piersi.

— Wy ją winicie, a ja jej uie winię! Słabą była i nierozumną, a ten co ją uwiódł, silny był i podły.

Zaszemrano dokoła, a potém milczenie się stało głucho.

W tém poruszył się jeden co stał w drugim rzędzie, mąż opalony, barczysty, wojak z postawy i twarzy; przedarł się naprzód dokoła, stał i mówić począł.

— Alboż to jedno co zbroił ten kat a nie król? alboli to jedno?

Pytajcie co się u mnie stało, co u innych wielu? Trzymał nas lat tyle w Kijowie u boku swego, a doma zbytki się działy. Po co i my tam siedzieli, aby mu za straż służyć, gdy szalał? I ja tak rzeknę jak Mścisław, nie niewiasty nasze były winne, bo to są dzieci, choćby i jak stare były. — Serce się nam rwało do domów i dzieci, trzymał nas bezlitośnie za górami, a doma sługi i pacholki, widząc że nas nie stało, gwałtem sobie żony nasze pobrali.

Toć wicie cośmy potém zastali, gdy cierpliwości zbrakło...

Jak nas wieść doszła w Kijowie co się działo, i ja i sotnia cała, nie pytając pana lecieliśmy na skręcenie karku, bronić tego co jak życie drogie.

Tu tłuszcza ta, własne nam wrota pozamykała, wiedzieli lotry z czém przybywamy. Do domów nam swoich szturmem się dobijać przyszło, siec, karać i wieszać gwałtowników.

A za kimże się król ujął?

Za nami?

Nie — za tłuszcza i gwałtownikami, za czeładzią naszą, a żonom którym niepocziwy gwałt zadano, szczenięta do piersi przystawiać kazał, i swoją klacz wodzić krzycząc, że ona więcej była warta niż te żony co się sprzeniewierzyły!!

Ścięto dziesięciu i więcej braci naszych, za to że samowolnie zbiegli z Kijowa, ja głowę mu-

siałem ratować ucieczką, po lasach się tułam, bo i mnie miecz czeka!

Na żony nasze, na nas spadły gniewy, a nie-poczcliwe sługi, a motłoch i czerń niewinna, tój się nam tknąć nie godzi, choćby ludzi niewol-nych!

Gdy tak coraz mocniej głos podnosił, dech mu zabiło, ustał — rękami w powietrzu rzucając, miotając się cały, potem za czoło chwycił się ręką jedną, za piersi drugą i jęknął boleśnie.

Patrzali nań wszyscy w milczeniu, żal było wojaka mężnego, który kryć i tułać się musiał...

Tuż wystąpił drugi, odarty jak on, w resztkach zszarzanego i oszarpanego pancerza.

— To co on mówił i ja potwierdzić mogę, odezwał się schrypłym głosem. — Królowi ziemia-nie i rycerstwo solą w oku, nasby się wszyst-kich rad zbyć, a z motłochu sobie dobrać druży-nę. — Rusinami się otacza co mu pokłony biją, Pieczyngów przy sobie chowa i niewolników. My cośmy na tój ziemi ojczyce dawni, u niegośmy i psa nie warci; krom tych co jak Boleszczyce i za katów mu służą i za druhów do wszelkiego plugawstwa.

Takli ma dłużej być? poginiemy wszyscy...

— Do dziś dnia — począł inny, którego gło-wę tylko z za stojących widać było i włosy na-jeżone, do dziś dnia nam żeśmy z Kijowa uszli i żonom naszym nie przebaczył. Ino się który

ukaze, wołają nań, zbieg, włóczęga, na gałąź z nim, łeb mu ściąć.

A jakżeśmy nie mieli uchodzić z Kijowa, gdy nam dobro nasze czerń łupiła? Mnie, żonę i siostrę parobcy wzięli... Powiesiłem ich obu — tak należało. Baby nie winne nie...

Za tém począł się taki gwar, coraz podnoszących głosów, iż już nie posłyszeć nie było można, nikt nie hamował wrzawy, okrzyki namiętne wznosiły się ze stron wszystkich.

Nie rychło poczęto syczeć, lecz gdy jedni milkli, drudzy się wyrywali z żalami i skargami, którym końca nie było...

— Chodził Tomko Swadźba do króla, chcąc go przebłagać — rzekł ktoś z tłumu, do nóg mu padł z pokorą, a nie był winien więcej tylko że z Kijowa biegał i sześciu parobków eo mu dom skazili, wieszać kazał. Ścięto go przeto bez litości...

— Nie przebaczy żadnemu! potwierdził inny.

Stary Topor podniósł do góry siekierkę na znak iż mówić chciał, i uciszyło się jakoś powoli, zatém on zabrał głos.

— Nie tak bywało, rzekł za Mieszka starego i za Bolka Chrobrego. Królowie surowi bywali, ale sprawiedliwi, bez rady też swój nie czynili nic. Ziemianie do nich szli jak dzieci do ojca, we wszelkiej potrzebie. Ten znać inną nie chce tylko swoją wolę, swój miecz, my u niego z czer-

nią za jedno stoimy. Wladyka, żupan czy wojak, a rab i parobek u niego równo waży.

I zwrócił się ku przysłuchującemu Biskupowi.

— Ojcie miłościwy, odezwał się, wy znacie i wiecie, jak gdzieindziej na świecie się dzieje, wiecie co nas boli, wy nam radźcie co począć mamy.

Gdy ujrzeli wszyscy iż na Biskupa wskazał i spodziewali się że przemówi, ucichło wszystko nagle; ciekawe głowy zwróciły się ku kapłanowi. Biskup stał poważny, zadumany, nie spiesząc ze słowem.

— Co mówicie, na co się użalacie, rzekł w końcu — jam też to widział i patrzę na to; lecz nim się co pocnie przeciw złemu, rozwagi potrzeba, aby większego zła nie ściągnąć.

Pamiętają z was niektórzy, jak po Mieszku i Ryksie, gdy panów nie stało wygnanych, wszystka ta ziemia zniszczoną była i w popiół obróconą. — Lepiej więc, zaprawdę próbować czy się go do opamiętania nie przywiedzie, niżeli knować na jego obalenie.

Do ostatka cierpliwości wyczerpać potrzeba.

Rozśmiał się Mścisław cicho, ale mu znak dało, aby milczał, i cofnął się za Biskupa.

— Może też, da Bóg, kończył Biskup, krew ta bujna, wojacza ostygnie w nim i uspokoi się. Gdyby gorszego nam co groziło, a król upamiętać się nie chciał, naówczas nie wam się pory-



wać na niego i wojować z nim, ale nam — kościółowi wystąpić przyjdzie, któremu także krnąbnie się stawi.

Po nad tą koroną, którą z Rzymu ma, od papieża, stoi Biskup rzymski, kościół i my służy jego... Kościół co korony rozdaje, co rozkazuje światu i prowadzi go, kościół słowem jednym więcej uczynić może niż wy mieczami waszemi i odgrózkami. Przed nim on nkorzyć się będzie musiał.

To mówiąc Biskup wskazał na ziemię, jakby dumną głowę ugiąć chciał ku niej. — Milczeli wszyscy. Biskup nie rzekł więcej, a Starza drugi poczał.

— Tak, miłościwy ojcie — ratujcie nas chrześcian przeciw poganom, których miłuje król. Ziemia, rycerstwo, ojczyce starzy tutejsi, na woli jego jesteśmy jako pacholki. Bywała Rada przy królu, on jej znać nie chce. — Garściami złoto rzuca i nam i czerni, ale pocziwego słowa nie da; przystępu doń innego nie ma tylko na kolanach, głową bijąc pokłony. Jednemu z nas życie wziąć, majątności odebrać, czei zbawić — toć igraszka...

Zwrócił się do stojącego nie daleko, człowieka nie wielkiego wzrostu, palcem go wytykając.

— Waszych on lubi, Kaniowy u niego w łaskach, Boleszczyców z waszego rodu najwięcej... tak, waszych... waszych...

Kaniowa ów łysy, mały człeczek, napuszył się i ostro stanął przeciw Starzy.

— Widzicie przecie że choć téj krwi co oni, tu z wami jestem, a nie tam z niemi! Więc nie wszystkie Kaniowy z nim. A że się znalazło kilku co mu dworują, co przy nim wiszą, a co ród winien!

— Winien — przerwał Starza — ich tam najwięcej, waszych Mszczuja synów! Jakuszowieckich waszych krewniaków. Czemu tam nie ma moich, albo i drugich?

— Jako żywo, odparł rozjątrzony Kaniowa, nie sami tam nasi koło niego, są Śreniawy są Drużyny...

— A waszych najwięcej! powtórzył Topor gniewnie.

— Każdy za siebie odpowiada — odezwał się zwadę uśmierzając Biskup — nie ród winien a ludzie.

Stary Kaniowa cofnął się gniewny, pomrukując i zapalczywe rzucając wejrzenia.

— Brat mój przecie Biskupem we Wrocławiu — krzyknął odchodząc, azali i jego winić będziecie?

— Winni ci wszyscy co królowi dopomagają do swawoli, mówił Topor. — Gdyby ich z sobą nie miał, siły by mu do znęcania się nad nami zabrakło; gdyby nie Kaniowy, Śreniawy i Drużyny owe, nie ważył by się.

— Nie byłoby ich, byliby Rusini i Pieczyngi, coby nas gorzej jeszcze dusili; krzyknął z tłumu nieustępujący Kaniowa.

— Dusiliby a nie gorzej — zawrzał Topor. Z cudzej ręki cierpieć niczém jest, od swoich to już ostatnia zguba.

— Ani oni winni, ni kto kolwiek inny, wtrącił Doliwa, który stał milczący oszczepem się podparłszy — winien on, on sam... Jaki pan taki sługa. Sługa pana nie czyni, a pan sobie urabia służkę, jakiego mieć chce. Winien on...

— On winien! on! zaczęto powtarzać żywo dokoła. — On winien!

— Ukojcie się, ukojcie — przerwał Biskup. — Nie chronię go ani oczyszczam, do cierpliwości skłaniam tylko, azali się nie upamięta. Chodziłem doń raz, gdy z Kijowa przypadł gniewny, grożąc pomstą i śmiercią — chodziłem nadaremnie, pójdę jeszcze i chodzić nie przestanę... Nie usłuchali rady i napomnienia, będzieli gorzej niż jest — ujrzymy co naówczas czynić mamy.

Tak Biskup starał się niespokojne, rozgorączkowane głowy i serca skłonić do cierpliwości i pomiarkowania. Miasto ukojenia jednak, zgromadzenie w którym każdy się z żalem rozwodził, coraz więcej na jaw dobywając samowoli — podrażniło wszystkich i wzburzyło.

Gniów wybuchał gwałtowniej coraz, rosnąc gniewy pokrewnemi.

Mściław, który ziemian zwolywał, stał ponuro patrząc pod nogi.

— Ojciec wielebny — rzekł w końcu — czyńcie i rozkazujcie jako wam się zda. Cierpicieśmy dłużej, pocierpiemy jeszcze, lecz, gdyby się miłości waszej nie powiodło, a słowo nie skutkowało, my o sobie też myśleć musimy i pomyślemy.

Rzucił dokoła oczyma, szukając współników, rąk sporo wyciągnęło się ku niemu, kilka wejrzeń strzeliło, i z różnych stron poczęły się odzywać głosy.

— Pójdziemy z tobą!

— Ujmiemy się za ciebie...

Biskup tedy, widząc że noc już dość późna była, bo przerywana rozmowa i głosy trwały długo, raz się odezwał jeszcze.

— Dla dobra waszego, proszę was, nie rwijcie się za gorąco i nieopatrznie. — Dajcie mi czynić, nie pożałuję zdrowia ni życia, a powinność kapłańską spełnić. Pójdę doń, prawdę mu niosąc. nie ulękne się — usłyszysz ją z ust moich całą.

Namaszczon jestem jako on i — jemu równy, a potęga tego kościoła, co mnie posyła, większą jest nad wszystkich królów potęgę.

Mówiąc to, Biskup spojrzał z dumą i ufnością w siebie po zgromadzeniu, które głowy w milczeniu skłaniało.

Za czém słów jeszcze dodawszy nie wiele ku

pokojowi i cierpliwości, szepnął Mścisławowi iż jechać pragnie.

Przeżegnawszy potem zgromadzonych, z których bliżsi ręce mu całowali, cofnął się Biskup z koła. Starszyczna, widząc że się do odjazdu zabięra, wyszła przeprowadzając go. A tak szedł Biskup, po bokach mając dwu duchownych i gromadę starszych za sobą, ku łące, gdzie już młodzież, przodem poskoczywszy, konia mu wiodła i ramię podać do siedzenia gotowała się.

Księżyc się podniósł nad lasy, noc była jasna, spokojna i widno prawie jak we dnie, gdyż do wiosennego poranku było nie daleko.

Szli tak przy Biskupie Topor, Starża, Doliwa, dwu Śreniawów i Belina stary, ku którym, gdy się od gwarne go oddalili tłumu, zwrócił się jeszcze raz Biskup.

— Nie godzi się słów niebacznym rzucać przed tłumem — rzekł — bo się one z ust do ust szeroko przed czasem rozchodzą i tętnią daleko...

Źle jest — lecz, gdyby lepiej już być nie mogło — co myślicie czynić?

Topor długo milczał zasepiony, ręką rzucił, głowę podniósł.

— Ojcie miły, odezwał się. — Dziadowie moi Piastom wierni byli a co im z tego przyszło? Co nam wszystkim z Piastów?

Ród to nasz własny, nie od dziś ich znamy, — albo się z nich rodzą bohaterzy lub znoski i po-

twory... A czemubyśmy innego rodu panów szukać sobie nie mieli?

Śmiałe te wyrazy innym usta zamknęły, spoglądali na się z obawą, jakby myśli swe przeniknąć chcieli.

— Mieszko, mówił Topor — ostatni, na poły się niemcem uczynił. — Kazimierz też przez Niemców był chowany. Bolko się zrusił i tańtejszym obyczajem chce nas prowadzić — albo my to sobie innego pana znaleźć nie możemy, jak to już bywało?

Biskup położył mu rękę na ramieniu, a Topor umilkł spoglądając mu w oczy.

— Ze słowy temi nie spieszcie — odezwał się, niebezpieczne one są, a zamieszanie wzniecić mogą.

— Dla tegom ich tam nie rzekł, ciągnął Topor, a mówię to, przed wami ojcze, bo wiem że u królowej Światawy i na dworze czeskim macie zachowanie. — Niech oni nas zabiorą, jako już byli raz zawojowali, niech nami rządzą tak jako Czechami. Siłę z nimi mieć będziemy większą, aby się oprzć Cesarstwn.

Biskup tylko nań spojrział.

— Zawczesne to słowa — rzekł. Prawda to że siostrę króla naszego Światawę szanuję, a małżonka jej mam dla siebie życzliwym — ale daleko jeszcze do tego byśmy nowego pana i panowania szukać potrzebowali. — Nie czas jeszcze.

— Król się już nie poprawi, rychlój zepsuje, gdy go gniewy ogarną — dodał Doliwa.

Nie mówili więcej, Biskup szedł ku koniowi, którego dlań trzymano, podsadzili go starsi, ucałowali rękę, i powoli, zadumani do koła wrócili.

W kole, po oddaleniu się Biskupa, którego przytomność wybuch hamowała, gwar się wszczął coraz burzliwszy, namiętnemi mowy na króla się rzucano. Narady jednak ogólnej nie było, gdy głowy zabrakło kupkami pościągali się jedni do drugich; starzy wojacy, ziemianie, młodzież, z osobna każdy. Mściśław błędził między niemi szukając sobie ludzi, którychby mógł też na stronę odciągnąć, bo miał na sercu niedolę własną.

Nawinał mu się Sokoł Dryja i Benko z Kurowa, oba starzy druhowie. Tych wziął z sobą na bok. Inni widząc że z narady nie już więcej nie urośnie, poczęli myśleć o powrocie do domów, dopóki by nie weszło słońce. Wielu też, zaraz po odjeździe Biskupa, po konie poszło, i nie żegnając tylko bliższych — precz ruszyło w lasy na różne strony.

Mściśław z Dryją i Bełkiem, opodał nieco odszedłszy, na ziemi przysiadł. Obu ich nie widział od czasu jak mu porwano żonę, więc począł żale rozwodzić.

— Cóż wy na tę moją nieszczęsną przygodę mówicie? odezwał się, ręce załamane na kolanach zakładając — co myślicie o niej i o mnie? Mało

ten człowiek bab miał do wyboru, żeby mu moją jedyne wziąć było potrzeba?

— A co ci ma boleć już? odparł Dryja. Zapomnieć trzeba i wziąć inną.

— Nie mogę! nie mogę! krzyknął zrozpaczony Mściśław. — Plunałbym na nią, gdyby mi nie siedziała tu, w głowie i za pazuchą... to dziecko było! Ona niewinna, a ja ją podziśdzien miłuję jak oczy moje...

— A co ci teraz po niej! rzekł Benko — co ci po niej!

— Jabo bez niej nie wyżyję! jęczał Mściśław. Niech się ludzie ze mnie wyśmiewają kiedy chcą, byłem ją miał!!

— Człecze! poczał Dryja — toć mi wstyd za cię! Gdyby cię ona miłowała, nie poszłaby za nim...

— Gwałtem mi ją wziął! gwałtem! zakrzyczał rwąc się Mściśław. Ja to wiem i baby świadczą które tam były. — Klną się iż rzewnie płakała, gdy on śmiejąc się na koni ją sadził. — Ona! ona nie winna — biedniatko! Któż się takiemu dra pieźnikowi oprzecz potrafi!

— A ty mu też jēj teraz nie wydrzesz — dokończył Dryja.

Mściśław siedzącego przy sobie pochwycił za szyję, objął rękami i całować poczał.

— Pomóźcie wy mi tylko! wydrę mu ją! Na



to was tu ściągnąłem, abym o pomoc prosił. Swoje odebrać i od króla się godzi.

A! ja wiem, biedaczka tęsknić musi za domem i za mną jak ja za nią; ten ją w żelaznych trzyma okowach, na oczach ciągle. Ale my mu ją wydrzeć możemy, chytrąścią czy siłą...

Dryja ramionami ruszył.

— Szalony z ciebie człek! odezwał się — jakim sposobem ze dworu ją mamy wziąć, gdy sam mówisz, że z oka jej nie spuszcza. Słysząc że ją przy sobie na zamku posadził, strażę dzień i noc chodzą!! Nadaremnieby człek karku nastawił i śmiechu tylko napytał.

Mściśław słuchać nawet nie chciał.

— Na zamek się wkraść, gdzie wchodzi kto chce, łatwo — zawołał gorąco. Ona, byle mnie zobaczyła, poleci za mną! Z dobrymi końmi w lasy łatwa ucieczka! o w puszczy nikt mnie nie wyszuka. Byłem się pokazał Kryście, porzuci wszystko, pomoże do ucieczki! — Na zamku samym znajduję przyjaciół i pomocników.

Mówił coraz żywiej Mściśław, ciągle oczy zwracając to na jednego to na drugiego ze swych słuchaczy; ci milcząc, namysławiając się po sobie trwożliwie spoglądali, nie kwapiąc się z obietnicą pomocy. Rzekł w końcu Beńko.

— Miarkujno, król się do niej przywiązał, pewnie też i pilnować musi tego skarbu, ludzi dużo, oczów wiele, o zdrajcę nie trudno... Cie-

bie czy nas pochwycą, głowę damy, a zaprawdę, czy warto, sądzi sam? Zdala to ci się łatwém zdaje!!

— Jam wszystko wyważył — odezwał się Mścisław, ani chcąc słuchać towarzyszków. — Pochwycić nas nie mogą. Król jęj przecie z sobą na łowy nie wozi, a gdy zamki objeżdża, zostawia ją w Krakowie. Dzień taki wybrać gdy go nie ma w domu, moja rzecz, ludzi kilkunastu i konie rączę.

— Królowej staręj i młodszęj dwór, choćby co widział, nie ruszy się, rad będzie gdy ją weźmiemy. — Byleście pomogli.

Mimo upartego dowodzenia Mścislawa, że porwanie Krysty możliwe było i łatwe, Dryja i Beńko, głowami potrzęsali, emokali dziwnie, i ochoty w nich widać nie było. Nie śmieli wręcz odmawiać, a przyrzekać też nie chcieli.

Mścisław ciągle nalegał.

— Dryjo, bracie, tyś mi, pomnij, pobratymem poprzysiągł być, bądź że nim w złęj doli. Beńku, ty mnie ratowałeś 'nie raz, jam ci pomagał, nie odmawiaj mi gdy proszę. Nie nie pragnę tylko ją nazad dostać. — Bylem ją miał, nie znajdą mnie, nie wytropią — Świat szeroki, będę wiedział dokąd uciekać i zajdę na Ruś.

— Człeczce, Bolko na Rusi jak we własnym domu! zawołał Dryja.

— To do Węgier.

— Tam ci on pan — przerwał Beńko.

— No, to do Czech, do Niemiec. Za świat! choćby do pogan na Pomorze — krzychał Mściśław rzucając się — byłem ja miał!

— Hej! Hej! ozwał się Dryja głową kręcąc — co za dziw że król się w niej tak rozmiłował, kiedy oto ten jeszcze za nią szaleje. Urok na cię rzuciła, ziele ci dała pić.

— Kto ją wie! Czary nie czary! pić mi ziele dała! albo ja wiem? albo ja rozumiem! mówił Mściśław gorączkowo — jedno znam że mi się śni gdy śpię, że we dnie mi się przed oczyma snuje, że głos jej w uszach słyszę, że chodzę jak skręcony.

A! wyście bo mojej Krysty nie znali!

— To mówiąc westchnął, zakrywając sobie oczy, a Beńko ramionami potrząsł i na Dryję popatrzał, jakby mówił. — Oszalał.

— Nic innego tylko to gusła są, odezwał się głośno. — Żeby nie wiem jaką była, człekby się w nią żaden tak jak ty nie wlepił. Pamiętam ja pierwszą żonkę moją, — hej! co to była za krasa! Nikt jej nie zrównał! Kwiateczek był co się na niego człek dmuchnąć bał, aby nie zwiadł zaraz... Miłowalem ci ją i jak żonę i jak dziecko, a jak mi przy pierwszym synu zmarła — choć mi na kilka dni jakby czarną nocą oczy zawlekło, tociem w trzy miesiące Taciannę wziął i tak pokochał jakby tamtęj na świecie nie było...

Mściśław słuchając zżymał się ciągle.

— Co prawisz! przerwał — twoja pierwsza!! Ani ta ani żadna inna do Krysty się nie równa! Takiej jak ona drugiej nie było i nie ma jak świat szeroki. I oczy i głos i ruch i uśmiech — tylko by przy niej siedzieć, patrzeć na nią — albo umierać.

— Lubczykn mu dała i oszalał! szepnął Dryja. Czarownica baba!

— Zwijcie mnie szalonym, a przez miłosierdzie pomóżcie! wołał Mściśław, — nie, to się gdzie na gałęzi powieszę, albo z kamieniem u szyi pójdę do wody. Po co mi życie! Głowy dla mnie stawiać nie potrzebujecie, podeprzyjcie zdaleka! osłońcie! Ludzi orężnych kilkunastu dosyć... Na Kleparzu, na Wąwole, na Stradomiu staniemy pod noc, gdzie ja mam gospodę pewną — ludzie też swoi, na zamku mi rękę dadzą... Pochwycimy ją, a wzięwszy między siebie, gdy się lasami ku Czechom rzucimy, żeby stu za nami puścił, ani wytropi, ani dogoni. Znajdą się tacy co mu fałszywą drogę skażą. Ja myślałem o wszystkim!

— A, no, a no — rzekł w końcu Dryja — jakby na pocieszenie biednego człowieka, gdy na pobratymstwo zaklinasz, choćby karku nastawić przyszło, trudno odmawiać — myśl jeno wprzód dobrze o sobie, bo czyja głowa najprędzej zapłaci, to twoja, jeżeli w ucieczce ułapią.

— Niech głowę moją bierze! krzyknął Mściśław — i ona mi już i życie nie mile!!

To mówiąc pochylił się Mściśław ku nim, słowy serdecznemi usiłując ich nakłonić, aby mu pomocą byli, bo na czeladź się spuścić nie mógł. Beńko i Dryja milcząc słuchali, nie przeciwili mu się, mieli może nadzieję że rzecz sama spełźnie na niczém. Widać było po nich, iż przezliwość tylko przystawali na to co po nich żądał. Mściśław, cały przejęty myślą odzyskania Krysty, gdy sądził że tych sobie pozyskał, począł innych ściągać z kupki pod dębem pozostałej. — Lecz tu już było nie wielu, kilkunastu tylko znudzonych, oponczami się osłoniwszy, na ziemi spało, dnia oczekując.

Udało się panu z Bużenina kilku najzacieśniejszych przeciw królowi, z tych co z pod Kijowa poniekali i prześladowani byli za zbiegowstwo, — nie już do stracenia nie mających — namówić z sobą. Tym w zamian dach swój ofiarował, opiekę i pomoc wszelką. — Biedny człek w przekonaniu tém że mu Krysta jego sprzyjała, myślał tylko teraz o środkach, jakimiby jęć oznajmił o sobie, aby w pierwszej chwili gdy się przed nią ukaże, z radości krzykiem ludzi nie ściągnęła. — Reszta mu się łatwą zdawała; — nie wątpił że, choć u króla pieszczona, na szyję mu się rzuci i zbieży z nim za kraj świata.

Dryja i Beńko, upewniwszy go że gdy wszy-

stko będzie pogotowiu i oni z nim pójść nie odmówią, nad ranem koni dosiedli i do domów odjechali. — Inni też ręce mu dali na to, że go w ucieczce osłonią. Sam jeden pozostawszy, Mścislaw się wręście znękany na ziemi rozciągnął i usnął głęboko.

Dzień już był gorący i słońce wysoko, gdy się obudził, bo mu nad głową kukulka śpiewała... Koń jego sam jeden już się na łące wypasał, bo wszyscy towarzysze się rozjechali. Mścislaw śnił o pięknej Kryście, że ją królowi wydarłszy, gnał z nią w nad Łabiańskie lasy...

Zemsta, którą żył cały, rozbudziła go, — nie widział trudności, nie wierzył w przeszkody żadne, nie lękał się niebezpieczeństwa, dwojaka namiętność czyniła go ślepym i głuchym.

Potęga królewska, czujność straży, warowny zamek go nie ustraszał... W kilkanaście koni był pewien zwycięstwa i już mu się uśmiechało ono. — Spojrzał na słońce i pobiegł, czasu nie tracąc po konia...

— Choćbym sam jeden miał się porwać — mówił w duchu, choćby mnie oni wszyscy porzucili i nie strzymali — pójdę sam! Z gardła mu ją wydrę! Nawinie mi się, tém gorzej, nie zleknę się go; a zabije mnie — niech krew niewinna padnie na jego głowę.

Tak marząc Mścislaw konia pochwycił, do-

siadł, i ściskając go a poganiając, jak szalony w puszcę i gąszcze się rzucił... Godziny jednej straconej żał mu było. — Krysta czekała na niego!!

---

### III

Królewski gród na Wawelu, nie wiele się naówczas różnił od innych zamków po kraju rozsianych ; mocny położeniem swém, wałami, ostrokoły, i palami, któremi był obwarowany, we średzinie wspaniałością się żadną nie odznaczał. Drewnianych dworców starym obyczajem stawianych z przedsieniami w słupach rzeźbionych, więcej było niż murn, którego kawał tylko jeden, nad urwistym góry brzegiem był wzniesiony. Stajnie, szopy, dwory dla wojaków i drużyny wszystkie były z drzewa, a choć okraszone malowaniem, niskie, niepokaźne stały porozrzucane, na dość wielkiej przestrzeni. Pomiędzy nimi i letnich kleci, i ladajakich komor kryło się wiele,

Niedaleko od wrót kościołek nie wiele się też podnosił nad otaczające go wały ; skromny był



i ludu wiele nie mógł w sobie pomieścić. Pusto było okolo niego, natomiast w szopach, stajniach i dworach ludu się roilo mnóstwo — a wszystek ten lud, drużyna pańska, wojacy jezdni i piesi, czeladź, pacholkiwie, którzy się tu mieścili, daleko świetniej niż same dworce wyglądałi.

Dla obcych i swoich, dworu i gości pod dostatkiem było wszystkiego, czego zapagnęła dusza.

Butno też wyglądał dwór pański złożony z wszelkiego narodu. Było tam Polan i Mazurów i Rusi i Ugrów i Pieczyngów i Jazygów i różnego plemienia mnoho, szczególniej młodzieży pięknej, dorodnej i silnej.

Niewiastami też roił się zamek, a i te rozmaicie wyglądały, jakby nie na jednej rodziły się ziemi i nie z jednej krwi pochodziły. Czarnobrewę i śniade, białe i złotowłose, kędzierzawę z czarnemi, niebieskiemi i siwemi oczyma, drobne i rozrosłe, z wesołemi śmiechy uwijały się wszędzie. Języków też przysłuchawszy się wiele rozróżnić było można, bo oprócz swojego, podobny do niego czeski (który tak wówczas niemal jak i polski brzmiał), ruski, węgierski, niemiecki nawet tu owdzie się odzywał.

Ruski przecie, okolo dworu stariej królowej matki i mloděj, co z sobą dużo ludzi przyprowadziła, najgęściej słyhać było. Król też sam często się, nawykłszy doń w Kijowie, nim odzywał, a Węgrów rad ich mową zaczepiał. Z Rusi król

naściagał służby wszelakięj, a ta mu była najmilsza, bo na skinienie służyła ochoczo i zawsze z twarzą wesołą.

Lubił Bolko ślepe posłuszeństwo, bo w zawojowanych państwach goszcząc długo, przywykł do niego. Gdy na Wawelu mieszkał, ten co i w Węgrzech się panem czuł i na Rusi jakby w domu, wszystko co żyło tchu jego słuchało, spoglądało trwożliwie, oprócz ulubieńców pana. Za to gdy go nie stało na grodzie, gawiedź się rozpuszczała, dokazując okrutnie, i na królowę nie wiele zważając cugli sobie popuszczała. Więc wrzawy i bitki powstawały ciągłe, przy dostatku pokarmu i napoju, a z kobietami żarty, które czasem do późna w noc po zamku się rozlegały.

Gdzie się też i za grodem ludzie Bolesławowi pokazali samopas, strach biegł przed niemi, bo miary nie znali w niczém, a ulubieńcom wszystko uszło bezkarnie. Poskarżył się królowi skrzywdzony chłop, ubogi kmieć albo osadnik, ujął się za niego często i bez miłosierdzia ukarał — gdy władyka, ziemianin użalił na drużynę, wyśmiał go i z niczém odprawił. Dwory też przed królewską drużyną zamykano, gdzie się kolwiek pokazała.

Władyków i ziemian możnych nie lubił król, jakby czuł, że i oni doń serca nie mieli. Odgrazał się na nich głośno, i dawał we znaki, gdy tylko mógł. Codzień ich mniej na dworze i na grodzie widać było. Miał który sprawę, wołał ją

sam sobie rozsądzić mieczem, niż po sprawiedliwość iść do pana. Dla kogo dobrym był król to bez miary. Boleszczyce jego ze skarbcza brali co sami chcieli, ulubieńcy chodzili w złocie i złotem sypali, król o nie wcale nie dbał. Lecz kto na taką łaskę chciał zasłużyć, musiał iść na stracone imię, nie oglądając na nic i nie opierając w niczem. Zabij! porwij! Czynić musieli co kazał. Zawahał mu się kto raz, lub odpowiedział słówkiem małym, już łaskę stracił. Bolesław nań ani spojrzal więcej; precz ze dworu mógł iść kędy chciał, rad, że życie uniósł całe.

Przebaczenia u niego, posłuchu ani pomiarkowania nie było. Cóż dopiero, gdy kto mu się śmiał stawić, chociażby równym mu królem był? Niezniósł ani przebaczył oporu, czując się tak silnym, jakby mu nikt zrównać i nie go złamać nie mogło.

Poprzednicy jego wszyscy, aż do pobożnego ojca, świątobliwie kościolowi służyli, on chciał kościół mieć na rozkazy. Duchownych też nie cenił, jak ojciec, dziad i pradziad, mieniając ich urzędniki swoimi, których pod władzą chciał trzymać.

Dla tego i biskupów wołał mieć Polaków, niż Włochów i Francuzów, aby mu łacniej posłusznymi byli i za panowania jego na gnieźnieńskiej katedrze, na wrocławskiej i w Krakowie Polacy już siedzieli, choć z Rzymu na to krzywo patrzano.

Dnia tego na zamku czuć było jakieś przygo-

gotowania niezwykajne. Król ze swými Boleszczycami, družyną i zwykłemi łowów i zabaw towarzyszami, wieczora poprzedzającego wrócił był do Krakowa, gdyż na ten dzień naznaczono składanie do skarbcza danin wszelkich i podatków od wszech stanów.

Odbywało się to zwykle z obrzędem uroczystym i okazałością, którą król lubił. Zjeżdżali powołani władcy, żupanowie, ziemianie, osadnicy, wszysey co osobiście dań do skarbu dawać byli obowiązani i przed tronem królewskim, u nóg jej ją składali. Bywało dawniej, że ci co się bogactwy pochlubić chcieli, nie tylko to co byli powinni, ale dwakroć i trzykroć więcej ofiarowali panu, aby sobie łaskę jego pozyskać. Kto nie mógł inaczej składać dań skórkami, które powiązane półsorokami i sorokami, szły do skarbcu na podarki i odzież dworu.

Dnia tego na równinie u stóp Wawelu, wszystko już było do téj uroczystości przygotowaném, którą z powodu wojen i nieobecności królewskiej, przez lat kilka zaniedbywano.

Od rana widać było ciągnących zewsząd ku Krakowu i rozkładających się na łące u stóp góry jezdnych, pieszych i wozy.

Rozbite tu były namioty królewskie i siedzenie dla króla szkarłatném suknem wysłane, na kilku stopni wzniesione, nad którym na pozłocistych tykach wielką od słońca rozpięto oponę.

Lubił Bolesław okazałość pańską we wszystkim, a ile razy występował przed tłumy, zwykł się nią być otaczać, naśladując cesarzów niemieckich, z którymi się równym rad mienił.

Wkrótce po wschodzie słońca, na grodzie ruch znaczny się rozpoczął, a na łące między ludem szmer powstał, iż król nadjeżdża.

Ze wrot zamkowych pokazał się też zaraz orszak jego wspaniały. Było się czemu przypatrzeć, bo i ci starce co czasy Bolesława Chrobrego pamiętali, wyznawali, że za jego szczęśliwych czasów, okazalszego nie widzieli dworu. Dobór ludzi, uroda młodzieży, strój ich i zbroja, prawdziwie były królewskie; ze wschodu i zachodu ściągnięte klejnoty, tkaniny, oręż pocztu przystrajały.

Przodem jechali ci co na rogach trąbiąc znaczyć dawali pospolitemu ludowi, iż pan jedzie, aby mu z drogi ustępowano i cześć oddawano należną. Ci rogi mieli złoczone i czapki bramowane złotem, opaskami, a było ich dwunastu, którzy z kolei po czterech w rogi dęli, coraz innemi głosy... Za nimi szedł poczet pieszych ludzi z toporami w rękach i tarczami, jak jeden odzianych z piórami u kołpaków, twarze ogorzałe, groźne i posepne. Tarcze, które na rękach nieśli rzemykami przytwierdzone, obciągnięte skórami, obite blachami, całe były złoczone i kraszone oznakami różnemi. Ci byli z dalekiej północy ściągnięci i małeńkie ich oczy skośno z pod czoła patrzyły.

Po nich jechała czeladź pańska na koniach dziarskich, niebiesko odziana, pancerni wszyscy, konie na pół przykryte kropierzami, w rękach włócznie żelazem okute całe, błyszczące; na głowach też hełmy jasne z żelazami na nosy pospuszczanemi. Tu było Rusi najwięcej rumianej, zdrowej i swawolnie z po za hełmów poglądającej na ludzi... Niektórzy jadąc włóczniami straszili pobliskich i zamachiwali się na niewiasty, zład popłoch powstawał. Dalej następowała królewska družyna i sam dwór pański, na podziw wspaniały, lecz każdy człek inaczej odziany wedle ochoty i możności, jeden nad drugiego piękniej i dostatniej.

Sadził się każdy, by towarzysza przesadził i wystąpił jak najokazalej.

Tu napatrzyć się było można wszelkiej zbroi, i starych, które przez Ruś z za morza przywózono, i nowych niemieckich, mieczów saskich, włóczni frankońskich, misternie u końców wyrzynanych, a w kutasy przystrojonych, i żelaznych hełmów różnego kształtu, ozdobionych piórami, kitami, skrzydły ptasiami i łańcuchami. Każdy swój oczyścił i wytarł, żeby się na słońcu błyszczał i świecił jak srebrny, u niektórych też żelazo blaszką ociągniętą złocistą, połyskiwało i gorzało, jakby się im lby paliły.

Wielu z nich mieli z ramion poprzewieszane skóry zwierząt suknem krasnym podszyte. U kil-

ku na szłykach widać głowy było niedźwiedzie, rogi jelenie, dzioby ptasie.

Wszyscy się znać wysadzali na pasy i łańcuchy, bo te były i kamieniami gęsto uatkanie i malowane po grecku i na podziw pięknie rzeźbione. Na tych wisiały miecze i mieczyki z rękojeściami bogatemi i pochwy nabijanemi gwoźdźmi złotemi. Niektórzy u lewej nogi przypiętą mieli długą ostrogę złożoną, u innych wędzidła, nagłówki na koniach i czuby u nich złocisto świeciły. Konie, które kropierzami pookrywane nie były, strojono w opony wzroczyste, szyte barwnie i wspaniale, tak, że im nie jedna niewiasta tej sukni pozazdrościła. Najwięcej tu było odzianych z ruska i grecka, wedle obyczaju przywiezionego z Kijowa. Ztamąd też bogactw tych przyszło wiele.

Wśród tego orszaku jeden wioził chorągiew pańską szkarłatną ze złotemi wisiadły i sznurami, na której godła różne i postacie szyte były...

Najprzedniejsi ulubieńcy w strojach najbogatszych, przed królem postępowali, który w małym po nich odstepie, jechał na swój klaczy siwej ulubionęj, złotą kapą okrytęj.

Swierzopa królewska, co z nim nie jedną odbyła wyprawę, wypasiona, z grzywą długą, szła zwolna, poważnie, jakby wiedziała, że pana dźwigała na sobie. Rząd cały na nią był od złota



i szkarłatu, a nad głową czub się trząsł, kamieniami błyszczący.

Bolesław jechał, w bok się wzięwszy, z góry patrząc jakby nie widzieć nie chciał, nie kierując prawie koniem, gdyż u uzdy szli dwaj mali pachol-kowie, oba miecze na ramionach niosąc ogromne.

Odziany był cały w bławat purpurowy, a na głowie czapkę miał, którą okalała szyta na nięj korona królewska. Wzrok więcej niż pogardliwy i dumny, nie zdawał się nawet chcieć patrzeć na tłumy i o widzenie ich się nie troszczył. Nic się go nie zdawało obchodzić, myślał o czém inném, jadąc znudzony i obcy temu co miał przed sobą. U boku mały mieczyk tylko zwieszony był dla ozdoby. Niesiono za nim królewską tarcz złotą całą i jeden miecz jeszcze pasem obwinięty, a dalej następowali w szatach wytwornych futrami bramowanych dostojnicy dworu, urzędnicy przy-boczni i panowie; z laskami w rękach, łańcuchami na szyjach, pasami na biodrach. Twarze ich, jak królewska surowe były i dumne.

Sędziwych starców prawie tu widać nie było, ani twarzy tych, na których radę widać rozumną i mężką powagę. Średnich lat ludzie, obliczów startych, zdali się zastępować miejsca tych, którzy się stawić nie chcieli.

Na końcu biegła dworska gawiedź i służba pomniejsza, która za plecami starszyny swawolić sobie pozwalała, popychała się, rozbiegała i sku-



piała... Ale i na niej widać było królewski dostatek, bo niektórzy jak panowie wyglądali i nie mniej od nich buty okazywali, osobliwie względem bezbronnego tłumu, który brzegi drogi zalegał...

W zamku na górze, na wałach, za ogrodzeniami stały niewiasty rzędami, jedna koło drugiej, przypatrując się pochodowi wspaniałego orszaku pańskiego, który ku namiotom zwolna, przy odgłosie trąb się posuwał. Niektóre w wiankach na głowach z włosami porozpuszczanymi, inne w białych namiotkach, w krasnych chustach, w bieliźnie i kożuszkach bławatami okrytych, śmiały się, z góry sobie pokazując palcami młodzież, która ku nim zwabiona śmiechem, podnosiła głowy... Nie jeden kwiatek upadł tam z ręki i po wałach się potoczył, zawiązłszy w pół drogi.

Na dolinie pod Wawelem po za miejscem, które wbitemi żerdziami i sznurami oddzielone było, stały tłumy, bo co żyło w Krakowie, na Stradomiu, Kleparzu, Piaskach, Bawole i we wsiach nawet okolicznych, na tę się uroczystość zgromadziło. W pierwszym rzędzie ciekawych, nawet duchownych rozpoznać było można, lecz ci osłaniali się niechętnie naprzód wychodząc. Mnogo ziemian stało na koniach w bliskości, a ci, choć jadąc na dwór po pańsku okazać się pragnęli i strojni byli, gaśli w obec królewskiego dworu.

Strój ich stare przypominał czasy, i oręż był nie dzisiejszy.

Twarze ich były jakby z innego świata, a wejścia, gdy się spotkały z drużyną królewską groźnie ku sobie strzelały. Bolesław nie spojrzał nawet ku gromadom.

Ciągle poprzedzany grającymi na rogach, wjechał król na plac, wśród którego siedzenie dlań przygotowane było. Piesza służba, która u namiotów czekała, przybiegła konie od pana i starszyzny odbierać; drużyna nie zsiadając z nich, dookoła się ustawiła w porządku. Starsi urzędnicy stali na przodzie i zabierali się wywoływać ziemie, powiaty i grody, które z kolei dań składać miały.

A że wszyscy ci ludzie nie pismienni byli i pamięcią starczyć nie mogli. Skarbnym królewskim Ścibór, do boku swego wziął dnia tego nowicyusza, młodego kleryka, który na długim zwitku pergaminu spisane miał ziemie do wywoływania.

Król zasiadł miejsce swoje, a czy był znużony beczsennością, czy znudzony tym żywotem spokojnym domowym, do którego od młodości nie nawykął — ledwie usiadłszy podparł się na łokciu, nie patrząc już na to co się dziać miało, zadumał się czy zdrzemnął może. Siedział posągiem bez ruchu.

U stóp jego leżały rozesłane sukna, na których dań składano, tak, że na jednym futra i skóry, na drugim złoto i srebro kładziono.

Jechali naprzód bogatsi ziemianie, żupanowie z grodów znaczniejszych, potem władcy inne i bogaci kmiecie i rycerstwo. Za innych królów bywało zwyczajem, iż przy takich zjazdach, król nie tylko ugaszczał przybyłych, ale ich rozpytywał, rozmawiał i zabawiał się z niemi, żalów słuchał, rady dawał, często żartów dopuszczał i rad był, gdy śmiejące się widział twarze.

Bolko nie miał ochoty spojrzeć nawet na swych ziemian i rycerzy, z którymi od powrotu z Kijowa srodze się zadarł a powaśnił. I teraz choć mu pokłony bito, nie skinął nawet, ani dał poznać, że je przyjmował. Jeśli się ozwał słowem to do swoich młodych ulubieńców i orszaku.

W mileczeniu więc składał każdy co przywiózł, a podkomorzowie pańscy zapraszali do namiotów, pod którymi na przybranych stołach zgotowane były mięsiwa, jadła różne, miód i piwo w beczkach i kadziach.

Kto chciał i jako chciał jadł i pił, lecz, jak król nie widział swych gości, tak oni stołu pańskiego znać nie chcieli. Znaczniejsza część przesunęła się tylko przed namiotami, i chleba w nich nie rozłamawszy, na swe miejsca powracała.

Ciążba choć milczała, szmer od niej szedł głuchy — słyhać było chrzęst zbroi, koni rżenie, gwar stłmiony ludu i szelest opon, które lekki wiatr poruszał.

Około króla uroczyste panowało milczenie, dwór

tylko pański, palcami sobie z po za tronu ukazując przybywających z daninami, urągał się im i wysmiewał bezwstydnie. Na niektórych też Bolko spoglądał z ukosa, gniewnie brwi czasem marszcząc, choć żadnemu nie odpowiedział na skłonienie, a od innych odwracał się widocznym wstrętem i wzgardą.

Z twarzy przybywających, nie tyle obawę co niechęć i gniew widać było. Szli wszyscy jak z obowiązku, niektórzy młodszym krewnym zastępować się nakazując, aby pokłonu nie bić i czoła nie uchylić. Dań jednak była obfita i wspaniała i na kupach gromadziło się srebro, złoto, pieniądze różne, kawały kruszcu porąbane.

Bolko prawie nie patrzył na to, nie wiele się zdając cenić co mu przynoszono. Więcej oczyma śledził tych co niesli, niż to co mu oddawano. Brzęk go czasem obudził z zamyślenia, w które znowu wpadał, mrużąc oczy i jakby do snu się zabierając.

Skarbny głosem znużonym wywoływał ziemie i imiona, przez otwarte wrota wchodzili powołani, za nimi niesiono dań, i pokłon złożywszy, ustępowali ku namiotom...

Dziwny szmer przebiegł w tłumie i dworze, zwróciły się oczy wszystkich ku wnijsciu, i ujrano stojącego na koniu, w odzieży oszarpanej, ubranego nędznie, z potarganym na głowie włosem, Mściława z Bużenina. Oczekiwać się zdawał na

kolój swą, ale mu tak z oczów patrzało, jakby tu z czém inném przybył, i króla chciał w obec mnogich świadków o krzywdę swą pozywać.

Bolcsław siedzący z głową zwieszoną nie widział go jeszcze; drudzy niespokojni poruszali się przez tłum ku niemu przedzierając, aby mu wystąpienie zuchwałe odradzić. Mścisław stał, nie chcąc się dać z miejsca swojego poruszyć.

Nadbiegł doń Dryja, który zdala go zobaczył i za cugle konia mu pochwycił.

— Czego stoisz! co ty tu robisz! — zapytał.

— Albo mi to stać i patrzeć nie wolno? — z uśmiechem gniewnym odparł Mścisław.

— Cóż-eś to o wszystkiem zabył i chcesz się z nim zadrzeć, aby ci prędjéj głowę zdjęto? — rzekł Dryja.

— Jako żywo! — odpowiedział Mścisław — nie nie chcę więcej, tylko, aby się mnie odartemu natrzymał do syta, aby mnie miał przed oczyma, aby przeczytał z moich oczu, że mu zemstę po-przysiągłem. Wiem, że mu tym widokiem dzień struję... Chcę mu struć choć godzinę...

I nie dał się odwieść Mścisław, owszem przybliżył do szranków tak, aby król widzieć go musiał.

Stało się jak życzył, bo głowę podniósłszy Bolesław, zobaczył męża Krysty, i wlepił weń oczy gniewne. Oba wyzywająco patrzali na siebie, król wzrok odwrócił, lecz niepokoiło go to zjawi-

sko, i coraz w tę stronę spoglądał. Mściśław odarty stał nieruchomie.

Wszyscy na niego i na króla patrzali na przemiany, drząc, jak się skończy ta sprawa. Lecz wkrótce Bolesław, jakby chciał okazać, iż go Mściśław nie obchodzi wcale, na co innego wejrzenie odwrócił. Począł się wpatrywać w kleryka, którego Skarbný wziął z sobą do wywoływania i liczby.

Był to biedny wyrostek, żółty, chudy, wynędzniały, z twarzą długą, oczyma niespokojnemi, rękami długimi, które z pod szaty nazbyt obcisłej wystawały — niepozorny i wylekły. Pełnił swoją powinność poddając Skarbnemu nazwiska ziem i powiatów, ale oczy jego, co nigdy tyle złota nie widziały, chciały biegały po kupach tych bogactw, coraz się powiększających. Widok skarbów, które u stóp jego leżały zrzucone jak drzewo, męszął go widocznie. Śmiał się do nich, poruszał, ciekawie wpatrując, zapominał się i ręce ku nim wyciągał, to za głowę się chwytał z podziwu i szalu; słowem, widok bogactw królewskich przytomność mu odbierał.

Skarbný widząc go tak rozgorączkowanym, parę razy za suknię pociągnął, aby się opamiętał, że przed obliczem króla stał. Nic to jednak nie pomagało.

Bolesława śmieszył ten kleryk biedny, jakby dla zabawienia go był tu ściągnięty. Oczów już

z niego nie spuszczał, usta mu się do śmiechu krzywiły, a ramiona drgały, jakby go tłumił w sobie. Nagle z siedzenia zagrzemiał straszny głos pański:

— Klecho! co ci jest?

Wszyscy się ruszyli, król wskazał ręką na kleryka. Strwożył się człek biedny, ale nie wierzył, aby o niego chodziło. Skarbny za ramię go pochwyciwszy, dał mu znak, iż król go pyta.

Naówczas wyrostek ów z trwogi prawie tracąc przytomność, padł na kolana drżący i rzekł składając ręce, zwrócony ku panu:

— Panie! nie jestem winien!

Rozśmiał się król z trwogi i zawołał powtórnie:

— Co ci jest, iż tak niespokojnym się stałeś?

— Miłościwy panie — począł zawahawszy się kleryk, który i teraz oczów nie spuszczał z kup złota. — Przebacz mi miłościwy panie, widok tych skarbów i twojego majestatu, omamił mnie, iż przytomność utraciłem... Porównywałem je z moją nędzą i ubóstwem, myślałem jakby z tém złotem szczęśliwym być można.

Bolesław rozśmiał się szydersko, sparty na rękę patrzył ciągle na wylękłego, klęczącego przed sobą klechę, wszyscy milczeli, czekając jak się to zakończy.

— Cóż? Klecho? chciałbyś mieć dużo tego złota! — zapytał król.

Uśmiechem jakimś rajskiego wesela, rozjaśniła

się twarz kleryka. Odpowiadać nie śmiał, oczy tylko cheiwe, żarzące się pragnieniem wlepił w stos kruszcen nagromadzony u nóg pana.

— No! chcesz złota? mów! — zagrzemiał głos królewski.

— Cóż po checi! królu wielki! — odparł kleryk głosem drżącym — co po checi takiej, gdy posiąść nie mogę!

Rozśmiał się Bolesław.

— Bierz tego złota ile go udźwigniesz — rzekł szydersko — bierz, co uniesiesz to twoje.

Dwór i Boleszezyce stojący po za królem śmiechem wybuchli, potem patrzali wszyscy milezący i zdumieni — kleryk osłupiały niedowierzał.

— Bierz! a żywo! — zawołał król nakazując — bierz!

Słyszając ponowiony rozkaz królewski, kleryk się rzucił jak oszałały, odgarnął naprzód poły wązkiej sukni, lecz wnet zważył, że w nie zabraćby mógł mało... Szybko więc na nie się już nie oglądając, suknię zdjął całą, pod którą mało-co podartej i brudnej widać było bielizny — rozpostarł ją na ziemi, ukląkł i garnąc począł do niej, co leżało pod ręką.

Chwytał i ciskał cheiwie co mu się nastroczało, gromadził gorączkowo, spoglądając tylko kiedy niekiedy ukradkiem na króla, który z pośpiechu i niezgrabności się wyśmiewał.

Tłum stał w milczeniu, ziemianie mający iść



z kolei oczekiwali, król okazując jawnie jak mało dbał o złoto, z pogardą patrzył, jak mu je kleryk zabierał.

Na ostatek suknia uboga była już pełną wszelkiego kruszcu i pieniążków, kleryk co żywiej począł ją wiązać, schylił się i usiłował na plecy ująć to brzemie. Błady, zadyszany oblany potem, słysząc dokoła wybuchające śmiechy szyderskie, obawiał się może, aby król nie odwołał darowizny i spieszył z pochwyceniem zdobyczy. Z wielkim wysiłkiem udało mu się pochwyciwszy, ogromne brzemie owo zarzucić na plecy, ale natychmiast ugiął się wpół pod niezmierną jego wagą i zachwiał. Kroku dalej postąpić nie mogąc, siłił się daremnie. Widać było jak się śłaniał, ugiął, napręzał, — krok postąpił naprzód, twarz mu straszliwie pobladła, potem pokraśniała nagle, krew buchnęła ustami — i padł twarzą na ziemię złamany brzemieniem.

Milczenie straszne panowało czas jakiś. Myślano że się podniesie, drgnięcie tylko widać było, ręce mu się ścisnęły i — ciało poruszać przestało. Król wzgardliwie patrzył, nie mówiąc nic.

Dwóch z czeladzi podbiegło na dany znak ku leżącemu, jeden z nich ujął go za głowę, drugi podniósł kleryka... Oczy mu stały słupem, martwy był i wybladły, twarz miał trupią. — Nie żył.

— Miłościwy królu — odezwał się Skarbný — ozłek ten nie żyje — co uczynić z nim?

— Ukarany za chciwość! — rozśmiał się Bolko z tronu. Bogdaj jak on wszyscy chciwcy przepadli! Cisnąć trupa do Wisły, razem z tém złotem co go zabiło! Pogrzebu nie warte ciało — a co król raz dał tego nie odbiera.

Precz ze ścierwem \*)

Doniosły, namiętny głos króla daleko słychać było; w milczeniu, ze zgrozą słuchano wyroku.

Czterech pacholców podszło natychmiast spełnić rozkaz, zabierają zwłoki i węzeł co je przydusił. Wśród milczenia tego z tłumu podniósł się głos jakiś:

— Królu, niesprawiedliwe są sądy twoje, — nie chciwość go zabiła, ale miłość; albowiem rodziców ma w nędzy, dwóch braci czeka okupu w niewoli, biedak nie dla siebie skarbów tych pragnął, ale dla tych, których miłował więcej niż siebie...

Czy król posłyszał i zrozumiał te wyrazy? wiedzieć było trudno, gdyż w rogi zatrąbiono i znowu dalej powiaty wywoływać zaczęto, a Bolko nawet nie odwrócił głowy...

Trup, któremu do szyi przywiązano złoto, poszedł z niem na dno Wisły.

Wypadek ten, który na chwilę przerwał uroczystość, uczynił na tłumach wrażenie wielkie. Wspaniałość króla, nieopatrzna chciwość biednego

---

\*) Gallus.

człowieka, sprawiedliwość bożą, niełitościwy wyrok pana, ów głos sądzący sędziego — wszyscy brali do serca, zdumiewali się i trwożyli. Twarze oblokła powaga, smutek, bojaźń, tylko król obojętności swój nie zmienił. Spójrzył ku miejscu gdzie stał Mściśław i znalazł go tam nieruchomego z oczyma w siebie wlepionemi.

W chwilę potem znikł z tłumu Mściśław...

Drogą do zamku wiodącą, która teraz pustą była, bo nawet strażę od bram poszły się przypatrywać złotemu widowisku, — szedł wkrótce potem mężczyzna prostą odziany sukmaną, w czapce chłopskiej, z kijem w ręku. Na czoło miał nasunięte włosy ciemne i czapkę, a kołnierz odłożony tak, iż mu twarzy mało co widać było. Czarny zarost dobywał się tylko i dwoje oczu połyskujących. Szedł, oglądając się bacznie, krokiem wolnym jakby się czegoś lękał, choć do króla małego ludowi i sukmanom zawsze przystęp był wolny, a od kijowskiej wyprawy jeszcze swobodniejszy niż kiedy.

Ci co widzieli na łące Mściśława na koniu, przypatrującego się królowi uparcie, mierzącego go zuchwałemi oczyma, po sukni i postawie w tym wieśniaku domyslećby się mogli męża Krysty. On to był w istocie. Po wyniesieniu zwłok kłeryka wysunął się, konia rzucił gdzieś i pieszo starał się wkraść do zamku. Szedł ostrożnie, niekiedy głowę podnosząc, przyglądając się bacznie

niewiastom, które dotąd po nad palami i ostrokołami stały gromadnie na górze.

Tak doszedł do wrót samych, a że mu nikt nie stanął do zamku na przeszkodzie, wkroczył przez bramę, wciąż rozpatrując i zazierając we wszystkie kąty. Gdy się znalazł na płaszczyźnie, kędy dworce pańskie stały, a gdzie teraz pusto było, bo ledwo część psiarzy, sokolników i stajennych parobków na zamku została, zdawał się wahać dokąd dalej ma kroczyć. Obejrzał się raz jeszcze i szedł ku dalszym budowlom, które od królewskiego i królowych dworca łatwo rozeznąć było. Wyglądał przebrany w tę siermięgę, z obóciem nędznem, tak ubogo i odarto, że go o żebraninę posądzić było można, bo od pierwszych drzwi począwszy, kroczył z kolei od sieni do sieni zaglądając wszędzie ciekawie, stając u drzwi i okien nasłuchując bacznie.

Nikogo tu prawie nie było, okna poodsuwane stały otworem, drzwi na oścież były odmykane. Dwoje czy troje sieni pominąwszy, od mieszkań których ludność wybiegła była na wały, przypatrywać się królewskiej uroczystości, zatrzymał się nagle i drgnął Mścisław. Tu przez okno widać było wywieszoną odzież niewieścią, którą chciwemi zmierzwszy oczyma, dokoła się obejrzał i wśliznąwszy w ciemne przedsienie, zniknął.

Nikt nań nie zważał, nikt nie widział, jak się gdzieś ukrył w kącie.

W chwilę potém niewiasty czy znudzone widokiem jednostajnym, czy dla słońca i wiatru, który się zrywał, poczęły z wałów schodzić i po jednej, po dwie do dworców powracać.

Ukazała się wśród nich i pańska Krysta, cała białą zasloną obwinięta, biegnąc właśnie ku tej sieni, w której się mąż jej ukrywał. Była sama jedna, a choć ją od stóp do głowy okrywały cienkie rąbki, poznać mógł ją łatwo każdy po kibici zręcznej i ruchach pieszczonych... Żadna inna, ani tak biegać, ni tak stanąć, ni się tak wdzięcznie przegiąć i główki pochylić nie umiała.

Z wałów, szepeząc coś między sobą, odwróciły się patrząc na nią wszystkie niewiasty i ścigały ciągle oczyma. I śmiały się, ruszały ramionami, palcami ją sobie nkazywały, a zazdrość i gniewy wybuchały w ich głosach.

Zaledwie Krysta wbiegła do dworca, po chwili krzyk się dał słyszeć, krótki, urwany, ale pełen trwogi i przerażenia.

Za tém nagle ucichło. Nikt tego rozpaczliwego nie pochwycił głosu. Izba Krysty, w której teraz nikogo nie było, bo się służba jej rozbiegła, tak złoćisto i bogato przybrana świeciła, jak wszystko co króla otaczało i co mu służyło.

Krysta błada, z rękami załamane, z głową spuszczoną, stała w pośrodku. Opadła z niej na ziemię zasłona biała, pozostała w jednej sukience opiętą, jakby do ciała przylegającą, która śliczną

jój kibić obejmowała i do stóp spadała fałdami gęstemi.

Przed nią w progu stał Mścisław w brudnej sukmanie, czapkę trzymając w ręku i oczyma gorącemi, zażawionemi pożerał żonę. Patrzył na nią, drżał, mówić nie mógł, płakał jak nie mężczyzna, jak matka co dziecko straciwszy, nagle je odzyskuje. Kryście, widok męża, od którego król ją porwał, odjął przytomność na chwilę, lękała się, aby ją nie zabił. A Mścisław stał oczarowany nią, oniemiały, bezsilny, tak że choć tu życia swojego nie był pewnym, gdyby go pochwyceno, choć rozmówić się z żoną pilno mu było, zapomniał o wszystkim... patrzył tylko... Spoglądali tak na siebie, czytając w swych twarzach, ona szukała w nim co przyniósł z sobą, zemstę czy przebaczenie, on patrzył czy w niej tę miłość znajdzie jeszcze, dla której życie ważył. Niewiasta prędzej zrozumiała go i ochłonęła z przestachu. Swawolna była jak dziecko, ale bystra i pojętna, przez czarne jój źrenice błysk jakiś przeleciał.

— Krysto moja! Krysto! — zawołał mąż ręce ku niej wyciągając. — Nie! tyś o mnie zapomnieć nie mogła, ty taki tęsknisz za mną... ty do mnie powrócisz. Mów Krysto moja...

Spuściła oczy niewiasta i usta się jój zacięły; z pod brwi rzuciła oczyma wylekłemi, jakby go chciała badać jeszcze i żywo rzekła.

— A! tak! tak! Zrobię co chcesz, pójdę, ale teraz... gdyby cię tu kto zastał, gdyby sługi nadeszły! A! nieszczęścieby się stało! Król tak zazdrosny! ludzie tacy źli... Schowaj się, ukryj gdzie do nocy...

— A nocą uciekniemy! — krzyknął Mściśław ręce ku niej wyciągając.

— A! tak! uciekniemy! — prędko powtórzyła Krysta.

— Gdzież się mam skryć! mów, pokaż! — wołał Mściśław.

— Gdzie? ale ja nie wiem! — niespokojnie się poruszając odpowiedziała kobieta, głowę zwracając to ku oknu, to na drzwi komory.

— Skryć się! trzeba się skryć gdziekolwiek! Gdy nadejdą dziewczki moje, domyślą się, pobiegną, wydadzą. Schowaj się co prędzej, gdzie chcesz, ale prędzej! a! prędzej!

To mówiąc Krysta zaczęła obiegać po izbie, parę razy znów oknem wyjrzała, chwyciła się za serce, za głowę... nie wiedziała co począć z sobą. Gdyby Mściśław nie miłował jęj tak bardzo, możeby był mógł poznać, iż więcej było trwogi w niej i gniewu, niepokoju o siebie, niż obawy o niego.

On sobie tłumaczył bojaźń tę jako oznakę miłości żony. Uradowany, zapomniawszy o wszystkim, powtarzał tylko pytanie, gdzie i jak ukryć się może?



Krysta miała się czas namyśleć, stanęła i palce na zbladłych położyła ustach.

— Idź na wyżki! w sieniach stoi drabina, nikt tam prawie nie chodzi, nie znajdą cię tam.

Mściśław chciał natychmiast usłuchać, lecz porzucić ją żał mu się zrobiło. Stąpił krok i zawahał się.

— Mów jeszcze — zawołał — powiedz kiedy mam przyjść po ciebie... Wymknę się z zamku i powrócę...

Krysta nogą uderzyła w ziemię z niecierpliwości.

— Uciekaj — zawołała — ja nie wiem nic, ja ze strachu szaleję! jam biedna i nieszczęśliwa.

Zakryła oczy i płakać zaczęła.

Potém nagle widząc, że to nie skutkuje, jakby oczy jęj oschły, odstłoniła je i zaczęła mówić pośpiesznie, na drzwi ręką wskazując.

— Powracaj, ja nie wiem, o mroku. Stanę w progu, odzicję się w chusty proste, gdy będzie można, ujdziemy.

Chciał Mściśław pytać jeszcze, gdy Krysta pobiegła do okna, wychyliła się niem, sparła i wyjrawszy daleko, wołać poczęła żywo.

— Uchodźże, a to ci życie niemiłe! Uciekaj! z wałów wracają dziewczki moje! a! uchodź co prędzej, póki czas!

— Więc o mroku! dziś! — zawołał Mściśław.



— A tak! tak! dziś! o mroku! ale idź! idź!  
idź!

I rękami białemi na drzwi ukazując, miotając nagliła, aby wychodził co prędzej.

Mściśław ociągał się patrząc jęj w oczy, wyszedł nareście. Ujrzawszy drzwi zamykające się za nim, Krysta pędem wpadła do sąsiedniej komory i drzwi ogromną zasuwą zaryglowała za sobą.

Mściśław jak pijany z izby się wytoczył, zachwiał, o ścianę spartł, musiał stać tak dobrą chwilę, dopóki nie oprzytomniał i nie przyszedł do siebie, bo drogi zapomniał, drzwi nie widział i nierychło ostygłszy, czapkę na oczy nacisnął, kołnierz podniósł, zwolna się wytaczając na podwórze.

Co się w komorze działo?

Tam słychać było oddech ciężki; potem chód szybki, jęczenie, płacz... i wszystko zamilkło.

Odsunęła się zasuwa ostrożnie, powoli, przez szparę wyjrzała Krysta czarnemi oczynia.

Nikogo w izbie nie było, odetchnęła wsuwając się do niej ostrożnie, na palcach.

Podszła cicho ku drzwiom od sieni, uchyliła je bacznie, rzuciła wejrzenie w ciemną głąb, ku drabinie, nic się nie poruszało nigdzie, nie było nikogo.

Odetchnęła nieco z przerażenia. Zdawało się widać było kroczącego wolno ku wrotom Mściśława.

więcej nikogo, mógł ujść bezpieczny jak przyszedł. Lżej się Kryście zrobiło. Na bladą jej twarz wróciło trochę rumieńca.

Lecz stała w progu niespokojna jeszcze, zadumana, z palcem na ustach. Oczy jej biegały zdając się ścian pytać i stropu: co pocniemy!

Pobiegła wewnątrz, zarzuciła białą płachtę na siebie, wyszła szybko z dworca ku wałom i rozmyślała się inaczej. Wróciła niespokojna do izby, rzuciła zasłonę, stanęła ręce łamiąc, kręcąc się, przysiadając, podrażniona, prawie gniewna.

Brwi się jej ściągnęły, usta ścięły, piękna niewiasta stała się straszną, oczy jej ciskały pioruny. Nogą biła o podłogę, ręce wyciągała ku drzwiom, kręciła się jakby w skoczném wirując kole, potem stawiała skamieniona, a wzrok topiła w ziemię.

Z tych ruchów głowy, rąk i oczu, czytać było można wyrazy, które w duchu mówiła do siebie.

— A! tak źle, tak nie można! potrzeba inaczej. Co począć! I tak straszno, i tak nie dobrze! i milczeć nie mogę i mówić się boję. A! jakżem ja nieszczęśliwa!

Gniew w niej wzbierał, gniewała się na niego, na siebie, na króla, na swą dolę, najwięcej pono na upartego co ją tak kochał, że gotów był swe życie i jej życie poświęcić.

Pobiegła ku drzwiom, u drzwi stała srebrna konew z wodą i kubek wisiał przy niej. Napila

się wody, aby orzeźwić, paliły się usta, serce biło, w oczach to płomienie przelatwały, to czarne płatki.

— A! wodo moja! wodo! — wołała — wodo powiedz mi co czynić mam nieszczęśliwa!! Czy iść się utopić w tobie, czy za tym iść, któremu przysięgała, czy za tamtym co mi jak słonko świeci! jak słonko pali! To król, to pan, a ja jego królowa, ja tu pani, nie ta stara co w kącie płacze!! I wszystko porzucić, a iść gdzie smutek, gdzie żaloba. Dogonią, krew się poleje! krew! A! ja widoku jej znieść nie mogę! Mnie zabić mogą! Jego przezemnie! krew na głowę mi spadnie! krew!

Pomyślała nieco.

— Powiem wszystko, powiem lepiej? Cóż mu się stanie? Ja mu życie wyproszę, oczy mu wyproszę... posiedzi w ciemnicy. Pocałuję to wypuścić go każe... Uciekać? a nie, nie. Nie chcę! nie mogę!

Rozmyślała tak po izbie biegając, gdy za drzwiami ktoś chrząknął, nastawiła ucha i pobladła, stała milcząca, potem na palcach biegła ku komorze, kaszlnął ktoś raz drugi.

Na drzwi komory patrzyła Krysta, jakby sobie dając do wyboru uciekać czy czekać, zostać czy uchodzić, palec przycisnęła do ust, jakby z niego wyssać chciała, jak sobie radzić?

Już wchodziła po cichu do komory, stanęła w progu, zawróciła się niepewna.

Wtém i drzwi się uchyliły od sieni, w szparze ich widać było Borzywoja Boleszczyca, który śmiał się i mrugał ku pięknej niewieście. Krysta się zarumieniła. Wszedł. Obejrzał się dokoła, ona do okna pobiegła i wychyliła niem rozglądając po podwórzu, a podniósłszy się pogroziła zu-chwałemu.

Niby mówiła, jak śmiał przychodzić tak ponufale? ale widać było, że się wcale nie gniewała. Borzywój dnia tego nie pojechał z braćmi w orszaku, uczynił się chorym, może umyślnie, dlatego, aby chwilę upatrzwszy bezpieczną, zejść Krystę samą jedną.

I on i Zbilut i wielu innych się w nią zdala rozmiłowywało. A ona? wszystkim hołdom rada była, oczyma wabiła, ustami lajała, nie odstręczając żadnego. Była tak zalotną, że się i gołębiom na strzesze wdzięczyć była gotową, tak ją nieszczęśliwą stworzył Bóg, na własne i ludzi utrapienie. Nie czuła się winną, zdawało się jój, że nie mogło być inaczej. Była tak piękną, juści wszyscy się w nią kochać musieli a jój, ot tak, biedaków żal było.

— E! ty, ty! — szepnęła niby gniewnie — po co bo ty tu? po co!

— Złoto moje, królowo moja! aby ciebie zobaczyć...

Chciał się Borzywój zbliżyć trochę, furknęła.

— Stój zdaleka, a nie to zawołam na dziewczęta...

— To co? powiem, że pańskiego dobra pilnuję! — odezwał się Borzywój wesoło — a dziewczki żadnej też niema, bo wszystkie na walach.

Zarumieniła się Krysta i parsknęła.

— A no! stój zdala, bo oknem zakrzyczę!

Lecz mówiąc tak groźnie, rozśmiała się dziwnie, głos jej dźwięczał pychą, dumą, zalotnością i niepokojem, oczy to w niego topiła, to gniewnie odwracała...

Borzywój ciągle starał się przybliżyć.

— Dajże ty mi pokój, ty jakiś! — wołała nań przestawszy się śmiać. — Doprawdy wydam cię przed panem, zobaczysz co będzie!

Rączką na gardło pokazała.

— Nie wydasz i nie powiesz, boś ty dobra i litościwa — rzekł Borzywój — zresztą niema co i gadać przed panem. Albo to on nie wie, że się wszyscy do jego Krysty palą jak pochodnie, a Krysta strzela oczyma i śmieje się ze wszystkich.

Krysta się nicco obrazila, dumną minkę zrobiła.

— Albo co? — podchwyciła — strzelam oczyma? Na to je mam, abym niemi strzelała... no, i śmieję się!! bo wszyscy sobie coś myślicie, a to nieprawda! nieprawda! Patrzcie go! jakiś!

Tęj wielkiej grozy Borzywój się nie uląkł wcale.

— No, jeśli na to masz oczy, abys niemi strzelała, to i usta na to są, abys całowała. Dajże mi choć raz gęby!

Posunął się zuchwale, Krysta srogą, groźną, straszliwą twarz nastroiła, tupiąc nogą.

— Stój u progu lub źle będzie!

Westchnął Borzywój, ale mu z oczów patrzało.

— Przyjdzie chwila, że ty do mnie zagadasz inaczej.

Krysta główką potrząsając, zamyśliła się, nie mogła jeszcze swojej biedy zapomnieć.

— Ot, słuchajno — rzekła podnosząc nań oczy — wdziej suknię i zaraz odemnie idź do pana.

— Do pana? król siedzi na tronie i króluje, to nie pora!

— Co mi tam!

— Alboś się tak za nim zatęskniła! — spytał żartobliwie Borzywój.

— Pewnie! czyż niema za kim! — odparła Krysta dumnie.

— Z czémże mam iść do niego?

Na to pytanie, odpowiedź była trndną, Krysta na palcu zawijała i rozwijała chustynkę.

— Powiesz mu — rzekła — tylko tyle, że Krysta chce, aby do niej co najprędzej powracał,

bo, bo jój pilno, bo, ma wielkie słowo na ustach, straszne słowo, a słowa tego przez nikogo mu posłać nie może, tylko mu je sama musi powiedzieć do ucha.

Mieszła się i jękała mówiąc, a Borzywój głową potrząsał, żartobliwie się uśmiechając ze straszego słowa, jak gdyby w nie wierzyć nie chciał.

— Gdybyście mnie do ucha dali to straszne słowo, wiernie bym mu je zaniósł i nie zgubił po drodze.

— O nie! nie! To słowo ja sama mu powiedzieć muszę.

— Abyś się mnie pozbyła, bo może czekasz na innego! — szepnął Borzywój.

Krysta się oburzyła naprawdę.

— Brzydki człowiecze! — rzekła — kiedy się klnę na matusię moją, że w tém słowie śmierć lub życie być może.

— O ho! — przerwał Borzywój.

— A tak! — potwierdziła Krysta — śmierć lub życie!

— Czyje? — spytał dworak.

— I czyjeś i moje! — odparła Krysta brwi marszcząc.

Borzywój u drzwi stał nie ruszając się jeszcze, ciężko odejść mu było.

— No, to pójde — rzekł — ale mi choć co

dajcie na drogę, jak mam iść za waszą sprawą bez gościńca? Nie pójdę!

Krysta się rozśmiała zimnym śmiechem zalotnicy, która rozumieć niby nie chce tego, o czém wie doskonale, i główką pokręciła.

— Jeszcze czego!!

Ale stała w miejscu i choć niby pierzchnąć się zabierała, nie uciekała. Dopiero gdy Borzywój przyskoczył chcąc ją pocałować, popchnęła go silnie od siebie i pędem wpadłszy do komory, nim ją zarygłowała za sobą, główkę mu jeszcze pokazując, krzyknęła.

— Idźcie mi zaraz... wszakżeś zapłacony! idź!

Borzywój odetchnął ciężko, popatrzał groźnie, zawrócił się niechętnie i wyszedł nareście.

Zamkniętej w komorze niesposób było usiedzieć długo, odsunęła zasłonę, wysadziła głowę, obejrzała się i wyszła. Sama się sobie uśmiechała, ale jej było bardzo smutno. Siadła na ławie, sparała się na rękę, dumiała potrząsając głową.

— Co mi tam wszyscy oni! — mówiła sobie — Król nunie porzucić nie może, o nie! Ile razy mnie zobaczy, zaśmieją mu się oczy, choćby z gniewu krwią zapłynęły. Królowa postarzała i wciąż płacze. Łzami ich nie przytrzymać, odpędzić chyba, wszyscy oni łez nie lubią. Im trzeba ust co się śmieją, choćby dusza płakała, o! ja to wiem co im trzeba!! Ja wszystko wiem, wszystko... choć nie wiem jak? kto mi to mówi?



Ruszyła ramionami.

— Co tam! dosyć że wiem. Mały palec mi powiada.

I śmiała się do siebie sama, dumna tą niewieścią przenikliwością.

W tém dziewcząt dwoje wpadło śpiewając do sieni, śpiew ich ustał na progu i wsunęły się do izby sznurując usta.

Były to pani dziewczki służebne. Spojrzały na nią, ona na nie. Złękły się może brwi zmarszczonej, ust groźnie wydętych i cicho przesunęły się do komory.

Tam znów słychać było chichotanie i szepty. Namysliła się Krysta, popatrzawszy na suknię swoją.

— Ciarka! — zawołała.

Starsza z dziewcząt stawiała się z uśmiechem przed panią.

— Mów, cobym ja włożyła, abym piękną była?

— A! — ręką usta zatulając rzekło dziewczę — a! choćbyście i gzła nie mieli, toby wam było chyba piękniej jeszcze.

I z za dłoni, którą się zasłaniała, śmiała się figlarnie poufała dziewczyna.

— Mów jaką ja mam wdziac? — poczęła Krysta — czy niebieską suknię, czy kraśną, czy złotą? Mój pan przyjdzie do mnie... Popraw mi włosy, zasłona mi je popsula...

Ciarka się zbliżyła i pani a sługa poufałe z sobą

gwarzyć i śmiać się zaczęły. Niesiono suknię jedną i drugą i trzecią, aż Krysta rzucając, przebierając, na szkarłat się namyśliła, czarnobrewie było w nim najkraśniejsze, wyglądała jak królowa.

— Będę jak królowa! — szepnęła do Ciarki.

— Boś ty królowa! — przypochlebiając się mówiło dziewczę.

We dwie aż przyszły na nią wdziawać i opinać na niej suknię obcisłą, gdy w podwórzu wrzawa wielka powstała, tentent koni, rogów granie.

Król powracał. Krysta biegła do okna, wychyliła się ku niemu i zdala zobaczywszy, ręką znak mu dawała.

— Bywaj, do mnie!

Dostrzegł król czy nie, lecz nagle stanął wśród podwórza, z konia zsiadał. Siwą klacz jego wiedli do stajni uroczyście, i król naprzód poszedł za nią.

Dwór rozpełzł się po podwórceu, kilku tylko na zawołanie przy panu zostało, a i ci zobaczywszy, że ze stajni do Krysty idzie, powoli, ociągając się, zostali w podwórzu i przedsieniach.

Król wszedł sam, zasepiony, zmęczony, taki, którego długo trzeba było nosić jak ptaka łowami podrażnionego, aż oczy przymknął i usnął na ręku.

Krysta strojna, z włosami na ramiona rozpuszczonemi, siedziała z chustynką w ręku, jakby się jej na łzy zbierało.

Spojrzał Bolesław na nią.

— A co ci to, czarnobrewo, co się jak księżyc mienisz? Trzpiotałaś się jak wróbel rano, juści pod wieczór łyż przyszły?

Krysta jakby nie słyszała, nie spojrzawszy nań siedziała nadąsana, chmurna, milcząca, głowy nawet nie zwróciła ku niemu, głos usłyszawszy. Król zbliżył się i uderzył ją ręką zwolna po białych ramionach aż zadrgnęła.

— Co tobie? mów — rzekł rubasznie, ty wiesz Krysto, że ja ni łoż, ni zagadek nie lubię.

Wtém nagle oczy odsłoniwszy, ręce rozpostarłszy, Krysta powstała i do nóg mu upadła.

— Panie miłościwy, panie mój, jeśli mnie nie poratujesz, jestem zgubioną.

Król się zmarszczył i rozgniewał, nogą tupnął aż ostroga brzękła złota.

Wstała z ziemi Krysta, uwiesiła się królowi na szyi i szeptać poczęła.

— Królu panie! daj mi słowo, że mu nie wezmiesz życia!

— Komu? — krzyknął Bolesław.

— Daj mi słowo!

Bolesław zlekka ją od siebie odtrącił.

— Mów komu! mów co zawinił!

— Daj słowo!

Nagniewał się pan, ale mu pilno było.

— Żyć będzie, mów co dalej?

Krysta wróciła do królewskiego ucha.

— Mściśław tu był, tu...

Bolesław aż się cofnął i za mieczyk pochwycił.

— On? tu? gdzie i jak? kiedy?

Skinęła nań Krysta, aby usiadł przy niej na ławie, objęła go ręką za szyję, ezolo położyła na ramieniu i poczęła cicho szeptać mu coś do ucha. Po twarzy króla przelatywały burze i pioruny. Nie mówił nic tylko mu białka w oczach krwią zapływały, usta zbladły i zęby się ścięły.

Słuchał tego ust jej szmeru długo, zadumany, potem wstał od niej nie mówiąc nic i przechadzać się począł. Krysta biegła za nim niespokojna, знаła go już, że strasznym był gdy głos podnosił gniewny, ale strasniejszym gdy milczał. Nie odpowiadał jej wcale, stanął w oknie, patrzył w nie długo i nierychło ku niej się obrócił.

— Bądź spokojna, jam nieładny dusić robaki, choć sam mi lezie pod stopy! Życia nie wezmę, ale rozumu uczyć go potrzeba! Mściśław chce się z królem mierzyć! ze mną!

Bolko rozśmiał się a w śmiechu zębami zgrzytał i straszny był. Krysta przestraszona spoglądała nań jeszcze, gdy, gwałtownie cisnąwszy drzwiami, król wyszedł od niej i na dworcu swoje pociągnął.

O kroków kilkanaście spotkali go i otoczyli Boleszczyce, on im mimochodem kilka słów rzucił i szedł dalej.

Widać było, że im dał jakieś rozkazy. Kupką

stała drużyna naradzać się z sobą. Było ich kilkunastu, żwawo, pochylając się ku sobie, rozprawiając, szepecząc, poczęli się umawiać o coś Boleszczyce. Z ruchów i twarzy znać było sprawę ważną i pilną, której wykonanie gorąco ich obchodziło. Jedni się wyrywali, wstrzymywali drudzy, sprzeczekali.

Tajemnicą musiało być co im powierzył król, bo gdy się kto z dworzan do nich przybliżał, milkli, pozbywali się go, odsyłali, sami potem znowu wracając do narad i cichych szeptów między sobą. Niektórzy rozglądali się dokoła w podwórcach, wskazując miejsca, jakby stanowiska sobie wyznaczali. Wtém we wrotach orszak się jakiś powoli wjeżdżający ukazał. Na przedzie widać było konno pomiędzy kilku duchownymi jadącego biskupa Stanisława ze Szczepanowa, za nim czeladź jego i domowników, skromny dwór składających. Od wrót wszyscy się skierowali ku dworcowi królewskiemu, gdzie u wnijscia głównego zsiadł biskup, a jeden z kapelanów poszedł o nim podkomorzym króla oznajmić.

---

#### IV.

Król Bolesław gdy zmęczony był, spoczywał zwykle na posłaniu nizkiém, miękkimi skórami wyłożoném. Psy myśliwskie ulubione mu, które rzadko go odstępowały, w izbie téj z nim i przy nim legiwać miały prawo. Tak samo jak konie swe, które król nad miarę miłował, często je przenosząc nad ludzi, kochał téż psy swoje, dając im swobodę wielką, lubował się téż z sokoły, rarogi i białozorami, których izby pełne były.

Wojak był mężny i zapamiętały, i nie mniej namiętnie myśliwstwo lubił, co najczęściej z sobą chodzi. Gdy brakło wojny, łowy ją zastępowały, a z nich mu był najmilszy ten, z którym walka najsroższą i najniebezpieczniejszą była. Najchętniej jeździł na jelenie, łosie, wieprze dzikie, żubry i tury, co nieraz jeźdźca z koniem na rogi wzię-

wszy, w powietrze go wyrzucały, racicami i rogami mordując mściwie ludzi.

Z oszczepem na żubra samemu się rzucić, z mieczykiem na dzika, z toporkiem na niedźwiedzia nie było dlań nowiną.

Próżno go naówczas chcieć było powstrzymać, bo i człowieka co by go hamował ubić był gotów.

Ogromne psy królewskie, stróże najwierniejsze, nie bardzo się komu do sypialni zbliżyć dawały, a na skinienie jego człękaby rozszarpać były gotowe. Miał z nich straż czujną i straszną, we dnie i w nocy, lepszą od tych jaką ludzie sprawiali.

Byle się co w przyległej ruszyło komorze, podnosiły głowy i warczały na drzwi patrząc, jakby poskoczyć chciały, aż je król głosem groźnym hamować musiał.

Sprawiano tym ulubieńcom czasem w podwórcach łowy, gdy żywcem dzika, jelenia lub niedźwiedzia ujęto. Zamykano naówczas bramy, stawiali ludzie z oszczepami, wypuszczano zwierza z kleci i król się sam za nim tuż uganiał. Nieraz się trafiało, że gnany i ścigany zwierz, dopadłszy do wałów, ostrokoły przesadzał, skakał z góry, a nawet uchodził, czasem na słabszego parobka wpadłszy rezdarł go i zdusił nim dobieżouo.

Te krwawe zabawy ulubione były panu.

Dnia tego król i zmęczony był i gniewny, patrzył w powałę, brwi marszczył, pięścią bił

o posłanie i psy się doń nawet zbliżyć nie śmiały, bo je bił i odpędzał.

Wtém zaskrobano do drzwi.

Zawareczała psów gromada zrywając się i nasłuchując, król patrzył mileząc, ukazała się głowa siwa starego podkomorzego królewskiego Janka Huźli.

— Miłościwy panie! — rzekł.

— Czego się ciśniesz! widzisz że spoczywam! — zawołał król.

— Miłościwy panie — dodał niezmięszany tén starzec. — Jego Miłość ksiądz Stanko biskup, czeka na miłość waszą i domaga się posłuchania.

Usłyszawszy to imię, król się zerwał na równe nogi, tak nagle, że psy przełękłe pozrywały się téż i skoczyły.

— On? tutaj? — zakrzyczał król.

— Tak, miłościwy panie, doprasza się rozmowy z miłością waszą.

— A no! w sam czas! — rozśmiał się król — w sam czas, bom i ja rad się rozmówić z tym klechę. Dobrze przeczuł godzinę! Idź mu powiedz iż króla widzieć będzie. Niech czeka. Prowadź go do izby królewskiej...

Podkomorzy drzwi przymknął powoli i cofnął się zaraz, a Bolesław stanął w myślach zatopiony.

Rzekł, że chciał widzieć biskupa, ale z twarzy patrzyło jakby się iść wahał, nie bardzo rad spotkaniu, któreby chętnie na czas inny odłożył.



Podszedł raz ku drzwiom już samym i zawrócił się od nich, postąpił ku nim raz drugi i za zasuwę ująwszy cofnął się jeszcze, szedł raz trzeci zmusiwszy się, dumnie głowę podniósł, i jak stał na pół odziany, pospieszył do izby królewskiej.

Komnata to była niewielka, ale wielce ozdobna i na to przeznaczona, aby w niej król wielu dostojniejszych gości mógł przyjmować.

Było w niej siedzenie pańskie, ponad którym tarcz i miecz wisiały i ławy do koła z poduszkami sukiennymi i oparciem; podłoga kobiercami wysłana, okno rybiemi błonami zaciągnięte, przez które żółtawy blask dnia przechodził.

Tu rozmowa była bezpieczną, gdyż dwie puste izby dzieliły ją od tych, w których dwór, Boleńczyce i komornicy stawali.

Król wszedłszy krokiem szybkim, zastał już tu biskupa stojącego w pośrodku. Dwu swych towarzyszków duchownych zostawiwszy w pierwszych izbach, ks. Stanisław ze Szczepanowa sam był tylko. Stał poważny, surowy, z twarzą posępną kapłan, odziany jak do chóru, z pierścieniem na palcu i krzyżem na szyi.

Król i on zmierzyli się oczyma, jakby niemi sił swoich próbowali, ale biskup nie strwożył się królewskim wejrzeniem, a król nie wytrzymał jego wzroku i zasepiony szedł dalej.

Skłonił się biskup.

Nie mówiąc słowa, nie oddawszy pozdrowienia, Bolesław zajął swe siedzenie królewskie i nie wskazując biskupowi ławy obok siebie, jak należało, zapytał go szorstko:

— Czego chcecie odemnie?

Biskup długo wprzód oczyma króla mierzył, jakby się namyślał albo modlił w duchu, postąpił krok naprzód i począł zwolna a spokojnie:

— Miłościwy panie! nie ja do ciebie przychodzę, ale we mnie i ze mną kościół, matka nasza. Nie zważajcie na mnie, pomnijcie, że ja nie z siebie mówię, ale z jej rozkazania, nie po mój ale po jej woli...

Tu poczekał trochę, a gdy król milczał gryząc usta, po chwili mówił dalej.

— Miłościwy królu! milczała matka ta długo i płakała, dziś przez usta moje do dziecka przemówić musi, nadszedł czas.

Płacze ta matka, płaczą bracia twoi, królu, patrząc na to co się dzieje.

— A cóż się dzieje? — zapytał król szydersko i wyzywająco.

— Dzieje się źle — ciągnął biskup dalej — jeżeli wy królu nie wiecie nawet, iż się źle dzieje. Przecież z wysokości tronu waszego jeśli kraju słyszećbyście powinni, a staliście się mu katem, gdy ojeem być powinniście.

Król poruszył się i rzucił na siedzeniu, lecz nie rzekł nic jeszcze.

— Ziemianie, rycerstwo, starszyzna, wszystko cię odstępuje, — mówił biskup, głos podnosząc — boś srogi dla nich i bez miłosierdzia.

Wtém wybuchnął nagle król, uderzając pięścią w poręcz siedzenia.

— Na to władzę mam! a jak ją sprawiam, za to odpowiem Bogu, nikomu więcej. Ziemianie są krnąbrni, rycerstwo zdrajcy; bo mnie odbieżyło w Kijowie samowolnie, a do domów przybywszy znęcało się nad ludem okrutnie. Ja nie samych ziemian i rycerstwa królem jestem postanowiony, ale ludu całego... Nad narodem ubogim mścić się i tępić go nie dam! Króla niema bez ludu, a z gminu rycerstwo i ziemian zrobić łatwo... Karzę samowolę, bo tu nikt nie ma władzy i sądu tylko ja!!

— Lud ten — rzekł biskup — podniósł się przeciw panom swoim, lud ten gwałty popełniał, domy bezcześcił, własność zagrabił, lud to wpół jeszcze pogański, którego przeciw chrześcianom bronić się nie godzi...

— Oskarżacie lud, — zakrzyczał król — co sługi winne, że niewiasty rozpustne! Ziemianki to wasze, żony własne rycerzy, pociągnęły do łóżnic sługi i pokalały domy. Dla nich nie ma litości i nie ma jój dla zdrajców a zbiegów.

Mówił król w uniesieniu wielkiem, powstając i padając na siedzenie, oczyma rzucając rozpalonemi na biskupa, jakby się nań miał porwać.

Stanisław ze Szczepanowa stał, słuchał i milczał nieporuszony.

Dawszy dopiero ochłonąć nieco królowi, począł głosem tym samym jak wprzód.

— Pomniście, miłościwy panie, że gdy za Mieszka zrażeni opuścili go ziemianie i władcy, gdy królowa Ryksa zniechęciła ich ku sobie, wkrótce i całej krwi a rodowi pańskiemu uchościć było potrzeba i rzec się panowania...

Pomniście, że bez nich ostać się nie możecie.

— O! to opuszczenie i wygnanie ojcowskie, pomnę ja im po dziś dzień — przerwał król — pomnę i nie zabędę i nie przebaczę go im nigdy! Dlatego głowy ich krnąbrne padają i spadać będą aż ich nie stanie. Nowych sobie ziemian uczynię i rycerstwo, które mi będzie posłuszne. Królem jestem i panem a nie słomianym strachem, który na wróble stawiają, dzierżę władzę i nie puszcę jej. Ani władzyki, ani wy biskupi i duchowni sprzeciwiać mi się nie śmiecie, bo miecz mam i prawo w rękę!

Biskup zwolna na krok się cofnął.

— Miłościwy panie — rzekł z dumą — my biskupi nie stoimy pod twą władzą królewską, my mamy jednego króla a pana w niebiesiech, a drugiego zastępcę jego w Rzymie, więcój nikogo nad sobą. Nikogo! nie my wam, wy nam jesteście podlegli, bo podlegacie kościołowi... i posłuszni mu być musicie!

— Ja? wam podlegać! — wykrzyknął król zrywając się i podnosząc pięście do góry. — Ja! Ja nie znam ani cesarza, ani papieża, nikogo krom Boga nad sobą. Słyszycie! Nie myślcie, że jak ów cesarz pójdę głowę moją położyć pod nogi papieża czy biskupa, rychlój stracę ją i koronę!

— Baczeież królu, abyście nie stracili obojga — rzekł biskup spokojnie. — Słów waszych w goryczy wyrzeczonych nie biorę do serca, ani ich ważę, ale powtarzam wam, miłościwy panie, kościołowi jesteście podlegli, a kościół więcej siły ma niż wszyscy ziemscy mocarze.

Śmiejąc się dziko król po rękojści miecza uderzył.

— Zobaczymy kto silniejszy, gdy się z wami lub kościołem próbować przyjdzie! — zawołał.

Biskup smutnie zwiesił na piersi głowę.

— Miłościwy panie! — rzekł cicho, głosem w którym boleść nie trwogę czuć było — raz jeszcze mówić chcę do was jako brat <sup>1)</sup>, który miłuje.

(Żahnął się król posłyszawszy, iż go śmiał bratem nazywać biskup).

— Jeszcze raz na duszy waszój zbawienie zaklinam was, upamiętajcie się, upokorcie, poprawcie. Wszystko co czynicie, do zguby was

---

<sup>1)</sup> Tym wyrazem w liście swym zowie biskupa Wratysław.

wiedzie. Życie wasze i dworu zle i grzeszne jest, sprosne, rozpasane. Z góry przykład na naród plynie i on się psuje zepsuciem waszém. Na sumieniu nietylko własne, mieć będziecie grzechy tych co króla naśladowają.

— Milez! klecho! — krzyknął Bolesław.

— Mileczeń nie będę i nie mogę, — rzekł biskup poruszony — mówić mi każe wierność przykazaniom Bożym, miłość dla rodu waszego. Żyjcie jawnogrzesznikiem z żoną cudzą, gwałtem wziętą rycerzowi Mścisławowi z Bużenina.

— A tobie co do tego? — zakrzyczał król gwałtownie, nogami bijąc o podnózek, który roztrzaskał — z kim ja żyję do tego nie nikomu! To moja sprawa! Ja grzeszę i pokutować będę. Jak wy mi to wyrzucać śmiecie! wy, wy!

— Powiniennem, muszę i będę — rzekł biskup. — Nie sądzicie, miłościwy panie, abym się miał was ulęknąć. Ja także jak wy, nie lękam się nikogo prócz Boga, nie boję śmierci i nie trwożę gniewu twojego.

Czynię co sumienie każe...

Żonę Mścisławowi powrócić powinniście, a za zgorszenie publiczną odbyć pokutę! Tak! Świat patrzył na grzech, musi widzieć kajanie się.

Wrzał król słuchając i oburącz cisnął poręczę z gniewu...

— Klecho! — zawołał — dawałeś mi przestrogi, i ja ci dać muszę jedną. Strzeż ty się mnie

i gniewu mojego, bo straszny jest jak piorun i jak on bije w kościoły. Spaść może głowa twoja, choć namaszczone, a w Rzymie, gdy będzie potrzeba, dam okup za nią. Zamknę ci ja te usta, gdy zanadto mówić się waży.

— Miłościwy panie — odparł biskup — uczynić możecie co zechcecie, ale ustraszyć mnie nie potraficie. Widzicie, oto stoję przed wami bezbronny, jakem już nie jeden raz stał, mówię a błagam, czynicie pokutę i wynijdźcie z grzechu. Ilekroć przypuszczony będę, tylekroć powtórzę ci to, błagać będę i karmić. Kajaj się! kajaj się grzechów twych...

Biskup podniósł głos uroczyście, wtém król bijąc w siedzenie, zawołał przeraźliwym krzykiem.

— Milez, klecho!! Nadto rachujesz na swój Rzym i do zbytku język rozpuszczasz. Milez...

Westchnął biskup z politowaniem. Nie widąc na nim było gniewu ni poruszenia, znękany, pot tylko otarł z czoła.

— Kościół, królu, ma przeciw krnąbrnym dzieciom siłę. On cię namaścił na panowanie, on ci namaszczenie twoje odjąć może. Nie zmuszaj go, aby ci drzwi swe zamknął, i od społeczności swój jak owcę parszywą odłączył. Naówczas na nie ci się nie przyda ani krew twoja, ani twoje imię, ani władza, opuszczą cię wszyscy i wypowiedzą posłuszeństwo. Siła twoja skruszy się w twój dłoń.

Ulituj się sobie, ulituj królowej i jednemu dziecku twojemu. Upamiętaj się!

Kościół zna ludzkie słabości i rozgrzesza je, gdy skruczę widzi, ale zuchwałym i krnąbrnym przebaczyć nie może.

Słuchał król burząc się zrazu, potem najgrawając i próbując się śmiać z biskupa, który równie gniewem jak szyderstwem nieporuszony, nie ulekkły, mówił z powagą, głosem boleścią przejętym... Zrywał się kilkakroć jakby chciał przerwać i w końcu obojętnego udawał, choć złość w nim coraz większa wrzała.

Stanisław ze Szczepanowa ciągnął dalej, nie zważając na królewskie gniewy.

— Po tom przyszedł tu, — rzekł — abym dwojga żądał od was: oddania żony Mściławowi i ojcowskiego serca dla ziemian i rycerstwa. Zaklinam was, usłuchajcie mnie, a nie zmuszajcie, abym w obronie przykazań Boskich dobył miecza jaki mi kościół daje...

Bolesław nie mogąc już dłużej utrzymać gniewu, czerwony od złości, trzęsący się, powstał i rękę wyciągając ku drzwiom, wołać począł.

— Idź stąd! idź! uchodź! ręce mi drżą, nie pohamuję się, targnę! uchodź klecho. Nikt jeszcze nie śmiał jak ty stanąć przeciw mnie, ażeby życiem nie przypłacił, uchodź!!

Powtarzał to coraz żywszym i sroższym głosem, ręka mu dygotała.



Biskup popatrzał nań, podniósł prawicę i przeżegnawszy nią króla, jakby odżegnywał złego ducha, krokiem umyślnie zwolnionym, ustąpił nie oglądając się już za siebie.

Gdy mu znikł z oczów, król na siedzenie padłszy, długo uspokoić się nie mógł, podparty na rękę, zgrzytając zębami, rzucając się, półsłowy klnąc pogańskimi, przesiedział tu sam jeden do mroku. Dwór, który zdala słyszał podniesione glosy, a poznał iż król był w gniewie strasznym, nie śmiał do niego się zbliżyć. Nie wchodził nikt, czekano aż uspokoiwszy się, sam zawoła albo wynijdzie.

Mrok już był, gdy nareszcie wstał Bolesław z siedzenia i szybko biegnąc, nasrożony wypadł z izby. Czekali nań w zwykłym miejscu stojący Boleszczycy.

Król podbiegł ku Borzywojowi.

— Ujęto Mściława? — zapytał.

— Czatują nań, dotąd się nie ukazał pono.

Król nie mówiąc więcej, poszedł do izby swojej i psów, które skomlać i wyścigując się go witaly.

Na Mściława czatowano, lecz Krysta, co go wydała sama, choć miała poręczenie, że mu nie wezmą życia, uległa się już własnej zdrady.

Krysta płochą była, zepsutą ale słabą istotą. Wiatr nią miotał różny, skłaniała się w tę stronę w którą powiał.

Zaledwie królowi męża wydała, ledwie król wyszedł, gdy Krysta opamiętała się i płakać zaczęła.

— A! jeśli go zamordują, ja krew jego mieć będę na duszy mojej. On mnie przeklnie konając. Bronić się będzie gdy go pochwyca, i zabija go, zabija, com ja uczyniła! com uczyniła!

Już chciała biedz do króla, rzucić mu się do nóg, prosić za nim, wybiegła do progu sieni, zawstydzila się i zawahała. Chciała Bolesława do siebie zwać, ogarnął ją strach, by nie myślał iż męża kocha i żałuje. Płakała i ręce łamała.

Niewiasta płocha jednej godziny złą i dobrą, kochającą i niewierną, skruszoną i występłą być mogła, tak zmienne w niej było wszystko. Żyła na świecie jak jakieś stworzonko biedne co po kwiatach lata, samo nie wiedząc co robi; tém samém żądłem miód dobywa i kąsa jadowito, a gdzie przysiadzie tam mu na chwilę dobrze, choć drugi raz nie wróci, bo nie zatęskni.

Mściława żał się jej zrobiło, własnej zdrady strach. Choć sama go wydała, ratować już chciała. A jakże wydać go nie miała, gdy od króla wydrzeć ją pragnął, z królowej czyniąc biedną wygnanką?

Na dworze było tak wesoło, tak huczno i codzień inaczej, za dworem w lasach, na pustyni, zdawało jej się, że umieraćby musiała, a śmierci bała się strasznie! Broniła się więc biedna.

Tak mówiła jej płochość, a zabobonny strach szeptał z drugiej strony.

— Zabiją go, on umierając cię przeklnie i rzuci swą krew na głowę twoją! krew! straszną krew umarłego, której niczém zmyć nie można.

Przelekła Krysta biegła już szukać ratunku u swój ulubienicy Ciarki.

— Słuchaj Ciarko, słuchaj dobra moja, oto masz bursztynu sznur! Co ci powiem uczyni, proszę! Dam co zechcesz sama. Uczyni a zbawisz duszę moją!

— A! uczynię wszystko co każecie — odezwała się zdziwiona i uradowana dziewczyna, przypatrując się bursztynom świecącym. — Czegóż by dla takiego sznura, biedne dziewczę nie uczyniło?

— Nim mrok zapadnie idź w bramę — mówiła Krysta. — Uważaj dobrze. Wnijdzie tam człowiek w prostej sukmanie, z czapką na oczy nasuniętą, czarny, duży, straszny! A! to ten mój stary mąż, który się za mną rozbija i zakrada się do mnie.

Ciarka zdziwiona w ręce uderzyła.

— Mąż! o Boże miły! mąż!

— Ale ja męża tego nie chcę! a nie chcę, a żal mi, żeby go nie zabito, bo tam czatują na niego... powiedz mu, szepnij że król o nim wie, a jak go ujmą, nie nie pomoże, głowę da. Niech ucieka! Powiedz mu, że ja ciebie przysłała,

żem ja tobie kazała, niech ucieka i mnie nie przeklina... Ludzie podśmchali, wygadali, zdradzili... niech ucieka... Ciarko! ty to zrobisz dla mnie?

Ciarka, która w ręku sznur bursztynów trzymała, zawolała żywo.

— A no, jeśli go poznam, klnę się uczynię jak każecie... powiem mu wszystko... Niech uchodzi, nawet pójdę za wrota...

Krysta ją ku drzwiom popchnęła.

— A idź, a prędzej!

Ledwie czas mając sznur swój do serca przytulić, dziewczę się chustą okryło białą i pobiegło w podwórze ku bramie.

Wieczór już był, ale ludzi mnóstwo jeszcze z zamku i do zamku przepływało. Król ze swą drużyną wieszczyć miał na grodzie we dworcu, na łące pod Wawelem dla gości stały stoły, ale do nich, oprócz ubogiego gminu, nikt z ziemian się nie zbliżył nawet. Złożywszy dań, natychmiast precz odjeżdżali wszyscy, nie chcąc tknąć ni jadła ni napitku królewskiego.

Oskarżono ich o to przed królem, jako o dowód niechęci przeciwko niemu. Król ramieniem ruszywszy, kazał najuboższą gawiedź najwykwintniejszym karmić jadłem i najlepszym przyjmować napojem.

Stała się pod namioty królewskimi prawdziwa uczta ewangeliczna, obsiadło stoły żebractwo i co najbiedniejszy lud zgłodniały.

Boleszczyce i dwór pański przypatrywał się tej biesiadzie głodnych, śmiejąc się do rozpuku z chciwości jaką okazywali, rozbijając się o mięsiwo, chleb i miody.

Niektórzy dopadłszy beczek, czerpali tak chciwie, iż padali tuż bez zmysłów i bez życia. Pachołkowie trupy odciągali za nogi i rzucali do Wisły...

Ciarka wysłana ku bramie spotykała jadących na to widowisko i powracających z niego. Starala się oczyma bystremi pochwycić opisanego jej człowieka, długo napróżno. Nareszcie zdala ukazała się postać całkiem podobna do tej, o której pani mówiła.

Już biegła, aby zbliżającemu się zanieść przestrogę, gdy czterej jezdni kręcący się około wrót, opadli nagle wchodzącego i dwu z nich ręce mu położyło na ramionach. Nim Ciarka dobiedzie czasu miała, pochwyceno wchodzącego i pomiędzy konie wzięwszy, szybko go ku zamkowi pociągnięto.

Mściśław — on to był bowiem — nie miał się nawet bronić czasu, ani próbował wyrwać, dał się wziąć i poprowadzić milcząco.

Wnet jeden pobiegł o nim dać znać królowi, i z rozkazu pańskiego poprowadzono go zaraz do ciemnych izb, w których więźniów trzymano. Stały one nieopodal za dworcem, a na teraz puste były. Król więzić nie lubił, wołał wieszać i ściąć. Izby zbudowane z ogromnych drzewa kłoców

obitych jeszcze wewnątrz deskami grubemi, nie miały światła żadnego, jedne drzwi tylko okute przystęp do nich dawały. We drzwiach tych okienko, z zasuwą drewnianą, służyło do podawania jadła więźniom wewnątrz zamkniętym.

Borzywoj, któremu zlecono zamknąć kazać Mścislawa, sam go tu odprowadził. Miał widzieć jakieś królewskie zlecenie, bo zamiast odejść odstawiając go do ciemnicy, zatrzymał się, pachol-kowi nakazując zdala przyświecać pochodnią.

Wnętrze izby nad wszelki wyraz było okropne. Smiecie, brudy i słoma zgniła zalegały ją całą, jednym stała obrzydłym barłogiem, a powietrzem jej wilgotnem i skażonem zaledwie oddychać było można. Mścislaw, którego pachol-kowie za barki ująwszy, wtrącili do wnętrza, dał się cisnąć na przegniłą słomę słowa nie rzekłszy, obejrzał się ledwie, i padłszy leżał jak martwy, nie patrząc nawet na stojącego u drzwi Borzywoja.

Ten nie odchodził i mierzył go oczyma.

— Mścislawie, słuchaj — rzekł — żal mi cię.

— A mnie ciebie żal — odparł pan z Bużenina — ja jestem więzień, tyś niewolnik.

Boleszczyc, jakby nie słyszał tego, ciągnął dalej:

— Żal mi cię, Mścislawie, aleś ty sobie winien sam.

Śmiechem ostrym i dzikim odpowiedział na to Mścislaw.

— Tom ja winien! prawda! — syknął —

— Albo to jednemu się żona sprzeniewierzyła! czy dlatego się ma obwiesić! — ciągnął Borzywój dalej. — Co ty masz dłanić ginąć kiedy ona ciebie nie chce? Sama przecież o tobie królowi znać dała...

Mścisław się odwrócił gniewny.

— Kłamiesz! — zawołał — kłamiesz... Ona! to nie może być!

Borzywój się teraz śmiać począł.

— Ja ją codzień widuję — mówił — my z nią dobrzy drnhowie, ona króla kocha a ciebie się boi, wzdyga się na samo wspomnienie twoje. Co ty się będziesz dla niej marnował! Czy to ona jedna na świecie!!

Mścisław leżąc burczał coś tylko niewyraźnie.

— Słyszysz ty! drabie jakiś! — rzekł — czy ona mnie kocha czy nienawidzi, wszystko mi jedno. Co mi tam, a no ja ją chcę mieć, bom ją wziął, bo moja, i ja ją miłuję, to dość.

— Król choć srogi, zlitowałby się nad tobą — mówił Borzywój — jestem pewny, puściłby cię wolno, jabym ci przebaczenie wyrobił.

— Przebaczenie? — przerwał Mścisław — mnie, on? Pytaj ty czy ja jemu przebaczę?

— Szalejesz, Mścisławie — ciągnął spokojnie Borzywój. — On pan, on król, ty ziemianin prosty! Ja ci rzeknę jedno, daj ino klątwę, że się nie pokażesz więcój, a Krysty się wyrzekasz, pójde

do króla, da ci wolność i jeszcze co w dodatku. Co ci po babie!

— Ja? jęć się wyrzekać? ja? a nigdy w świecie — krzyknął więzień. — Puściecie mnie, będę szukał sposobu, aby wam ją odebrać. Na to wam słowo daję. Przyjdę sam, zbiorę ludzi, ściągnę kupy, podburzę wrogów jego, pójdę do Czech, do Niemiec, podpale zamek... nie dam spokoju... Zamknijcież mnie, niechaj wszyscy wiedzą, co n króla ziemianin wart, któremu i żonę wziąć i majątność i głowę wolno... Nie macie mnie co puszczać!

Borzywój nie wiedział już co mówić, uczynił krok jakby odchodzić miał.

— E! żal bo mi cię! — powtórzył.

— A mnie żal ciebie i twój braci — odparł jak wprzód Mścisław. — Służycie panu, który źle czyni, którego Bóg skarże, a was razem z nim. Co mi tam, że ja zginę w ciemnicy? zginę albo nie, to Bóg wie, ale że wy z nim zczeźnicie marnie, przedzój, później, to wiem pewno...

Będziecie tulaczami, żebrakami, bez czei i wiary... aż się Bóg ulituje nędzy waszjej...

Odwrócił się Mścisław ku ścianie i zamykając rozmowę, połą okrył głowę.

Borzywój postawił nad nim chwilę, widząc że już nie nic zyszcze, odszedł. Pochodnię wyniesiono, zasunięto i założono drzwi drzgiem, zaducha smrodliwa i ciemność objęły więźnia.



Gdy się to działo, dziewczyna zadyszana powracała do pani, wołając od progu.

— Pojmali go! pojмали! nieszczęsna dola moja!

I z płaczem dobyła sznur bursztynów, trzymając go w rękach, patrząc nań smutnie, strapioną, że jej pani odbierze niezasłużoną nagrodę.

Kryście bursztyny nie były w głowie, ręce krzycząc załamała.

— A! ja nieszczęsna! a! ja przekłeta! co ja pocznę! gdzie się skryję! krew jego padnie na mnie.

Rzuciła się na ławę, głowę w rękach tuląc i płacząc.

Wśród tego jęku i płaczu drzwi się otwarły, wszedł król.

Dziewczę z bursztynami w rękę, zobaczywszy go uciekło skryć się do komory, a Krysta posławszy kroki, zwróciła głowę i błada podbiegła ku niemu.

— A! panie mój, królu mój — zawołała obejmując mu nogi — życia mu nie każcie brać! bom ja go wydała i krew jego spadnie na mnie, krew! krew!

Chmurno król popatrzał na nią.

— Ej! ty! — rzekł — nie ścięto go, ani załdawiono! oczów mu nawet nie kazałem wylupić i mnie go żal! Człek szalony co się ze mną, z panem swym chce porywać do walki! On, ze mną!! Robak ten mizerny jakiś, którego zdusić

mogę nogą. Tak jak ten klecha co się za jego sprawę bierze! Ej! Krysta, czarne oczy twoje drogo króla kosztują.

Ona stojąc płakała, chustką ocierała oczy i westchnienia z piersi się jój wyrывały.

— Króleczku mój, paneczku mój, Krysta cię będzie kochała, tylko życia mu nie bierz. Kłatwę rzuci na moją głowę, krwi się boję!

— Wyprosisz mu życie, niech tylko w ciemnicy przesiedzi, rozumu się nauczy. Biskupabym z nim wsadził razem, a no! poczekawszy, wpadnie mi i on w ręce.

Z oczyma w ziemię utopionemi, spokojniejsza nieco, słuchała nie rozumiejąc Krysta, lzy ciągle z oczów jój płynęły, król zbliżył się do niej i pogładził po twarzy. Kazał jój sięść, kazał śpiewać sobie, ale Krysta lzy miała w głosie, a i on rozchmurzyć się nie mógł. Ciężyla na nim z biskupem rozmowa, chciał ją zapomnieć a nie mógł. Ostre wyrazy duchownego w uchu mu brzmiały jeszcze. Siadł przy Kryście, pieszcząc ją i uspokajając, sądząc, że widok pięknego lica ponure myśli rozpędzi, a wśród pieszczotliwej rozmowy, wracały mu ciągle na pamięć surowe wyrazy i groźby straszne. Tak samo Kryście pieśni półgłosem nucił przerywał mąż i przekleństwo, którego się lękała. Oboje roztargnieni, myślami byli gdzieś indziej. Wszystkoby może zniósł Bolesław rychlój od biskupa nad to jedno, że on śmiał się z nim

stawić na równi, wyżej nawet nad niego i klecha jeden rozkazywać swojemu panu.

Przesiedziawszy chwilę z Krystą, wstał król i zostawił ją samą. W królewskich izbach wieczerały drużyny, szedł do nich w gwar ten, chcąc wśród drużyny swój, otoczony siłą na rozkazy i skinienia gotową, zapomnieć biskupa.

Miejsce jego stało opróżnione... Drużyna pańska, wszyscy owi Boleszczyce, dwór i goście, których teraz rzadko gród oglądał, jak za Chrobrego mieli na zamku zastawione dla siebie stoły. Po kijowskiej wyprawie i rozbiegnięciu się rycerstwa, często też król na srom zbiegom tym, których karał, najprostszy gmin do swych stołów przypuszczał.

Szedł do nich kto chciał, bo hojność króla miary nie miała.

Dnia tego liczniejszych spodziewano się gości, ale jak do stołów pod namiotami, tak i tu nikt się prawie nie zjawiał.

Znajomi i krewni, na dworze króla będący, ciągnęli ich napróżno.

Leliwa, którego bratankowie niemal gwałtem wziąć na zamek chcieli, wiedząc jak królowi te pustki przykre będą i do gniewu go pobudzą, odparł im wyrwawszy się i na koń siadając.

— Niech sobie młodościwy pan z tymi je, których kocha. Pokochał czerń, niech się nią cieszy, my mu tam niepotrzebni. A no zeszłoby się może

tak, że u stołu bym siedział z tym, którego bym rad na gałęzi posadził.

Wielu wprost od daniny pociągnęli do biskupa, aby okazać, że z nim trzymają.

Gdy król do izby wszedł, w której już dworskich jego wielu zgromadzonych było, rzucił tylko okiem po ludziach i twarzach, a nie zoczywszy nikogo nowego, zrozumiał co to znaczyć miało. Brwi mu się ściągnęły w jeden pas czarny nad oczyma, poszedł na swe siedzenie i nie ozwał się do nikogo.

Dopiero gdy Borzywoj, który mu często i za cześnika służył, na skinienie kubek nalawszy, przyniósł, król zmierzyszy go oczyma spróbował żartować.

— Gości macie dużo! — rzekł.

Borzywoj ruszył ramiony; król się uśmiechał.

— Tak lepij, znajdę ja kogo chlebem karmić moim, a nie wiem czy oni długo chleb mieć będą, i gęby do niego! Weselcie wy się za wszystkich... Do domów pojechali? — spytał król.

— Wielu pono u biskupa gościło na Skalce — rzekł z boku stojący Zbilut. — Kupa ludzi kolo dworu była...

Król zaciął usta, kubek duszkiem wypił i drugi nalać kazał.

— A no! — zawołał — weselciez się, bądźciez dobrój myśli, tam też u biskupa musi być wesolo. Pewnie i niewiasty mu zaprowadzili, aby go pio-

senkami rozrywały. Klechy to lubią, choć drugim zakazują.

Śmiać się niektórzy zaczęli, inni widocznie zakłopotali, król jakby chciał o tém zapomnieć, krzyknął zaraz aby mu pieśni śpiewano, aby zdala słyhać było, że na zamku i bez gości wesoło. Usłudni zawsze młodzi, natychmiast jedną z najswawolniejszych piosenek rozpoczęli, a gdy jeden podniósł głos, wnet mu zewsząd zaczęto pomagać i wrzawa się stała ogromna. Przy każdej zwrotce wesołej, śmiech i klaskanie się rozlegały, a król? siedział sparty na rękę i gniewny.

Na Skałce około domu biskupa, który czasowo mu służył za schronienie, gdyż na zamku pod strażą królewską siedzieć nie chciał, koni i czeładzi cała gromada stała tego wieczora.

Ciasnych izb kilka zapełniło rycerstwo i ziemianie, od króla odepchnięci, szukając tu rady i wodza ku obronie. Biskup po powrocie z zamku przyjmował przybywających, łagodząc ich i nie dopuszczając by zbyt szeroko skargi rozwodzili. W gromadzie jeden drugiemu dodaje żalu, rośnie ból, gniewy się rozpalają i nie łącno je potem uśmierzyć. Biskup zamykał im usta polecając przyszłość Boskiej Opatrzności, nadzieję kładąc mieć w łasce Bożej. Gdy który z nich wybuchnął krwawym żalem kładł mu ręce na ramieniu i kołł go chrześcijańskimi rady.

Izby, w których się gromadzili ziemianie, ciasne

były, niskie, i jak klasztorne ubogo a skromnie wyglądały. Zaledwie stoły, ławy, krucyfix na ścianie wielki i miedziane naczynia u drzwi do święconej wody ubierały je nieco. Zamiast kobierców służyły maty, złota i srebra nikt tu nie zobaczył. Majętność swą biskup obracał na kościoły, na księgi, na ubogich i sieroty, które do szkólek gromadzić kazał. Dla siebie nie potrzebował więcej nad to co mnichowi prostemu starczy.

Kilku duchownych stanowiło dwór biskupa, czeladzi było mało. Ziemianie cisnęli się dnia tego gromadnie, z kolei przychodzili do pocałowania ręki, wzdychając patrzali w oczy, azali nie posłyszają słowa jakiego nadziei i pociechy. Błogosławił ich biskup, pytał i odprawiał wyrazami niewielą.

Ponieważ izby ciasne były i wszystkich przychodzących zmieścić nie mogły w sobie, ci co uzyskali przystęp i błogosławieństwo odchodzili natychmiast, miejsce czyniąc nowym przybyszom. Trwało to zbiegowisko do nocy niemal, gdyż każdy chciał posłyszeć coś z ust biskupa. Kilku tylko starszych zatrzymał w końcu biskup u siebie i do dalszych izb wprowadził.

Gdy nareszcie tłum ten niemal cały rozszedł się, albo nocą jeszcze rozjeżdżając do domów lub gospód szukając po przedmieściach, a niektórzy w niedostatku miejsca i obozem się a namiotami na polach porozkładali, na Skalce nie pozostało

nad trzech starszych władyków, Leliwa, Mestko Kruk, i Brzechwa.

Druga izba, do której ich biskup wprowadził, mniejsza jeszcze od pierwszej, była domową kapliczką. Tu stał mały, skromny ołtarzyk przy ścianie, przy którym niekiedy odprawiał ofiarę, częściej modlił się godziny odprawując, księga na nim leżała otwarta przed krucyfiksem, między lichtarzami dwoma. Małe okienko na pół ciemną ją nawet we dnie czyniło, lecz na kominie skałki gorzały dla światła.

Oprócz trzech ziemian i biskupa, podeszły mężczyzna w sukni duchownej także się tu znajdował, w przyciemnionym kątku siedząc milezący.

Podano naprzód skromną strawę wieczorną na glinianych misach, do której zasiedli biskup tylko z mileżącym swym towarzyszem... Leliwa, Kruk i Brzechwa już wieczerzać nie potrzebowali.

Wszystkim im ciążyło długo trwające milczenie posepne, którego nikt przerywać nie chciał. Trzej ziemianie zdawali się oczekiwać na to co im powie ks. Stanisław ze Szczepanowa; w ostatku Leliwa, który najbliżej stał, mąż letni i poważny, odezwał się:

— Miłościwy ojcze, pocieszcie nas, bo na słowo wasze rodzicielskie czekamy w utrapieniu naszym. Co czynić? czego się spodziewać? jak i czém ratować się mamy? Patrzycie co się z nami dzieje. Giniemy znowu. Jeszcze pamięć pierwszych



nieszczęść nie zatarła się, a oto burza nowa nadchodzi... Panu naszemu ani męztwa, ani sławy, ani szczęścia zaprzeczyć nie można. Wydzwignął ziemię z upadku, moc zdobył wielką i potęgę, lecz potęgą tą nas biednych guiecie i oto mało co brak, abyśmy z rodami naszemi poszli na łup czerni. Policzyć rycerstwo które nałożyło głowę, trudno, a co się stało z Mściławem z Bużenina wie świat cały. Żonę mu zabrano, dziś jego samego na zamku ujęto i jako złodzieja do ciemnicy rzucono, za to, że się ważył na podwórze...

— Panie — mówił Brzechwa — u syna mojego, który z królem do Kijowa chodził, włodarz opanował wszystko, żonę mu zabrał, dostatek sobie przywłaszczył. Syn przybiegł na głos ten, stracono go za to, że się upominał o swoje, włodarzowi żona i majątność dotąd została. W co się my obróciemy? Czerń nas wyrzeże gdy zechce. Król i słowa nie rzecze.

Aż i Kruk począł:

— Jeśli do króla skargi niema, do kogóż iść, jeśli nie do was ojcie... Radźcie, pomóżcie, ratujcie, bo oto poganę wszystko ogarną!

— Dzieci moje! — odezwał się biskup — wiecie iż siebie nie żałuję. Chodziłem, błagałem, napominałem go nadaremnie, a! poprawy po nim przestałem się spodziewać. Pijany jest siłą swą, zatwardziały w grzechach, a hałastrą się otoczył



co mu pochlebia i pomaga. Namaszczony jest, porywać się nań nie godzi, a i sam się zgubi i poźre nas złością swoją.

— O nieszczęśliwe te ziemie nasze! — rzekł Leliwa. — Małośmy to przecierpieli po ucieczce Kazimirza, a co dziś czeka? Wszystko się rozprzega, niewolnik i parobek czując powolność w górze, urągają się nam niemal!

Wywodzili tak żale swe, coraz nowe przykłady stawiając. Biskup słuchał smutnie.

Niekiedy wśród mowy téj, oczyma siedzącemu przy stole duchownemu dawał znaki, jakby chciał uwagę jego zwrócić na znaczenie skarg ziemiańskich. Kilka razy Leliwie i Krukowi sam biskup poddał zapytaniami zręczność rozszerzenia się nad klęskami kraju i nędzą jaka mu groziła.

Stary mówił:

— Albośmy to tego pana kiedy u siebie widzieli, mieli czas poznać go, zbliżyć się, a on nas wysłuchać? Nie miał dwudziestu lat, gdy objął rządy, a nie było potem i jednego roku, żeby u siebie doma pogospodarzył, po Węgrzech i Rusi bijąc się i wojując. Z rycerstwa co go otaczało drudzy po lat siedem żon, dzieci, ani strzechy swój nie widzieli.

— Gdy nastąpiła swawola — mówił Kruk — nie kto tylko czeladź była winna .. Słabe niewiasty ani mogły ani śmiały się bronić. Król je wini, sukami je nazywa, że się mężom sprzeniewierzyły.

Nie prawda jest, myśmy starzy na to patrzali. Nieszczęśliwe żony i córki jako mogły się opędały parobkom i czeladzi, uciekały po lasach, niejedna głodem zmarła i wołała śmierć niż sromotę. Wy ojciec znacie, boście tam niegdy proboszczem bywali, co uczyniła Małgorzata w Żebocinie z siostrami swemi, na wieży kościelnej mrąc głodem zamknięta, niż by się czerni poddać miała i zbezczęścić. A było więcej jej podobnych. Nie wszystkie wczas ratować się mogły, niewiasty słabe, przemoc straszna, gwałt okrutny. Cóż winny one!

— A jak on ma czerni karać za gwałt na cudzych żonach — ozwał się Brzechwa, kiedy sam tak czyni, nie wstydząc się Krysty trzymać na zamku podle królowej?

Milczeli trochę, biskup też nie chcąc im bólu dodawać, krótkimi słowy pocieszał, a gdy trzech ziemianie żale swe i skargi opowiedzieli, pobłogosławił ich i pożegnał.

— Dzieci moje — rzekł — Bóg się ulituje nad nami...

Pozostali sam na sam z duchownym, który czasu rozmowy niemym, ale uważnym był jej świadkiem.

Gdy się drzwi za ziemianinami zamknęły, a kroki odchodzących w dali już tylko słychać było, biskup zbliżył się do milczącego prałata. Siadł przy nim i ująwszy go za rękę, począł powolnie.

— Chciałem ojcze mój, abyście sami oczyma własnymi widzieli, na własne uszy słyszeli, nie z moich ust, ale od obcych ludzi — jak się tu u nas dzieje, abyście to odnieśli królowi Wratysławowi i królowej Swiatawic. — O poprawie, o upamiętaniu króla, o zgodzie, już pomyśleć nie można — radzić potrzeba ziemi téj, aby się nie pokalała i nie ginęła.

Niechaj opiekę nad nami weźmie lepiej król pobratym i pokrewny, niż obcy.

— A cóż z królem uczynicie? — zapytał duchowny po cichu, mówą, w której się czeszczyna przebijala. — Wojnę mu wytaczać? on w nią najsiłniejszy, nie łatwo go pożyć przyjdzie.

— Sam on się zabije nieprawością swoją — odparł biskup wzdychając. — Nie potrzeba ziemskiej siły, aby go obalić, piorun Boży spadnie na jawnogrzesznika.

Kościół ścierpieć nie może tego, co się dzieje. Czekalem, byłem i jestem cierpliwy, ale miara się przebiera... Jeszcze chwila a z czary nieprawości wyleje się ciecza za brzegi.

Dziś on, mnie, namaszczonego pasterzowi téj owczarni, której on jest najpierwszą owieczką, on mnie, napominającemu go władzą, od Boga mi daną, precz iść kazał, jak podwładnemu pacholcowi i precz innie za drzwi słowem wyrzucił.

Duchowny wzdrygnął się słuchając i ręce zalamal.

— Nie o mnie idzie — mówił biskup. — Jako człowiek zniósłbym z pokorą zniewagę, ale we mnie (uderzył się w piersi) we mnie kościół sporniewiczran jest i znieważony. On chce nadeń wyższym być, a nas w służę swe i niewolniki obrócić.

Kościelnym orężem bronić się muszę.

— Cóż czynić myślicie? — zapytał duchowny z trwogą i ciekawością.

Biskup wstał i przeszedł się po izbie razy parę, stanął naprzeciw ołtarza i popatrzał nań, potem oczyma się zwrócił ku oczekującemu odpowiedzi i odparł głosem silnym, stanowczym, zmienionym, powagi pełnym:

— Wyklę go! *Anathema sit!*

Po słowach tych panowało długie milczenie. Duchowny oczy spuściwszy, zdawał się wahać, czy miał przyzwolić na to co słyszał i potwierdzić, lub starać się złagodzić słuszny gniew pasterza.

Ks. Stanisław ze Szczepanowa stał i czekał odpowiedzi, badając go oczyma.

— Ojcie mój — odezwał się głosem cichym duchowny — nie należy do mnie, obcego tu, a nieświadomego okoliczności, ani się wstawiać, ni sądzić, ni łagodzić; zważcie jednak, błagam, na jakie sami narazicie się niebezpieczeństwo. Jeżeli człowiek ten kościołem parafii, cóż uczynić gotów z kapłanem? Szalonym jest, pijanym siłą swą, jakoście rzekli, lecz szal taki przechodzi i pijanstwo ono się rozprasza.

Biskup stał zamyślony, spokojny, słuchając ciekawie, a gdy dokończył, rzekł:

— Nie tylko moc kościoła całego chrześcijańskiego za mną jest, ale eo najprzedniejszego w kraju, ziemianie i rycerstwo ze mną a przeciwko niemu. Garść ledwie słuzalców mieć będzie z sobą, a i ci go odstąpią, gdy nań padnie piorun z góry.

Pomniście iż jest kościelna klątwa! Śmierć to jest i gorzej niżeli ona. Wyklętego człowieka nie zna rodzina, nie zna go żona i dzieci, wszystkie węzły, eo go łączyły ze światem żyjących w Chrystusie pękają. Konającemu kropli wody, umierającemu strzechy i progu musi odmówić każdy; odwróć się odeń wszyscy jak od zapowietrzonego i trędowatego... Nikt mu nie winien posłuszeństwa, nikt nad nim litować się nie może. Wyklęty człowiekiem być przestaje, a staje się zwierzęciem dzikim.

Duchowny słuchał w milczeniu posepnym.

— Lecz niżeli to straszne rzeczcie słowo, czyli nie pozostaje nic? nie godziż się próbować jeszcze?

— Nie nie skutkuje! Urągowskiem odpowiada i groźbą. To ostatni, jedyny oręż, wszystkie inne o żelazną tę duszę się skruszyły, odtrącił, wyszydził, odepchnął wszystko. Nie zna kościoła, kościół go znać nie może.

To mówiące biskup razy kilka przeszedł się

po izdebce, głowę na piersi zwiesiwszy, westchnienie mu się ciężkie wyrwało.

— Ojcie mój! — rzekł stając przed nim — nie obwiniajcie mnie w duszy waszój o brak miłosierdzia, lepiej jest, ażeby jeden zły zginął, niżby przezeń kraj ten i ziemie przepadać miały, w pogański obyczaj się zanurzyły, do dzieczy wróciły przez rozkiełznaną rozpustę. Tak chce Bóg, tak chce nad narodem litość. Słyszałeś ich skargi, jam patrzył na czyny. Tarza się w rozpuszcie i okrucieństwach, aby okazał, iż nikomu nie jest winien posłuszeństwa, ani Bogu ni kościołowi.

Wiecie co uczynił dziś, aby zohydził suknię kapłańską i stan nasz?

Duchowny dał głowę znak przeczący.

— Składano mu daniny — mówił biskup. — Wezwał skarbný kleryka do pomocy, aby mu czytał ziemie i powiaty. Król z oczów biedaka widząc iż się mnogim skarbowi przypatrywał chciwie, dozwolił mu ich wziąć ile uniesie. Padł kleryk pod ciężarem złota złamany, na pośmiewisko czerni ze stanu duchownego. Ciało jego' bez pogrzebu ohydnie do Wisły rzucić kazano. Dlaczego to uczynił? oto, aby ludziom na oczy okazał, iż niepomierne chciwi i łakomi jesteśmy, wydziercy i łupieżcy, gdy on o skarby nie dba, wspaniałym jest i dobroczynnym. W kleryku tym nas spoliczkował bezbożnik, a sąd i wyrok dał niesłuszny,

gdyż ubogi człek nie dla siebie a dla rodziny złota łaknął.

— *Anathema sit!* — powtórzył biskup mnosząc się oburzeniem — *anathema sit!* Niech on będzie wyklęty, jeżeli niema być wyklętą, pustynią bezpłodną cała ta ziemia za grzechy jego.

Trwało milczenie chwilę, biskup uspokoiwszy się, przystąpił do duchownego, który słowa już rzec nie śmiał.

— Jedźcie, ojcze mój — rzekł — wracajcie do Pragi, opowiedzcie tam, coście tu widzieli i słyszeli, ani tajcie co mam czynić i co postanowiłem. Uczynię to, jakem rzekł, nie lękając się go. Rzym i kościół cały i duchowieństwo całego świata mam za sobą, silnym się czuję, mocen jestem! Uczynię to, bom powinien, uczynię, bo kto przebacza winnemu ten występek uznaje cnotą, a sam staje się winnym zgorszenia. Uczynię bo mi to nakazuje sumienie kapłana, obowiązek pasterza.

— Rzucę nań klątwę! *Anathema sit!* Zamknę przed nim kościoły, ogłoszę go wywołańcem. Natenczas bezpańskie ziemie nasze niechaj zajmuje Wratisław i panuje nam, aby nie stały otworem dla wrogów, łupieżą dla czerni; niech panuje pomnając, że na berle krzyż nosi, a tylko w imię kościoła i, razem z nim panować może!!

Umilkł. Duchowny słuchał z pewnem ukorzeniem i trwogą, nie śmiejąc mu przerywać.



— Jedźcie do Pragi — powtórzył biskup. — Nieście odemnie te słowa: korona nasza bez głowy, berło świętego Maurycego bez ręki, tron Piastów bez króla, kraj bez ojca zostaje, czeka na Wratysława, aby go objął.

Ziemiańskie przyjmą go, rycerstwo rade będzie. Dwa potężne królestwa się zjednoczą!

— A cóż się z wywołaniem stanie? — spytał duchowny.

Ks. Stanisław ruszył ramionami pogardliwie.

— Bóg postanowi. Piorun go może razić w polu, wilcy rozszarpać w lesie, głód zamorzyć w nieczystości, srom udusić, zgryzota pożreć, azali wiemy co mu przeznaczono i jaką karą chłostać go chce ten co nie przebacza??

— Jedź, ojcze mój — dodał — mów, składaj aby byli w pogotowie, tu im bramy otworzą jak zbawcom.

— Król ma braci, ma syna — ośmielił się cicho szepnąć duchowny.

Biskup pomyślał nieco.

— Ród to jest — rzekł — który już raz ziemiańskie precz wygnali, którego nie chcą. Gdyby oni znów na tron weszli, co z sobą przyniosą! Szaleństwo Mieszka, okrucieństwo Bolesława? Zemstę i żal — nie, dosyć ich mieliśmy, inną nam krwi na tronie potrzeba. Syn, brat, mieliby nieprzyjaciół w ziemianach samych, lękali się ich



- wszyscy. Zresztą w potomstwie Wratysława płynie krew siostry jego Światawy.

- Gwałtownym ruchem ręki biskup zdał się precz usunąć co mu na drodze stawało, i zakończył nim rozmowę, którą był znużony.

- — Jedź, ojciec mój — dodał głosem osłabłym — niech cię Bóg prowadzi. Mów coś widział i słyszałeś.

To mówiąc uściskał go, pobłogosławił, a gdy się za nim drzwi zamknęły, padł na kolana przy ołtarzyku, sparł ręce na nim, głowę skrył w dłoniach, modlił się i w psalmie Dawidowym dla uciśnionej duszy szukał pocieszenia.

— „Smutną jest dusza moja...”

---

Stary gródek w Jakuszowicach, który z dawnych wieków do Jastrzębców należał, za Bolesława jeszcze pozostał, jakim go wieki te nlepiły. Położony nad stromym rzeki brzegiem, u ujścia do niej małego strumienia, który się po błotach rozlewał szeroko, stał na dosyć wysokim kopcu, tak wałami osłoniiony, iż go za niemi widać prawie nie było. Na wałach prastarych czas miały porosnąć od strony grodu drzewa i krzewy, gęstą je zielonością okrywające. Jedna ścieżyna tylko stroma prowadziła pod górę ku wałom i bramie, a wrota osłoniione były przekopami tak, że ich zrazu nikt nie mógł dojrzyć, bo zawróciwszy się dopiero między niemi, dochodziło się do ostrokołów i wrót zezerniałych...

Nie śmiał nikt od dawna na gródek się rzucić, ani pokusić o jego zdobycie, tak za warowny uchodził. Przetrwał on największe w kraju burze, nie potrzebując się ani przerabiać ni zmieniać. Za Ziemomysła pono starym go już zwano, a mieszkali tu zawsze ludzie z rodu Jastrzębców, jako w gnieździe swoim.

Z tego gniazda jednego potoczyło się Jastrzębich gniazd mnóstwo po wszystkich ziemiach, gdyż plemię było rozrodzone bardzo i płodne, tak że nieraz ztąd po dwunastu braci, synów jednego ojca, w świat wędrowało.

A zwali się Jastrzębiami, Kaniowami, Kudbrzynami, Kobuzami, różnie, jak gdzie ptak się ów nazywał co im dal miano, i od posiadłości też pobrali nazwy mnogie, choć zawołanie ich najpospolitsze było, Kaniowa, gdy na wojnę wciśzły i ludzie się ściągali. Żył tu jeszcze teraz dziad tych Boleszczyców Jastrzębców, którycheśmy na dworze królewskim widzieli, sta lat pono dochodząc. Pamiętał on pierwszych królów, przeżył wszystko co te ziemie widziały i, dziad oślepy, z ręki sobie jeszcze władzy wydrzeć nie dawał. Synowie jego, wnuki, prawnuki, z gródka tego się rozbiegali po świecie, szukając szczęścia z orężem w rękę, rozsiadając się nad brzegami Wisły, Warty, Odry, Bugu; odumierały go żony, których miał kilka, córki powyprawiał, krom jednej owdowiałej a bezdzietnej, co mu nazad pod dach

wróciła; i tak dożywał wieku swojego, nie dając się życiu złamać, choć mu ono oczy odjęło i sił nadszarpało.

Ślepego starca po za Jakuszwowicami nikt nie widywał, bo za wały swe nigdy ani wyjeżdżał ani wychodził, ale kto go raz tu zobaczył, ten pamiętał zawsze. Mąż był silny i rozrosły, acz nie tak wielki i baczysty, jak tamtego wieku inni ludzie bywali, chudy, grubokościsty, z głową dużą i twarzą długą, na suchą osadzoną szyi, z rękami wielkimi i silnemi, choć nogi miał małe i garbate.

Twarz mu już była oddawna trupio pobladła, może od gniewów częstych, gdyż, jak wszyscy Jastrzębce, gniewał się łatwo i rozdrażniony do szalu się dał dowieść.

Twarz tę żółtkłą posiekły mu marszczki i fałdy, jakby jedną siatką powłókłszy. Duże oczy siwe, zgasłe, zbielałe, trzymał otwarte jakby patrzył niemi, a były tak groźne i straszne, że ich wzroku, choć je wieczna noc oblokła, nikt wytrzymać nie mógł. Siwo-żółty włos obfity spadał mu na ramiona, a broda do pasa sięgała. Więc ją na dwa pasma rozgarniał, tak że jedno na lewo, drugie na prawo, zarzucał na ramię, gdy mu zawadzały.

Gdy szedł, choć nie widział nic, głowę i straszne oczy podnosił do góry, usta mu już się rozwierały mimowoli, marszczył się ciągle i postawę miał jakby z trumny wywołanego upiora.

Nosił się z prosta, latem i zimą w sukni z grubój tkaniny, z szyją obnażoną, a koszuli nie znał nigdy, wedle prastarego obyczaju. Głos miał jeszcze potężny, choć piersi już zakłęsłe, a słucho taki że muchy brzęczenie chwytął zdaleka. Wzrok mu się tém opłacił, bo utraciwszy go, uszy sobie zaprawiał, aby mu zań starczyły. Z pod owęj sukmany starój, gdy się rozpięła, widać było ciało porośłe jak u niedźwiedzia, włosy grubemi, gęstemi, które i ręce i twarz nawet niemal całą okrywały.

Lękali się starca wszyscy w domu, bo gniewny był, w gniewie zapamiętały, choć pod inny czas i dobrym być umiał bez miary. Gniewu zaś potrzebował jak chleba, a gdy doń powodu nie miał, to i jeść nie mógł. Gdy się rozżarł, nałajał, nasrożył, wykrzyczał, dopiero mu życie wracało.

Wzrok utraciwszy, miał zawsze pod ręką, gdyby oczy drugie, chłopca lat dziesięciu, który go wodził, patrzył zań, a mówił co mu kazano. Stary, rękę wyciągnawszy, za długi, spuszcisty kołnierz go trzymał, w drugim ręku kij mając. Tak zamek obchodził, gdzie mu oczów chłopca nie starczyło, sam ręką macając. A palce jego dotykając rozpoznawały nawet twarze, tak że czleka milczącego, dłonią mu powiódłszy po obliczu, nazywał. Pamięć miał zaś taką, że kogo raz widział, czyj głos posłyszał, zawsze sobie go przypomniał.

Cztery żony pochował stary Jastrząb, (a miał imię wspólne innym wielu z tego rodu, Odolaj). Czwartą bezdzietną stracił lat już mając siedemdziesiąt, i byłby się pewno z piątą ożenił jeszcze, gdyby go wkrótce nie razila ślepotą.

— Ślepemu się żenić — rzekł — szal jest, gdy i z czworgiem oczów baby upilnować trudno.

Naówczas to, córkę już niemłodą, owdowiałą Tytę wezwał do siebie, ażeby mu gospodarstwo trzymała. A choć ta lat przeszło pięćdziesiąt miała, jak malém dzieckiem nią poniała.

Mówiono o nim, że skarby wielkie trzymał po komorach, do których i teraz nikt oprócz niego nie chodził, ale skąpy był i dzieciom mało lub nic nie dawał. Najczęściej wyprawę na drogę i oręż, aby sobie sami na życie i byt pracowali. Szerokie ziemie do Jakuszowie należące dużo mu dawały, on zaś sam żył jako parobcy jego, nie wiele potrzebując dla siebie, i gości téż rzadkich przyjmował tak jak sam był nawykł pić i jadać. Mimo ślepoty, w ręku u niego było wszystko, ludzie i klucze a wola, bezeń tu nikt kroku nie śmiał uczynić.

Za trzech żon, potomstwo Odolaja już może jakie sto głów liczyło z prawnukami i dziećmi prawnuków. Wszystko to było rozpiechle po świecie. Gdy na wielką jaką uroczystość zjechało z czolobitnością do starca całe to rodzeństwo, pomimo dobrej pamięci musiał mu się każdy wy-

wodzieć czyim był synem albo wnukiem, bo tój gromady już i stary policzyć nie mógł. A że imion w rodzie dużo podobnych się znajdowało, nie łatwo było dojść którego Odolaja syn do pradziada Odolaja przybywał.

Na gródku u niego, choć czasu największego w kraju spokoju, taka była czujność, ład, straż jak gdyby wojna stała u progu. Załoga z wiosek się mieniała, chodziły stróże, wrota na dany znak z rogu zamykano, a rano otwierały się dopiero, gdy pastusi bydło na pole wypędzać mieli. U wrót zawsze ludzie stali i czuwali z oszczepami.

A że stary już spać dobrze nie mógł, dniem i nocą po zamezysku się włóczył, zwłaszcza, że dla niego noc wieczną była. Swój gród znał tak iż i bez chłopca, z kijem tylko mógł go obejść o każdej porze, a trafił gdzie mu było potrzeba. Kudłate psisko, ogromne, bure, z oczyma żółtymi, strasznymi, nigdy go nie opuszczało. Stary ten przyjaciel zwał się Hyż, a Odolaj już cztery ich przeżył pokolenia. Nie szczekał Hyż ani warczał, gdy mu się co niepodobało, rzucał się odrazu nie puściwszy głosu, szarpał i dusił. Tylko gdy niepewnym był co ma czynić, zaburczał, aby wywolać rozkaz starego pana. Zbliżyć się zniecka do Odolaja było niepodobieństwem.

Stare dworce na zanku, lepiące i podpierane od wieków, do szop były podobiejsze niż do ludzkich domostw. Odolaj budować się nie lubił

i miał przesąd słowiański względem nowych domów, które zawsze ktoś musi życiem przyplacić, wedle podania. Stało więc co tam niegdyś wzniesiono i trzymało się jak mogło, a gdy wieher co obalił, podnoszono tylko zwaliska i klecono na nowo. Oprócz jednego kawała z bierwion grubych mocno pobudowanego przed laty, który się zwał Izbicą, reszta komor z gliny i chrustu połatana, niska była i licha. Dużo też dla starości w ziemię wsiadło, i zdala wyglądały zabudowania jak kupa grzybów co po deszczu wyrośnie, bo wysokie omszone dachy z dranie i słomy, do grzybowych czapek były podobne.

Nawet do Izbicy wchodzić było potrzeba jak do jamy, w głąb', tak i ona zapadła się w ziemię.

Odolaj był już chrześcianinem, a nawet bardzo gorliwym i surowym, posty obchodził ściśle, duchownych szanował i obdarzał, ale z młodych czasów pozostało mu dużo pogańskich wspomnień i zwyczajów, których on od nowych nauk rozróżnić nie umiejac, dziwacznie mieszał z niemi.

Wiara więc jego z dwojga niemal wiar połączonych się składała, a szczególnież czarów i złych duchów obawiał się mocno, czego mu nie broniono, wierzył też w zamawiania i uroki. Bajek o czarownikach, wiedźmach, latawicach, wilkołakach, lichu, psocie, plusze słuchać lubił i sam miał ich uzbierany zapas wielki. Znał się nawet



na tém jak czar bywał rzucony i jak mógł być zdjęty. Stare baby posądzane o uroki niemilosier- nie ehłostać kazał, szczególnież gdy krowy mleko traaciły, po czém zawsze udoje wracały obfite.

Czeladź trzymał w strasznój surowości, i za przewinienia karał bez miłosierdzia, ale gdy się do kogo przywiązał, niepomierne dlań był łaskaw i wiarę dawał do zbytku. Człek był, mimo zbli- żającej się lat setki (liku właściwie dobrze nikt nie wiedział), dosyć jeszcze krzepki, na umyśle rzeźwy i stare rzezy pamiętający doskonałe. Trzymał się pono tém, że się ciągle ruszał, bo we dnie rzadko się kiedy zdrzémnał, a nocą zbu- dziwszy się przytomność natychmiast miał całą i wiedział eo się z nim działo. Gdy spał, Hyż i ehłopiec siedzieli przy nim nieodstępnie i czuwali.

Wiosennego poranku właśnie Odolaj z ehłop- eem i Hyżem swój gród obchodził wedle zwyczaju, a słońce przygrzewać zaczynało, gdy, zatrzymawszy się na wałach, stary ucha nastawił.

Wiatr wiał od dalekich borów, nie prócz niego słyhać nie było, ale starego uszy dalej jakoś siegały, bo ręką wskazując ehłopcu w stronę, w którą się gościniec daleko ciągnął przez pola, kręcąc między łączkami i rolami, zapytał:

— Ty, slysz! co tam widać?

— Nic, miłościwy panie — rzekł ehłopak.

— Ślepyś i ty, ezy co! patrz na gościniec, trutniu, wyrap oczy!

Chłopak podniósł się na palcach, oczy szeroko otworzył i dojrzał kłabka kurzawy.

— Nie widać nic, miły panie, ino się pył zwija po gościńcu od wiatru, albo bydło lub owce pędzą.

— Głupis! — rzekł Odolaj — patrzno lepiej, zobaczysz więcej.

Hyż jakby téż mowę pańską rozumiał, stał zwrócony w tę stronę, uszy nastawił i nosem powietrze pociągał.

Nagle chłopię krzyknęło :

— Miłościwy panie, jezdni!

— Ilu ich?

Znowu tedy milczał dzieciak, a stary spuściwszy głowę, ncha nastawiał.

— Ślepiec z ciebie — rzekł — pięciu ich być musi, trutuin jakiś, mówię pięciu! Licz!

W istocie w dali już teraz rozeznąć było można jeźdźców, z których dwu przodem jechało a trzech za niemi. Panowie i czeladź.

— Mów! — rzekł starzec. Tym słowem zwykł był puszczać wodze oczom swoim i chłopak powinien był zacząć opowiadać co widział. Chłopię poczęło.

— Przodem dwu na koniach, w zbroiczkach i hełmach, od których się świeci, czysto poodziwiani, za niemi troje czeladzi. Konie u wszystkich tegie, kłusują szybko, wprost na zamek.

Chłopak w ręce plasnął.

— A! panie — dodał — jeden z czeladzi na rękę sokoła trzyma.

— To nasi — mruknął stary — Jastrzębyjechać muszą.

W istocie garstka ta zbliżała się ku staremu zameczysku i coraz ją lepiej rozeznąć było można. Na dwu jadących przodem błyszczały zbroje, na koniach też widać było świcidel dużo, wyglądali z pańska i czeladź odziana była dostatnio.

Gdy stary Odolaj przekonał się iż na zamek zawracali, zszedł z wałów i pospiesznie do izbiecy powrócił, nie chcąc w podwórcu gościom zabiegać drogi.

Izba, w której siadywał, mało się różniła od wieśniaczej, choć od zwykłej świetlicy była większą. Od dymu ściany jej drewniane całe się oblokły świecącą brunatną powłoką. W górze na belkach wisiały zioła różne, odpędzające uroki, służące dla zdrowia lub przyniesione dla woni. Bystrzejsze oko mogłoby było w ciemnych zakątkach za belkami dostrzedz pochowanych bałwanków, niezgrabnych, drewnianych, których wyrzucić precz nie miano odwagi.

W okół przy ścianach biegły wązkie i twarde ławy, a przy drzwiach tuż stało wiadro z wodą świeżą i czerpakiem. Półki grube po nad ławami poczepiane u góry, zastawione były całe naczyniem różnem, w większej części glinianém i drobném sprzętem, tak aby stary mógł ręką sięgnąć

wszy, dostać czego mu było potrzeba. W jednym rogu izby gdzie ława nie sięgała, miał barłóg swój Hylż, u samych drzwi sypialni pańskiej.

Spał on po jeduń ich stronie, z drugiej chłopiec, którego we dworze nazywano „Okciem“. Podłogi w izbie nie było, tylko tok gdzieniegdzie matą słomianą okryty.

Gdy stary usiadł na ławie za stołem, weszła za nim córka jego, ubrana w sukno sine, z białym namiotem na głowie, niewiasta krzepka jeszcze, ale raczej na służbę niż na panią wyglądająca i pokorna bardzo...

— Goście słyszę jadą — odezwał się posłyszawszy ją idącą i po chodzie poznając stary. — U nas strawa codzienna jaka tam?

— Kluski, kasza, kawał mięsa dla was, dla gości by co przyrzucić? — spytała Tyta.

— A oni co lepszego od nas! — zawołał stary. — Mogą jeść co i my, albo i nie jeść.

— Ha no! — stęknęła niewiasta — powiedzą, że nie mamy nic, dom obrzydzą...

— A! niech sobie gadają co chcą! — rzekł stary nakazująco — dla ludzi ja wolę być ubogim niż bogatym, dla krewnych jeszcze bardziej. Każdyby dał z cudzego...

Tyta nic już nie mówiąc, stąrla stół, obejrzała się dokoła i wyszła powoli; z Odolajem nie można się było sprzeczać. Gdy rozkazał sprzeciwienia się nie ścierpiał.

Nastawił ucha bacznie Odolaj, twarz mu się stała posepną, widocznie gościom a swoim nie zbyt był rad, bo posądzał zawsze synów i wnuki, że od niego pożądać czegoś mogli.

— Przywieźć żaden nie przywiezie — mówił zawsze — a wziąć u starego radby każdy.

Od wrót, z koni zsiadłszy przybywali właśnie dwaj młodzi Boleszczyce, wnuki Odolajowe, Dobrogost i Ziema. Oba postroili się w odwiedziny, jak było we zwyczaju na dworze i rozglądali się ciekawie po gnieździe starém. Tyta czekała na nich u drzwi przed Izbicą.

Pokłonili się jój, bo choć dobrze nie pamiętali, wiedzieli o niej i domyślali się kto była, zapytali czy wolno dziadowi do nóg się pokłonić oznajmując, że byli Mszczuja synowie, któremu ojcem był Mieszko syn Odolaja.

Popatrzywszy z ciekawością i radością, która się na jój lieu malowała, na pięknych chłopaków stara Tyta, dała im znak głową, aby szli za nią.

Odolaj już kroki ich usłyszał, zawczasu Hyża na barłóg wyprawił leżeć i nie ruszać się, sam czekał.

Weszli tedy na próg, chrześcijańskim obyczajem chwając Chrystusa. Stary im odpowiedział, jak należało. Po chwili zapytał:

— Któż tam?

Tyta wzięła na siebie, aby ich wyręczyć w odpowiedzi.

— Dobrogost i Ziema.

— A którzy?

— Synowie Mszczuja.

— Którego?

— Mieszkowego — rzekł Dobrogost.

— No, Bóg z wami! — odezwał się stary cicho i na rękę się podparł.

Przystąpili więc do nóg mu się skłonić i pocałować go w kolana.

— Jedziemy za rozkazaniem pańskim mimo Jakuszowic — odezwał się Dobrogost — chcieliśmy miłości waszój też przypomnieć się i pokłonić. Rzadko służba pozwoli wczasu.

Staremu na wspomnienie króla czoło się namarszczyło straszliwie, a brwi siwe aż nawisły, drgnął i mruknął jakby łajał, ale nie można było zrozumieć co rzekł.

Młodzi przed nim stali.

— Was tam słyszę lik duży na dworze przy panu — rzekł — szczęściu czy dziewięciu czy więcej Jastrzębi. Was tam jak niewolników zwa Bole-szczycani. Cóżście się to mu z kośćmi i mięsem zapredali!

Spoglądając po sobie milczeli przybyli. Ziema jako młodszy, nie myślał nawet odpowiadać.

— Jest nas na dworze pańskim — rzekł Dobrogost — naszego zawołania i rodu kilkunastu. A cośmy my winni, że nas przezwano Boleszczycami! Nie jednych nas tak zwa, jest i Śreniawów

dosyć i Drużynów kilku. Ludzie zazdrosni zwa-  
nas tak, bo wiernie panu służymy i miłość kró-  
lewską mamy. Nie przetośmy niewolnikami.

Stary znowu coś mruknął jakby sam do siebie  
gniewnie, sparl się na rękę, siedział i usta mu się  
ruszały.

Podniósł potem rękę z wolna, grożąc i począł:

— Ej, źle z wami młokosy, ej! źle! Do wojny  
królowi służyć, to powinność ziemiańska, a koło  
mis i kubków nie nasza sprawa.

Mruczał sam do siebie niewyraźnie, a ze szmeru  
tego z wolna dobywały się wyrazy i głośniejsz już  
ciągnął dalej, jakby zapomniawszy, że ich miał  
przed sobą.

— He! co! Boleszczycami was zwa! Boleszczy-  
cami! Wiernie panu służycie, ha? nawet gdy wa-  
szym braciom łby ucina? he? Jak niema kochać  
i odziewać i karmić! A co będzie jak tego pana  
nie stanie i do swoich przyjdzie powracać? he?  
co poczniecie! Boleszczyce?

Znowu mowa wyraźna zmieniła się w szept-  
nie gniewne, do którego stary w samotności był  
nawykłym.

— Przystąpić tu! — zawołał do nich.

Zbliżył się starszy Dobrogost.

Starzec podniósł do góry ręce obie i z wolna  
powiódł niemi naprzód po twarzy, potem po zbroi,  
po pasie, aż do nóg, na ostatek dość silnie po-  
pchnął go precz od siebie.

— E! zgagi! — zawołał. — A zkadże to wam ubogim, te drogie zbroje, te sadzone pasy i te suknie miękkie i łańcuchy? Ojciec w siermiędze chodzi, z domu wam nie dał nic, chyba kawał zardzewiałej blachy i mieczyk lichy? Na wojnę małoście chodzili, zkadże te ubiory?

Dobrogost się namyślał trochę, lecz rzekł odważnie.

— Król pan nasz miłościwy darzy nas, od pana przyjąć ani grzech ani wstydl.

Starzec się rozśmiał szydersko i splunął.

— Bo wy mu do rozpasty służycie! trutnie jakieś! — krzyknął — służycie mu jak psy, to wam obróże sprawia.

Zmięszali się oba młodzi Boleszczyce, a Odolaj siedział mruczając po swojemu i ręką w stół czasem uderzając. Za każdą razą Hyż głowę podnosił.

— Ej! wy! — rzekł nagle — śmierzcie mi! zdala odemnie stać!

Oba się tedy do progu musieli oddalić posłuszni, ale krew się w nich burzyła, patrzali na się, pytając oczyma po co się im do Jakuszowie zachciało. Preczby byli szli i jechali zaraz nazad, ale szanując głowę rodu, oddalić się tak nie mogli, bez rozkazania.

Stary wyczekawszy z mruczenia do siebie począł znów głośnić:

— Cóż tam ten miłościwy pan? co? króluje, panuje nad żonkami cudzemi! z rycerstwem się



zadarł, ziemiany gardzi, biskupem pomiata, a z hołotą i czernią w wielkiej miłości żyje! Miłościwy pan... a komu miłościwy? nie nam!

Dobrogost zebrał się na odwagę, by króla swego bronić, choć dobrze wiedział, iż stary się zagniewa.

— Miłościwy panie a ojciec — rzekł — ja tam nie znam wiele, ale z rycerstwem tém inaczey nie mogło być, gdy mu ono posłuszeństwo wypowiedziawszy zbiegło z Kijowa, samego pana niemal zostawiając. Ziemianie też mu nie życzliwsi jak byli Mieszkowi i Kaźmierzowi, którego wygnali. Król na nich za dziada się mści i za ojca. Biskup z niemi trzyma. Ludu ubogiego król miłościwy broni, bo bez niegoby panować komu nie miał, a głódby nastał na te ziemie.

— A milczże ty, gołowasio jakiś! — krzyknął stary Odolaj kijem bijąc o ziemię — a milczże! Ty mnie tu będziesz uczył rozumu! Dobry pan, a żonę Mścisławowi jak wziął? Mało mu swojej?

Oba stojący u drzwi zamilkli.

— Nie nam go sądzić! — rzekł Dobrogost.

— Ale ja stary sądzić go mam prawo! — zawołał Odolaj — ja i Mieszka pierwszego i Bolka Wielkiego, co jak słońce jasny był, i wszystkich ich pomnę, żadnego takiego nie było jak ten. Jeszcze mu z dziewcząt i żon naszych daninę przysłanie ślać, jak smokowi pod Wawelem? a wy mu do tego służycie, sromotnicy!!

Warczał tak starzec długo, młodzi stali słuchając i nie wiedząc co z sobą poczynać mieli. Tyta się dawno wysunęła, widząc na co się zanosili. Widać ją było, jak po za drzwiami przysłuchując się, niespokojnie chodziła. Odolaj lajał i srożył się. Nagle zamilkł, ucha nastawił, jak gdyby odpowiedzi czekał, ale już nawet Dobrogost nie śmiał się odzywać.

— Dobrze, żeście do Jakuszowie zajechali — rzekł w końcu — dawnom ja za któremi z was ślać chciałem. Wróciwszy na dwór powiecie swoim wszystkim Jastrzębom ile ich tam jest, że ja ich za ród mój i krew moją znać nie chcę, póki w tym kale zostaną. Na wojnę idźcie, niech was i pozabijają, jest dzieci dość, narodzi się ich jeszcze więcej, ród nie przepadnie, a po barłogach dworskich się wylegać, wara!

Potrząśł swoją siermięgą.

— Jak ja grube sukno nosić, bławatów nie tykać, gruby chleb żrąć, to wasza powinność i służba. Postroili was na pośmiewisko, jak królewską kobylę, która slysze też w złotogłowie chodzi. Zrobili z was czeladź nie drużynę. Ej! Śmierdźcie mi, śmierdźcie, Boleszczyce!

Dobrogost widząc go tak niełaskawym i miarkując, że już nie do stracenia nie mieli, znów się ośmielił odezwać.

— Miłościwy ojcze, króla opuścić gdy mocen

i szczęśliwy, toć się godzi na rozkazanie ojca, a no, gdy go wszyscy odchodzą.

— Chłystek mnie rozumu będzie uczył! — warknął stary. — Trutniu jakiś, zgago przekłeta! Twoja sprawa słuchać starszego, nie z ojcem iść ząb za ząb...

Rzucił się aż Odolaj; młodzi oba usta zawarłszy, stali.

— Mówię wam! do domu wszyscy! na cztery wiatry... ażeby was tam nie było. Nie, to ja was nie znam. Śmierdziejcie mi Boleszczyce, Boleszczyce nie moja krew. Com rzekł to musi być, a nie posłuchacie, toście jego nie moi, prawi Boleszczyce a nie Jastrzębie. Sukmany włożyć, zbroję prostą, i na rubieże gdzie się tłuką, nie na zamku gdzie z cudzemi żonkami skaczą...

Gniewał się stary, lecz że już odpowiedzi nie było, powoli uspokajać się zaczął. Mruczenie zeszło na szept, marszczki zwolna się rozciągnęły, posiedział milczący, westchnął i już głosem innym zapytał:

— Po co i dokąd was posłano?

Naturę miał taką iż gdy mu nie odpowiadano i nie przeciwiono się a dano wysierdzić, stawał się coraz łaskawszym i niekiedy nawet za gniew słodkiem słowem płacił.

Dobrogost i Ziema, którym z tyłu Tyta szepnęła słowo, stali teraz pokorni i niemi. Na ostatnie pytanie odpowiedział starszy, że daniny za-

ległe kazano im tu i owdzie zakazywać, bo ich wiele do skarbu nie poodwożono, a król obficie rzucając złotem, dużo też go potrzebował. Posługa ta nie w sobie nie miała upokarzającego, Stary też nie rzekł już nic, pomruczał coś sam do siebie i spytał:

— Głodniście może?

Dali na to odpowiedź obojętną.

— A juści was Tyta ztąd nie puści nienakarmionych — rzekł łagodnie, a chłopca posłał też aby konie napasiono.

Natychmiast Tyta strawę podawać kazała, prostą, taką jaką dla wszystkich zgotowaną mieli. Przyniosły ją dziewczki na misach glinianych, z łyżkami drewnianymi i na stole postawiły.

Kazano chłopcom siadać i jeść, co też dopełnili z ochotą, radzi, że się łajanie i gniewy skończyły. Stary o ten sam stół oparty, głosem już znacznie zmienionym, spokojniejszym, rozpoczął wypytywać o dwór i króla.

Dobrogost, który jak wszyscy Boleszczyce, przywiązany doń był, źle mówić nie mógł.

— Pan dla nas jest dobry — odezwał się — o lepszego trudno, dla swój drużyny nie nie żałuje, ale nieposłuszeństwa w nikim nie ścierpi, buty nie zniesie od nikogo, choćby jak on królem był.

— Takim ci on był od początku — zawołał Odolaj. — Pamiętają jak owemu kniaziowi co go

prosił żeby naprzeciw niego wyjechał, za każdy krok koński płacić sobie kazał, a potem na śmiech za brodę go wzięwszy, jak na urągowisko w twarz całował.

Młodzi co o tej przygodzie nie raz słyszeli, śmiać się zaczęli.

— Nie lepić się i z Węgrzynem obchodził, mówił Odolaj — bo go na tronie posadziwszy, jak we własnym domu chciał się rządzić w jego królestwie.

— To nie, to nie — dodał stary — a no mu od duchownych wara! Królowie zniosą, oni, nie! Milezeli młodzi.

— Już się z biskupem zadziera! — mówił ciągle Odolaj — z biskupem? Biskup Stanko tu u nas ojczycem jest w Krakowskiem, pójdą za nim wszyscy! Człowiek to od króla pewnie mądrzejszy, umarłych z grobu wywodzi! Niechno patrzy, aby mu słowem śmierci nie zadał. Biskup to taki co gdyby czarnej sukni nie nosił, do pancierzaby się zdał. Nie zleknie się go i nie ustąpi kroku.

Mówiąc to starzec coraz się uspokajał, łagodniał i już nawet uśmiechać się poczynął, sierszistość mu przeszła, jeść zapragnął, chleb łamał i cheiwie go pożerał w soli maczając.

Potem miodu kubek podać sobie kazał i popijał powoli.

Młodzi zjadłszy i pokłoniwszy się cheieli ko-

rzystając z dobrej chwili, do odjazdu się zabierać gdy Tyta wbiegła do izby i znać dała Odolajowi, że kilku jakichś ziemian na zamek jechało. Ktoby był powiedzieć nie umiała.

— Ty, młodszy, jak cię zową! Ziema? — zawołał stary — ty, służko królewski, posłuszno dziadowi, a żywo. Idź mi zobacz co za jedni i daj wiedzieć tu wprzód nim zsiądą.

Oczy masz, a ludzi znać musisz, choć ci co do nimie jeżdżą, na dworze bywać nie zwykli.

Natychmiast Ziema, słuchając rozkazu, poskoczył ku drzwiom i zniknął. Ruchem jego zaniepokojony stary Ilyż, rzucił się na barłogu, jakby chciał za nim pogonić. Stary usłyszawszy poruszenie jego, odgadł co pies myślał, znając jego naturę, krzyknął nań i leżąc mu przykazał. Psisko z niechęcią na pościel wróciło, zakręciło się na niej razy parę i legło skarżąc się i stękając.

Po chwili, skoro się uwinąwszy, Ziema wrócił oznajmując Leliwę, Kruka i Brzechwę.

Usłyszawszy o nich, stary się pogładził po głowie i czekał. Tuż za nim i oznajmieni na próg weszli, lecz dwu Boleszczyców zobaczywszy, których i z twarzy i po stroju poznali zaraz jako królewską drużynę, nachmurzyli się, popatrzali na się i przystąpili z witaniem chłodno jakoś a mileząco.

Stary Jastrząb wiedział dobrze, iż do niego nikt w gościnę nie przybywał nadaremnie, dla

zabawy. Przyjeżdżali tylko ci co albo obowiązek mieli lub potrzebę.

Wysłuchawszy pozdrowienia, posłał po miód, gości posadził, czekając co mu też powiedzą.

Ci spoglądając z ukosa na Dobrogosta i Ziemię milezeli długo, prawili rzeczy obojętne, jako na łąkach trawa rosta i zboże się podnosiło; gdzie zwierzta było więcej, a zkad go wypłoszyły wilki.

Stary czekał, zgadł czy nie co inni usta zamykało, a po chwili Dobrogostowi rzekł, aby z bratem szedł opatrzyć stadninę i tegoroczną młodzię.

Radzi wielec wysunęli się dwaj Boleszezyce.

Nasłuchiwał Odolaj za krokami odchodzących, aż gdy posłyszał że odeszli za węgiel Izbicy, odezwał się:

— A co was, miłościwi moi, sprowadza? Jać to wiem dobrze, że do mnie ani moje klnski proste, ani miód twardy, gościa nie ściagną. Chcecie pewno czego odewnie, a przy tych gołowach mówić nie rażno było, bo to królewskie służki.

— A no, tak — rzekł Leliwa — przy młodych o to zagadnąć nie można było. Wy jesteście głową rodu, waszych tam Jastrzębi przy królu mnogo, wszysey ci Boleszezyce u boku mu stoją, podpie-  
rają go, służą... Przez nich on silny. Przyszedł ten czas, że go wszystkim odstąpić będzie trzeba, niechajże i wasi idą precz, niech go porzuca...  
Macie prawo im rzec, żeby tam ich noga nie po-

stała. Nie trzeba wam mówić co się dzieje, król z biskupem wojuje i z kościołem, kto z nim będzie trzymał, ten ani na próg do kościoła, ani do kapłana przystępu mieć nie będzie. Czas żeby wasze wnuki pamiętali zkad wyszli i odstąpili go wraz z nami...

Odolaj brodę gładził.

— Jak po to jechaliście, to nie było z czém jechać — rzekł spokojnie — ja właśnie im głowę zmyłem i dałem rozkazanie, aby mi wszyscy natychmiast precz ze dwora szli...

— Sprawiedliwie! — pochwalił Leliwa. — Król się nam sprzeniewierzył, ani obyczaju już znać nie chce, ani miary w niczém. Dziewki i żony ziemianom porywa, a mężów i ojców do ciemnicy sadzi. Biskupom grozi, rycerstwo swe katuje, czerń mu tylko miła... Niechże mu ci służą, których kocha, a my jako jeden idźmy precz... idźmy precz!

— Idźmy! idźmy! — powtórzyli za nim drudzy. Kruk dodał.

— Kiedy o nas nie myślą, trzeba nam myśleć o sobie.

A Brzechwa rzekł.

— Łatwiej nam będzie o pana, niż jemu o królestwo. Szanowała go Ruś i Węgry, bośmy my za nim stali, nie stanie nas, zobaczy czy mu kto da w pomoc by jednego czleka. Niech probuje.



Odolaj milezał, wąsami potrząsając, gładząc głowę.

— Tylkom co jak psów lajał wnuki, że z nim trzymają. Kazałem im ze dworu precz iść. Teraz wam, miłościwi moi, pora prawdę rzec. O pana też nie laćno! Z orężem rznąć, palić i lud nam wyprowadzać przyjdą i Czechy i Ruś i Ugry i Niemcy, jak zobaczą, że gospodarza niema, a ziemie stoją otworem. Szarpać po kawałku będą radzi! Czemu nie! O króla nowego coby z nami wyrósł i do nas przyrósł nie łatwo! he! he! Choćby on jaki był, swój jest.

Leliwa, Brzechwa i Kruk głowami potrząsając milczeli, jakoś im to w sinak nie szło, a nie wiedzieli czém zbijać starego, bo i to prawdą było. Pamiętali wszyscy wygnanie Kaźmirzowe, Masławowskie czasy i co naówczas wszystkie ucierpiały ziemie, a wiara chrześcijańska.

Starzec milezał też jakiś czas odpowiedzi czekając, a potem począł zwolna:

— Co mnie staremu grzybowi do was i do spraw waszych, blisko mi setki. Nie widać ino jak sowa przyleci, na dachu usiedzie i zawoła: Do mogiły! do mogiły! Tymczasem moje Jakuszowice nie z brzegu, zamek się i w burzę ostoł. Mnie zawierucha nie straszna, a no innym!!

Ważcie dobrze, w palce trącajcie, co lepić.

— I to prawda — mówił Leliwa — uchowaj nas Boże od tego byśmy bez pana zostali! A tak

jak jest też nie może być. Dopóki duchowieństwa nie tknął, choć nam głowę z karku zdejmował, co poczynąć było! Cierpieliśmy, milczeli. Nie dość mu nas, z panem Bogiem i sługami jego wojny mu się zachciało. Biskupi mu są równi, tak namaszczeni jako on, a Rzym nad nim, przeciw nich się nie ostoi.

Drudzy też potwierdzali: Nie ostoi się.

Odolaj nie nie odpowiadał, po długiej chwili oczekiwania dopiero począł sparszy się na dłoni jakby sam do siebie:

— Krew ci to nasza! bujna! Wojak jest! Jak nie wojuje za domem, doma mu wojny trzeba. Gdyby się z kim miał tłuc zarazby to wszystko ustało. Cała bieda, wojny niema; znajdziemy mu swar jaki, zadrzyjcie się na granicy, nie, to wam baby pozabiera, a biskupom czapki z głowy pozdziera. Taka krew! taka krew! I zaraz mu swawola w głowie, a no i Bolko stary, na kobiety był lasy... Ten od mężów, a tamten i z klasztorów Panu Bogu odbierał! Taka krew...

— Co bo mówicie! bronicie go! — począł zgorszony Brzechwa. — Wy stary, a czy to się godzi? Patrzcie co się dzieje. Mściśławowi nie dosyć, że żonkę porwał, jego jeszcze do ciemnicy posadził, że się na zamku śmiał pokazać. Mówią że go stracić mają.

— Do takich spraw — dodał Leliwa — Jastrzębiom służyć się nie godzi. Każcie im iść precz.

Kto wie? Gdy i oni i drudzy, a wszyscy go rzuci służbę mu wypowiadając, opamiętać się może.

— Albo chłopów zwolawszy lby im poucina— rzekł stary Odolaj — zawsze to lepiej, niż opaskudzone nosić na karku... A! no!

Przyniesiono miód ów, o którym zapowiedź była, że twardy miał być, w istocie chmielem był mocno zaprawny, gęsty i czarny jak smoła, pili go jednak wszyscy, rozprawiali znowu, a stary przypomniawszy wnuki, które do stada wyprowadził chłopcu ich do siebie pozwać kazal.

Stali już oni, czekając na to pode drzwiami i stawili się natychmiast.

Wobec Leliwy, Kruka i Brzechwy, innym już glosem, starzec im rzekł poważnie a surowo:

— Czas wam w drogę, jedźcie z Bogiem... Mówilem czego po was żądam. Precz ze dworu ustąpić macie, albo ni się w Jakuszowicach ani pokazać wiecój, ani nawet na pogrzeb mój.

— A teraz w drogę.

Dobrogost i Zima przyszedli do kolan i do ręki, stary ich pobłogosławił i powtórzył:

— Wszystkim Jastrzębiom to zanieście, taka wola moja-

Wyszedszy z Izbiicy, młodzi Boleszczyce, do Tyty jeszcze się szli żegnać, która ich w nileczeniu uścisnęła. Cały dwór żeński, mężczyzn też, parobków i czeladzi dużo, wybiegli na tych wnuków starego pana, tak pięknych, młodych, ślicznie

strojnych i zbrojnych popatrzeć. Z czeladzi zamkniętej na smutném zameczysku, nie jedenby był chętnie się do nich przyłączył, bo na ich pacholkach widać było dostatek i swobodę jakiej zażywali. Odprowadzano ich tłumnie do bramy, patrzano za nimi długo, tęsknie, gdy się oddalali.

Mileżący jechali czas jakiś, spoglądając na się a głowami potraszając. Dopiero gdy w las wjechali rzekł Dobrogost:

— Cóż pocznienmy? Zle się z panem naszym dzieje! Wszyscy już przeciwko niemu. Choćbyśmy ja i ty starego posłuchali, czyby nam dali wiarę: Borzywój, Zbilut, Odolaj, Andrek? albo i drudzy? Zechce się to im iść ode dworu? Dokąd? Na ojcowiznie niema co robić, nas dużo, co my pocznienmy?

Ziema na to rzekł:

— Albo ja wiem! Co stary mówił, to im odnieść musimy, a radzić będą wszysey, i co wszysey zrobią to i my...

— Pan dobry! — dokończył Ziema.

— Dobry on dla nas — westchnąwszy rzekł Dobrogost — a no dla siebie zły... Mało i tak wrogów miał, żeby ich jeszcze robić sobie? Teraz kto popędliwego pana z biskupem pogodzi? Zawre wojua w domu... zawre. Bieda jemu, bieda nam, bieda!

Posmutnieli Boleszezyce.

— E! — mówił dalej pierwszy — zażyliśny

dobrego czasu z nim, musimy i zle przetrwać. Jak go tu rzucić i jemu się sprzeniewierzyć, gdy wszyscy odstępują! I pies przecie rannego na polu bitwy nie odstąpi...

Ziema potwierdzał skinieniem.

— Złe jest bardzo z nami — rzekł cicho — gorzej niż wy myślicie. Mam na zamku starego księdza, który łaskaw jest na mnie, straszno rzeczy mówi.

— Co? — zapytał przysuwając się Dobrogost.

Ziema zadrżał, oczy spuścił, jakby się obawiał nawet wyjawić co usłyszał.

— Król niedawno rozniewawszy się, biskupowi z zamku precz iść kazał, z ks. Stankiem nie dobra sprawa! odgraża się nań słyszę, że go w kościele kłać będzie i na próg domu Bożego nie wpuści. Staruszek ksiądz, gdy mówi o tém, łzami się zalewa... Ścisnął mnie zaklinając, abym i ja i moi precz od króla szli, bo z nim dusze pogubiemy. Gdy go wyklną, ktokolwiek z nim trzymać będzie, wyklęty zostanie, na próg go do kościoła nie puszczą, wolno zabić kto zechce... Za to kary niema.

Dobrogost wstrząsł się cały.

— To nie może być, aby się ważył na króla!

— Biskup? — odparł Ziema — ależ on nad sobą nikogo niema tylko papieża w Rzymie i nie lęka się nikogo.

— Nie może być! — wołał Dobrogost.

— Gdy króla wyklną; innego na tronie posadzą — mówił Ziema. Pewnie go już biskup i ziemianie opatrzyli.

— Nie! nie! — gwałtownie dodał starszy — nie może to być! Król! onby śmiał porwać się na niego! Nie znają króla.

— Ale wyklętego wszyscy opuścić muszą — rzekł Ziema — tak mi mówił ksiądz... Cóż poradzi sam?

Zadumał się Dobrogost, a młodszy ciągnął dalej.

— Gdy go wyklną, na głowie wyklętej już korony nosić nie będzie mógł, słuchać go nie zechce nikt. Wezmą Swiatawy syna lub męża, bo się słyszę już i na to zmawiają.

Dobrogostowi brwi się ściągnęły.

— I toś już słyszał! Dobrze dzieją się rzeczy, a no i nasz pan nie śpi! Ale trzeba aby o tém wiedział.

Ułakł się Ziema i przyskoczył do brata.

— Czyń sobie jako chcesz, ale mnie w to nie ciągnij! Ja na nikogo świadczyć nie chcę!

Ruszył na to Dobrogost ramionami.

— Prawdę rzec — dodał — nie nasza to sprawa, ja też palców między drzwi kłaść nie myślę; ale z sobą się naradzić trzeba co poczynąć, bo już nie igraszki to są. O króla idzie i o naszą skórę. Z ziemianą i rycerstwem jeszczeby się pan połagodził, a z biskupem trudno. Człok to jest że-

lazny. Wiccie jako do Brzeźnicy raz jechał, aby tam kościół święcił, a w progu domu u Janka z Brzeźnicy co Panu Bogu wystawił kościół, znalazłszy go nie wedle prawa żyjącego z niewiastą, z którą ślubu nie brał przed księdzem, pod jego dachem nawet nocować nie chciał. W slotę na łące bez namiotu całą noc spędził, aż Janko go musiał nazajutrz w nogi całując przepraszać, o ślub prosić i pokutę; dopiero się dał przeblagać i kościół mu poświęcił. Wszysey owi ze Szczepanowa i ojciec jego Wielisław i dziad ludzie twardzi byli jako on. Król też kamienny jest, gdy się z sobą zetną Bóg jeden wie co będzie. A stanie kto między niemi, najpewniej go zgwiotą.

Rozmawiali tak całą drogę aż do noclegu, oba zasmuceni i chmurni: ciążyło im dziadowskie przykazanie i groźby, a miłość dla króla łatwo się go wyrzec nie pozwalała. Ze starym Odolajem nie było żartu, króla też obraziwszy, nie można się było spodziewać przebaczenia. Sami nie wiedzieli jak radzić i co czynić, lecz na to był brat starszy i drndzy Boleszczyce, by coś postanowili. Nazajutrz, trapiąc się myślami całą drogę, do Krakowa się zbliżyli.

Gdy się Wisła i Wawel ukazał z dala, westchnął Dobrogost wspominając na dobre i wesole dni jakie tu przeżyli i na to co się gotowało dla grodu tego i ziemi. Wjechali na zamek smutni, a czeladzi konie zdawszy, Dobrogost, który długo

nie w sobie trzymać nie lubił, pospieszył do izb które zajmowała drużyna, chcąc zaraz swoich zwołać i niezwłocznie radzić nad tém, co wieźli z sobą.

Zobaczywszy ich z powrotem, bracia i bratanki, wszystek ród, którego przy królu było wiele, gdyż jeden cześnikiem, drugi przy komorze, trzeci przy skarbcu był postawiony, a w drużynie téż znajdowało się nie mało; poczęli się gromadzić do przybyłych, chcąc się dowiedzieć czy gdzie u swoich nie byli, i co z sobą nieśli. Było bowiem zwyczajem Jastrzębi, że na swobodę się wyrwawszy, zawsze do gniazd swych, do Jakuszowic, Zborowa i innych dworów zaglądali.

Otaczać ich wszyscy poczęli kołem i pytaniami zarzucać wesoło, ale spostrzegli wnet po Dobrogosta twarzy, iż z niedobłą jakąś wieścią powracał. Do nadchodzącego Zbiluta zawołał niecierpliwie.

— W Jakuszowicach byliśmy, u starego Odolaja, mamy od niego nakaz i polecenie, niechaj się wszyscy nasi zejść.

Na ten głos natychmiast gromadzić się zaczęli gdzie jeszcze który był, aby dziadowskie usłyszeć słowo. Tymczasem napierano daremnie Ziemię i jego aby mówili, młodszy to na starszego zdawał, a Dobrogost póty się odzywać nie chciał, ażby wszyscy swoi się ściągnęli.

— A cóż ze starym się dzieje? — poczęli



żartować niektórzy, czy się jeszcze raz nie ożenił? Zawszeli z Hyżem chodzi i Okiem, a łaje i becześci?

— Toć was musiał obficie obdarzyć! — zaśmiał się inny, bo to wiadoma rzecz, iż szczodry jest wiece, gdy w skórę bić każe...

— Dałże wam choć jeść? — spytał trzeci.

Na te żarciki młodzieży Dobrogost głosem silnym odpowiedział.

— Stulcieno gęby, nie nam na głowę domu wygadywać! Zobaczycie jak postarzejecie czy będziecie go warci! Milczelibyście lepiej.

Zmiarkowała młodzież, że nie wczas przedriewać się wzięła i zamilkli wszyscy.

Gdy już izba tak pełną była; że prawie nikogo z Jastrzębi nie brakło, a na najmłodszych co się gdzieś w kąty pozaszywali czekać nie myślano, odezwał się Dobrogost, obracając do Ziemy, którego przy sobie postawił.

— Poświadczy on co ze mną razem był i słuchał, jako prawdę mówię. Stary Odolaj nałajał nas za to, że przy królu stojemy, i nakazał aby wszystek ród jego precz szedł ze dworu, albo nie to nas za swoich znać nie chce! Nie posłuchają, — rzekł — to i na pogrzebie moim, żeby ich noga postać nie śmiała.

Naprzód milczenie długie, a potem krzyk powstał i wrzawa, pierwszy Borzywój przypadł doń bliżej.

— Toż co jest? — krzyknął — co się staremu stało? Jakże to może być?

— Ze starości mu się w głowie pomiejszało — dodał drugi.

— Przez cóż i dlaczego precz iść mamy? — pytał trzeci.

— Toć to pono odgadnąć nie trudno — rzekł Dobrogost. — Widzicie co się dzieje, króla wszyscy odstępują, ziemian sobie naraził. Biskupa wypchnął precz i pogroził mu, wszyscy na niego. Chcieliby abyśmy i my opuścili pana. Łają nas, że my mu do swawoli pomagamy.

— Myśmy nie kapelani, nie spowiednicy, abyśmy mu nauki dawali — ozwał się jeden z gromady. Drużyna pańska za naszą głową idziemy, to nasza powinność.

— Mybyśmy go mieli teraz rzucić? — przerwał inny — dobrego czasu zażywszy z nim, gdy zły nadszedł nieckać!!

— Pewnie! — zawołał gwałtownie Borzywój. — Kiedy nas w złotogłowy odziewał i sypał nam złotem, kiedy nam z nim dobrze było, mieliśmy służyć, a w złej doli do nory. A cobyśmy naówczas byli warci? Stary z Jakuszowie czy stracił świata nie widzi, co mu ludzie prawią wierzy, i chce byśmy go słuchali!

Zanilkli wszyscy, szmer tylko słychać było w gromadce.

Odolaj w kącie stojący, spojrział na Borzywoja złośliwie i szepnął półgłosem do ncha sąsiadowi,

— E! e! Borzywojowi bodaj od Krysty ciężéj-by było precz iść niż od króla.

Rozśmiali się niektórzy, Borzywój zdala mu tylko pięść pokazał.

— Będiesz ty mi przekąsywał gołowásie!

— Prawcieno nie na śmiech a co należy — przerwał Dobrogost. — Przyniosłem wam wiernie przykazanie dziadowskie. Nie posłuchamy go? wiecie jaki człowiek z niego i co nas czeka... A cośmy wówczas warci gdy nas od pnia jak suche gałęzie odetną? chyba jak snsż do pieca.

— Ja mówię tak — z kąta siedzący na ławie daleko ozwał się Bohdaszko Kaniowa — ja mówię tak. Gdybym żonie przysięgał, dochowam wiary, przysięgałbym panu wiary mu nie złamię, gdybym wróblowi na strzesze słowo dał to je strzymam, i koniec.

Drudzy szmerem to potwierdzali, część milczała, zafrasowanie widać było na wszystkich twarzach.

— Kto chce, ezyja wola, niech idzie od króla za parobka do Jakuszowic — rzekł Borzywój — ja nie pójde. Dziada szanuję, ale gdybym dziś do niego wrócił i garści słomy mi nie da, a trzeciego dnia i od miski odpędzi; jam tu ojca znał i z nim trwam. Były dobre dni, żyło się

z nim, nastaną złe, i te przeżyć trzeba, kto śmietaną zbierał, niech i kwaśne mleko wypije.

Dobrogost targał młodą bródkę milezący.

— Ja wam powtarzam to co mi kazano, stary wszystkim ze dworu precz iść każe.

— Co ty uczynisz? — spytał Andrek.

— No, a ty? — odparł Dobrogost.

Wszyscy się wahali, jeden Borzywój powtarzał śmiało.

— Co będzie to będzie — ja z nim.

— A jak się nas wyprą swoi? — spytał Zbiłut po cichu spoglądając ku niemu.

Nikt nie odpowiedział; w tém Bohdaszko z ławy począł znówu.

— Kłaniali się i prosili, aby nas do drużyny przyjęto, król łaskaw, przygarnął, teraz inny wiatr zawiął — każą iść precz. Kto w państwie gospodarz! ja nie wiem, mnie się zdaje że król, i jego słuchać trzeba.

Nie chcąc wszystkiego głośno wypowiedzieć, Dobrogost Borzywoja wziął do kąta i dopiero mu na ucho szepnął, co od księdza doszło, że na króla klątwę rzucić miano, kogo innego na tron pozywać itd.

Starszy choć się namarszczył słuchając, nie wiele to sobie znać ważył, bo wciąż głową, niedowierzając potrząsał. Dał Dobrogostowi wypoznać, że wie wszystko, ale go to nie tknęło.

— Albośmy mu druhami i drużyną — rzekł —

albo najemnikami. Gdy pan tonie najmit siebie ratuje nie jego, druli się rzuca w wodę za nim, choćby sam miał utonąć. Najemnikami chcecie być? — ja nie.

Moja rada, wszystko mu wyznać, nie nie taić, co on każe uczynić. Im większa groza nań, tém na nas sromota cięższa, gdy go opuścimy ze strachu. Toć jak w bitwie! Zajączych skórek byśmy warci byli, gdybyśmy uszli.

— Tyś tu starszy — ozwalają się inni do Borzywoja, ty nad nami stoisz; co rzekniesz, uczynimy. — Rozkazuj, spełnim...

— Rozkazuj! — powtórzyli inni tłumnie — rozkazuj!

— W miejscu stać! to rozkazanie moje — rzekł Borzywój. Pouciekali od niego z Kijowa, jedni ze strachu parobków i czeladzi, drudzy ze strachu biskupa preczby iśćby nieli — a no srom na nas wszystkichby padł.

Nie — nie — ani ja ani wy tego nie zrobicie!! Niech stary Odolaj burezy na nas, dobrze mu zdawało rozkazywać — posłuchać nie możemy. Niechby nas byli na dwór nieoddawali.

A teraz — dodał Borzywój oglądając się dookoła — każdy w swoją drogę, nie mamy się tu co zmawiać ani nad czém stękać. Na rady mamy czas, jestli tu o czém jeszcze radzić? Nie w szyję nie pędzi. I parobek od gospodarza nie odchodzi nocą bez odpowiedzi.

Na tём się skończyło. Zaczęto się w kupki zbierać gwarząc już o czём inném, szczególnie o Jakuszowice i o dziada dopytując, bo choć z niego żartowali, każdego z nich do starego gniazda coś ciągnęło.

Wiązały ich z tym kątem tajemnicze nici co każdą istotę łączą z ziemią, która ją zrodziła i młode wypiastrowała lata. Ci co tam częściej bywali, dowiadawali się o starca, o Tytę, nawet o Hyża i Oko; o izbicę jak teraz wyglądała, stare wały, szopy i wszystkie zakamarki starój rodzinnej siedziby. Ci co zabyli Jakuszowie, przysłuchiwali się tём uważnie, ciekawi jak to tam było, i jak stuletni dziad ślepy rządził się na swém śmieciisku... Żyćby może z nich żaden tam nie potrafił, ale zajrzeć chciało się każdemu.

---

## VI.

Chociaż wszystko dokoła srożyło się nań i wrzało niechęcią ku niemu, król wcale się nie zdawał widzieć tego, ani zważać na to. Życia na włos nie zmieniał, obyczaju się swego powszedniego nie wyrzekł, i naprawdę czy dla oczów ludzkich wesół się zdawał, jakby sobie lekeeważył wszystko.

Nawet po rozmowie z biskupem, która go zrazu we wściekłość wprowadziła, wprędce chmurę spędził z czoła, dworowi kazał się zabawiać luźno, tak, by i na zamku i poza wałami wesele słyszeć było, i żeby wszysej wiedzieli, że około króla troski nie siedzą. Cześnicy i komornicy mieli przykazanie, aby dostarczali dworowi, czeładzi, dróżnicy, gościom, czegokolwiek zapragną.

Czasem mu się usta zcięły i czoło namarszczyło,

gdy sam jeden pozostał, ale sam nie chciał być prawie nigdy, dwornię swą liczną i młodzież gromadząc około siebie. Tym kazał to się bić, to biegać, to konie ujeżdżać, to łuków próbować, i nagrody rozdawał. Gości obcych na zamku i teraz do stołów Bolesławowskich mało się zjawiało, chyba ziemianie z odleglejszych krajów, do których jeszcze o sprawach króla słuchy nie doszły.

Miejsca gości wypełniali ludzie wojenni, a z Rusi też i Węgier dosyć napływało różnego zgiełku, takich zwłaszcza co znając szczodrośliwość królewską, więcej do skarbu niż do niego ciągnęli.

Najwięcej takich bywało, co niby dary mu osobliwe przynosili, konie niebywałej szerści, zwierzęta różne, oręż misterny, za który Bolesław w dziesięcioro zawsze obdarzał, choć mu się to na nie nie zdało. Dla tych przybyszów rano już zastawiano stoły, a wieczorem drugie, które podczas i do późnej się nocy przeciągały, bo król szczególnież owe nocne ucztowania lubił i przy nich najlepszej był myśli.

Dnia tego gdy Dobrogost z Ziemią wrócili, Borzywój przed wieczorem wszedł do izby królewskiej. Zastał pana ze psy swymi się zabawiającego, jakkby mu wcale nie nie ciążyło na myśli.

Że pora była niezwykła, popatrzał nań król, i z twarzy coś wyczytawszy odezwał się:

— Czego ci tam brak? mów, pewnie o co prosić przyszedłeś?



— Miłościwy panie — do nóg mu się składniając odparł Boleszczyc — z łaski waszój mamy dosyć wszystkiego — nie potrzeba mi nic.

— A cóż cię tu przygnało?

— Może jakie rozkazanie mi dacie? — odezwał się Borzywój.

— Żadnego — rzekł król. — Bracia twoi powrócili?

— Wrócili, miłościwy panie.

— Co z sobą przywieźli?

Borzywój się zawahał.

— Kędyż bywali? pewnie i o jaki dwór zaczepili? co mówią?

— /!bo to tam słuchać co prawią ludzie — rzekł Boleszczyc. — Zajeżdżali do starego dziada naszego, to zgryźliwy człek.

Rzucił król okiem bystrém.

— Praw — rzekł krótko — nie trzymaj co masz za pazuchą.

— Nie innego tam nie mówią nad to, co po Krakowie chodzi, miłościwy panie. Ludzie stękają, burczą, nigdy temu co jest nie radzi. Ziemianie skarżą, że łaski u was nie mają; a co ksiądz biskup tu szepcze po cichu, tam się głośno rozlega.

— Wszystko ja to wiem — odezwał się król — i więcój może niż wy. Pewnie już tam biskupia kłatwa i odgrożki poszły między ludzi; i że Czecha na mnie chcą sprowadzić!!

Założył ręce na piersiach i uśmiechał się obojętnie.

— Prawda? — spytał milczącego Borzywoja.

— Tak ci jest — potwierdził przybyły. — Trwoga nas obejmuje, szczególnież od biskupa i kościoła...

— A ja — rzekł król — ani kościoła, ni waszego biskupa się nie boję.

Rozśmiał się pogardliwie.

— Niechże mi otwartą wojnę wypowiedzą, zobaczą, co mogą. Ale po kątach szepeczą, odgrają się, znawiają, a wystąpić nie śmieją, bo wiedzą, że gdy mnie w gniew wprawia, nie będę patrzył kto przeciw mnie stoi!

— Oni już tę wojnę wkrótce zapowiadają — szepnął Borzywój. — Biskup się z kłatwą nosi. A! miłościwy panie — dodał, do nóg się składając — z biskupem jednym gdybyście zgodę chcieli uczynić, reszta nam nie będzie straszna.

Król go z niechęcią odtrącił.

— Co ty rozumiesz, niłokosie! — zawołał. — Patrzcie na mnie czy ja się go lękam. Biskup ten poddanym mi jest jak inni ludzie tej ziemi. Ojciec jego Wielisław ziemianin był tuteczny, ojezycem jest jak wy, a nie Włochem i Francuzem. Choć i Włochy biskupi, gdy na mój ziemi siedzą, słuchać mnie muszą. Wiem, że z pod mój władzy wybićby się chcieli i nademną panować!! Ale — nie! nie dam im tego.

— Koło biskupa i ziemian też dosyć — rzekł Borzywój nieśmiało...

Król rozśmiał się, ramionami rzuciwszy.

— Więcój mam ludu co jest ze mną, niż tych rarogów co przeciw mnie... Żołnierzy i was stanie mi na ich poskromienie.

— Z rycerstwa dużo odpadło — odczwał się Borzywój.

— Znajdą się drudzy na ich miejsce — zawołał król dumnie.

Borzywój zamilkł, a Bolesław, którego oczyszczenia rozmowy rozgorzały, popatrzał nań i śmiejąc się po ramieniu go poklepał.

— Idź i bądź spokojny — króla twojego nie łatwo kto zmoże. Niech komary brzęczą, opędzimy się im, byleśmy chcieli.

Bolesław odwrócił się, na psy swe zaświstał i zabawiając się z niemi, zdał zapominać o rozmowie.

Lecz dzień to był, w którym spoczynku mu nie dawano. Zaledwie Borzywój odszedł, gdy rusin stary podkomorzy królowej wszedł z pokłonem, opowiadając, że królowa matka i królowa pani jego, czołem biły panu, a prosiły go, aby im miłościwie dał widzieć swe oblicze.

Dosyć posępnie wysłuchawszy wezwania tego, król ręką tylko staremu dał znak żeby szedł, nie dając nawet odpowiedzi. Odwrócił się od niego i ze psy zabawiał znowu, aż nierychło przypo-

mniawszy poselstwo matki i żony, z niechęcią jakąś ociągając się ku teremom, które obie królowe zajmowały, pociągnął opieszalym krokiem.

W drugiem oddzieleném podwórceu stara Dobrogniewa, obok żony króla, wiodła życie odosobnione i ciche. W tej części zamku na pierwszy rzut oka poznać było można różnicę dwu dworów i otoczenia, gdyż sami niemal Rusini i ruskianki, służbę obu pań składali.

Dwie królowe, z których jedna była wdową, obie niemal wdowie prowadziły życie. Rzadko się mogąc synem pocieszyć, bo ten się w terenach niewieścich mało ukazywał. Dobrogniewa wnukiem się cieszyła i synową, z którą razem Rnś swą mogła wspominać.

Królowa, żona Bolesława, ani młodą już bardzo nie była, ani piękną. Wzrostu wyniosłego, jasnych włosów, oczy zdawała się mieć jakby wypłakane, twarz jakby zatęsknioną. Smutek wielki wiał z całego jéj oblicza. Chodziła zawsze prawie ubrana jednako, milcząca, w szacie jedwabiem pokrytej, z głową zawiązaną, rąbkami białemi — jakby nieprzytomna, duchem goszcząc gdzieindziej. Całą pociechą, całém jéj życiem był synek jedyny, którego od boku swojego nie opuszczała na chwilę — albo ona, albo stara Dobrogniewa były z nim ciągle, otaczając go troskliwością nieustanną. Dziecię chowało się tak pieściotliwie, osłaniane od wszelkiego wpływu

męzkiego, tak, że mu na ojcowskie zabawy, dwór, biesiady patrzéć prawie nie dopuszczano. Gdy się czasem Bolesław upomniął o Mieszka, stawiała w obronie słabego wychowanek babka Dobrogniewa, padała do nóg panu Wielisławowi, błagając, aby go im jeszcze rok tylko, jeszcze pół roku, jeszcze choć krótko zostawił, bo dziecię słabe było, bojaźliwe i nieśmiałe.

Chłopak téż w istocie w obec ojca szczególniej trwożliwie się stawiał; z twarzy piękny był, blade, tęskny od matki i babki przejętymi smutkami, a na twarzy jakaś przedwczesna dojrzałość roztropna, wczesny skon zdawała się zapowiadać, w cieple macierzyńskich uścisków rozwiniętemu kwiatkowi.

Tu w tych „teremach“ dwóch królowych, ciche tylko słyhać było śpiewy, pobożne pieśni, stare baśnie o dalekich krajach, życie płynęło jednostajnie, spokojnie. Jak u króla huczno zawsze bywało i hałaśliwie, tak tu milcząco a cicho.

Z chmurą na czole pomarszczoném i wejrzeniem wstrętu i odrazy wkroczył król do dworca żony, która, jak go tylko zobaczyła idącego zdaleka w podwórce swojém, wyszła z izby, wiedąc syna za rękę i stanęła w sieni pokornie, aby go powitać. Bolesław szedł milczący, a zbliżywszy się i ujrzawszy ją kłaniającą mu się do nóg, a dziecię cisnącą się po ukłonie do ręki, ledwie okiem

roztargnioném rzucił na oboje i wszedł do świetlicy.

Tu w progu nań z pokłonem oczekiwała matka stara, ku której zbliżył się z poszanowaniem. Dobrogniewa niespokojném obejmowała go wejściem, chciała wyczytać z twarzy jego troski, wywołać słowo, lecz król ledwie ciche pozdrowienie wyszeptał. Stara pytać go inaczej jak oczyma nie śmiała.

Niewieścia pokora nie dopuszczała naówczas nawet matkom, zbytniej z dziećmi poufałości.

Izba, do której wszedł król, a za nim żona i syn, pachniała kwieciami i ziołami rozsypańmi po podłogach, przyozdobiona była bogato, obraz grecki złożony wisiał w rogu jej, z lampą przed nim zawieszoną. W mieszkaniu tém odbijało się życie i obyczaj tej co je zajmowała. Wszystko tu stało w surowym porządku, w miejscu oznaczoném, nie nie zamęcało ładu, jaki spokojowi żywota niemal klasztornego, był potrzebny. Nawet jedwabne kłębuszki na krosnach rzędami poukładane, nie śmiały się na bok odtoczyć. Naczynia, sprzęty, opony, miały postać skromną, posłuszną i zamarłą. Nic potarganego, rzuconego, zapomnianego nie wabiło oka, wszystko było w zgodzie z sobą i jak dla siebie stworzone. Twarz też i postać królowej zdawała się wyrosłą z tego tła ciszy, na którym się malowała, z bladym swojego smutku wyrazem.

W izbie téj tylko modlić się, pracować i tęsknić było można, wesoly śmiech byłby w niéj świętokradzkim, jak w kościele.

Gdy weszli, królowa matka ujęła Mieszka, ucałowała go, szepnęła mu coś i wywiodła go za oponę do bocznej komory. Chłopak posłuszny, choć wejrzeniem bojaźliwém a ciekawém zwracał się ku ojcu, dał się skryć i zniknął. Babka w pewném oddaleniu pozostała jakby na straży, z oka nie spuszczać Bolesława. Oblicze miała strwożone i ręce się jój mimowolnie jak do modlitwy składały.

W chwili, gdy Mieszko wyszedł, królowa Wielisława z trwogą spojrzawszy w oczy panu swemu, upadła mu do nóg — Bolesław jakby zniecierpliwiony cofnął się krok. Ręce białe, wychudłe wyciągnęła ku niemu królowa, usiłując objąć stopy, i podniosłszy głowę, mówiła cicho:

— Miłościwy panie a królu — choć słabą jestem niewiastą, racz mnie posłuchać: Tyś panem mocnym, wszystkowladnym — ja ubogą sługą twoją...

Stara Dobrogniewa słuchała z twarzą zwróconą ku synowi.

— Co chcecie? — przerwał król głosem dosyć ostrym — mówcie...

— Mam was, miłościwy panie, prosić o łaskę wielką — ciągnęła dalej Wielisława, podnosząc się zwolna i stając przed nim w postaci pokornej,

z rękami złożonemi na piersiach. — A! królu, twoga aż tu doszła do cichego teremu! Bojemy się o ciebie! Biskupi i kapłani zagniewani są, rycerstwo odstępuje, pogroźki się rozlegają — strach ogarnia serce nasze; płacze matka twoja, ja łyżę leję, bojemy się o głowę twą i o losy dziecka twojego... Królu z kościołem pokój uczynicie.

W tém przystąpiła stara Dobrogniewa i po ramieniu zlekka głaszcząc syna, złamanym, płaczącym głosem dodała:

— Bolku, panie mój, dziecko moje... Boga bój się — sługi jego szanuj, nie gub duszy i ciała!

Król ramionami dzwignął niccierpliwie i śmiał się, ale dziko i straszno.

— Co wy baśni babskich w terenie słuchacie? — rzekł — czyż nie wiecie, że siłę miałem i mam, że mi żaden nieprzyjaciół nie był straszny i nikogo się nie lękam. Spijcie, módlcie się i śpiewajcie sobie spokojnie, kołyszcie synaczka, zabawiajcie go, a mnie zostawcie troskę o naszą dolę. Popów i ziemian, gdy będzie trzeba, rozumu nauczę...

Stara Dobrogniewa ze strachu plasnęła w ręce i załamała je, spojrzała na obraz Bogarodzicy w kącie, jakby jej opieki na pomoc wzywała, lecz synowi się już sprzeciwiać nie śmiała.

Wielisława okazała się mężniej — czuła, że stawiała w obronie losów dziecka swojego.

— Miłościwy królu! Z biskupem wojna, to



wojna z Bogiem. Ulituj się nad sobą i nami! Gdzie wojska potrzeba i męztwa, tam wy silniejsi nad wszystkich mocarzy, tam wy niezwyciężeni — a przeciw nim...

Dobrogniewa położyła mu znów rękę na ramieniu i szepnęła jedno słowo tylko po rusku:

— Zmiłuj się! zmiłuj!

Król się poruszyć wcale nie dał, usta mu drgały przymuszonym śmiechem, a czoło się falowało.

— Ej, matuszeko kochana — odezwał się naprzód do stariej Dobrogniewy niby wesoło — coby na was dziś przyszły za strachy!! Każcie sobie dziewczkom stare pieśni śpiewać, aby wam serce urosło!

Zwrócił się do Wielisławy:

— Nie trujcie sobie spokoju marnými baśniami, a chowajcie zdrowo syna, aby mi mężniej rósł na wojaka nie na babę. Szyjcie w krosnach złotem, a o mnie się nie troskajcie! Pomnijcie, że jakom żyw, nikt mnie nie zmógł nigdy, a ja zmożem wielu, i boją się mnie wszyscy. Kto się mnie nie lęka dziś, ten się zleknie jutro...

Królowa spojrzała nań oczyma błagającemi, lecz surowy wzrok jego zamknął jej usta. Dobrogniewa też głowę spuściwszy, stała jakby zrozpaczywszy zadumana głęboko.

Król począł się po izbie przechadzać milezący, oczy obu niewiast goniły za nim, ale odezwać się

żadna z nich nie śmiała. Z głową pochyłą, poprawiwszy swoich rąbków, tak, aby jej oczy, a może łyż eo z nich biegły, zakryły — stała Wielisława pokorna jak pierwsza służebnica swego pana; stara Dobrogniewa śmielój nieco spoglądała ku niemu, leez i dla niej był on więcćj królem niż dzieciciem.

Bolesław zbliżył się ku niej z zapytaniem czy nie potrzebowała czego, czy ludzie byli posłuszni, czy posługi nie brakło, czy miała pozdrowienie od swoich? Z ezulością ręce ku niemu wyciągnawszy dziękowała staruszka i poczęła go błogosławić, ale łyż jej przerwały mowę. W tój chwili przez uchyloną nieco zastonę wyjrzał Mieszek, na którego babka skinęła i wbiegł ehłopak, stając przy niej na oczach ojea.

Bolesław spojrział nań, rękę, po którą dziecie sięgnęło, dał do pocałowania i zabrał się do wyjścia. U drzwi żegnała go poklonami królowa i przeprowadzała długo oczyma smutnćmi.

Szybkiem krokiem wybiegł Bolesław z niewieścih teremów, w któryeh mu ieżko było oddychać; leez dzień to był, eo mu nie dawał chwili spokoju. Na drugiém podwóreu, do którego furte pacholę mu otwarło, ujrzał orszak przybyłych, na widok którego zatrzymał się, nie okazując weale, by mu był miłym.

Skromnie odziany dwór otaczał właśnie z konia zsiadającego mężezyznę młodego jeszcze, któ-

rego twarz, acz braterskie z królewską miała podobieństwo, różniła się od niej wyrazem skromności, łagodności i pokory niemal lęklivéj.

Gościem tym był Władysław Herman, młodszy brat Bolesława. Poznał go zdala król i nie mógł się wstrzymać od ruchu, który niecierpliwość i prawie niechęć oznaczał.

Rzadko, bo téż dwu rodzonych braci mniej z charakteru do siebie bywa podobnych. Na twarzy Bolesława malowała się duma szczęśliwego zwycięzcy, na Władysławie potulna dobroć i bojaźliwość. Władysław nad miarę pobożnym był, rycerskiego ducha mało miał w sobie, spokój miłował, ludzi się lękał, a dla brata miał razem i cześć wielką i obawę niezmierną, znając gwałtowny jego charakter. Bolesław brata sobie lekceważył, czasem się z jego trwożliwości i pokory wyśmiewał, i niekoniecznie rad mu był na swym dworze, bo Władysław do jego obyczajów i wrzawy co go otaczała nie umiał, a raczéj nie mógł się zastosować.

Niespodziewane zjawienie się Władysława, którego król nie oczekiwał, zaniepokoiło go i chmurę widoczniejszą jeszcze na twarz ściągnęło. Wiedział, że nie przybywał z próżnym pokłonem, ale pewnie w jakiejś sprawie, a znając jego pobożność i uległość duchowieństwu, przeczuwał już comu przynosił. Wszelki doradca był mu nie miłym, wszelka rada go obrażała i jątrzyła. Gniewny niemal wy-

stąpił naprzeciw gościa. Na widok króla zdala zdjąwszy szлык z głowy, Władysław szedł ku niemu pokornie, jak ku panu a starszemu bratu. Powitali się z sobą w przedsieni, a ze zbliżenia się widać było, iż stosunek eo ich łączył, braterskim weale nie był. Władysław trwożliwie stał przed nim. Bolesław obchodził się z nim po królewsku.

— Rad wam jestem — rzekł król, zmuszając się do weselości — pustki u mnie na dworze, przynajmniej ty i ludzie twoi trochę mi gwaru przyniesiecie. Przybyłeś w dobrą porę, będziemy dobrój myśli zażywać!

Władysław zdziwiony tą weselością, której się nie spodziewał, oczy w niego wlepił ciekawe, niedowierzające. Król tymczasem żywo się zawróciwszy prowadził go za sobą nie do sypialni, ale do komnaty, królewskiej (w której biskupa przyjmował) i tu go na poczęstnym miejscu posadził. Jawnym dlań było, że Władysław o wszystkiem wiedzieć musiał, uląkł się i jechał z prośbami, aby gniewy i niechęci załagodzić. Wolał więc odrazu sam zagać sprawę i nie dać się nad nią bratu rozwodzić.

— Widzisz — rzekł — pusto u mnie! Rozpierzeło się co było tchórzów i zdrajców, których kareić musiałem, a ci na mnie kłechów spuszcili z łanucha, i biskupi ujadają za mną, jak za dzikiem w lesie. Będą łowy nie lada! Rozśmiał się.

— Nie próbowali kłów moich! — dodał.

Władysław milczał, okazując trwogę na twarzy, zmniejszało go to nagłe rozpoczęcie rozmowy. Spojrzał nań król.

— Cóż ty na to? bracie?

— Ja? — spytał cicho Władysław — ja? ty znasz mnie! wołałbym żeby i łowów nie było i kły się nie potrzebowały ostrzec.

— Ty babą byłeś i jesteś — przerwał Bolesław. — Z ludźmi głaszcząc nic się nie robi, chłostać ich trzeba, żeby niemi orać!

Podniósł pięść do góry i oczy mu zaświeciły.

— Panuje się siłą a nie prośbą! — dodał.

— Duchowicństwo! — westchnął Władysław — to gorzej niż wojsko najpotężniejsze... Sam cesarz musi mu ulegać! Inna rzecz z poddanymi. Jesteś królem koronowanym, masz władzę, możesz karać najsurowiej tych, co ci przewinili — ale — duchowni! biskupi! a! bracie mój!

To mówiąc, złożył ręce i zamilkł nagle. Bolesław przystąpił doń, po ramieniu go uderzył, usta mu się wydeły pogardliwie — śmiać się począł.

— Duchowni są moimi poddanymi jak inni — zawołał król. — Dwóch panów na jednej ziemi rządzić nie może, jak dwa wilcy się zajedzą.

Władysław umilkł znowu, złożył ręce, wzdychał. Król powiedziawszy te słowa, czekał, aby się odezwał i stał przed nim z wyzywającą, szyderską twarzą.

— Królu mój a bracie kochany — odezwał się w końcu Władysław — mnie o ciebie niewysłowiona ogarnia trwoga... Wiesz, jaki los spotkał cesarza i jak o przebaczenie błagać musiał, ten sam grozi tobie.

— Przecież ja nie z papieżem, co jest głową chrześcijaństwa mam do czynienia — rzekł Bolesław — ale z jednym kleką, co się tu na tej ziemi urodził i poddanym jest moim jako i drudzy.

— Mylisz się — odparł Władysław łagodnie — księża choćby się rodzili na tej ziemi, nie są poddanymi twoimi, ani ojczykami tutejszymi, są poddanymi papieżowi i Rzymowi. Wprzódki winni posłuszeństwo swemu panu niż tobie. Tkniez ich tylko, naówczas co jest księży po szerokim świecie, wszyscy powstaną przeciw tobie, przeciw nam. W każdym biskupie papież jest, bo z nich każdy od niego ma daną władzę i poselstwo.

Bolesław roztargniony słuchał, nie wiele bacząc na te słowa.

— Mówilem ci — dodał silnie — dwu wilków w jednej kniei się nie godzą, zażreć się muszą! Kto na mojej ziemi mieszka, ten mnie słucha, kto mi się oprze — temu łeb spadnie.

Władysław zadrżał słysząc to i uszy rękami osłonił, jakby się samych uląkł wyrazów.

Król począł chodzić po izbie i mówił jakby sam do siebie.

— Grożę, że mi zamkną drzwi kościoła? Biada

temu co to będzie śmiał uczynić, i do walki mnie wyzywać!—Nigdy ja od bitwy żadnej nie uciekał, ani się uląkł, ani pierzechnął — nie cofnę się i teraz. Biskup zdrajcą jest! — Przeciwnie panu swemu ukoronowanemu zjawia się z Czechami i wykląwszy mnie, na tron ich chce prowadzić — już za to śmierci godzien..

Władysław gwałtowną mową strwożony, przybity, ze spuszczoną głową, jak człowiek przywiedziony do rozpacz, pogrążony siedział, z oczów mu łzy płynęły. Widział że ani on, ani w świecie nikt Bolesława powstrzymać nie potrafi; następstwa tej walki stawiały mu się w myśli z całą swą okropnością. Bolesław spojrzawszy nań, jakby litość miał nad słabym, natychmiast zmienił ton mowy, zaczął się śmiać, i za oba biorąc go ramiona, strząsnął nim z całej siły.

— Niekwap się ze łzami gdy ja się śmieję! — zawołał. Ani ci o tym myśleć, ni o sobie serce psować.. Lich niech porwie wszystkich klechów i zdrajców!

Nie dbam o nich wszystkich, dopóki żelaza kawałek w dłoni mam, i kupkę druhów koło siebie —

Chodźmy wieczerzać i weselić się.

Władysław wstał strwożony.

— Bracie! — Pochał za rękę go chwytając.

— Wszystko już powiedział co ci trzeba było, zagrzmiął król. — Dość tego, chybabyś nie chciał

mówić o jakiej pięknej niewieście, coby od mojej Krysty, i od twojej Hanny piękniejsza jeszcze była.

Zarumieniał się Władysław, a Król dzikim ale hałaśliwym śmiechem się odezwał. Nie można już z nim rozprawiać było.

— Ani mi się waży więcej mówić o tém — dodał Bolesław, ciągnąc blade go i wylękłego do wielkiej izby, w której cały dwór świetny i druzyna, przy zastawionych czekała stołach.

Przepych i obyczaj przypominał dwór Bolesława Chrobrego, którego pamięć czcili jego imiennik. Na cześć przybyłego królewskiego brata, wszyscy urzędnicy poprzywdziewali szaty swe najpiękniejsze, najkosztowniejsze pasy, łańcuchy, szłyki i szuby. — Błyszczały na niektórych zbroje i u boku każdego miecz. Pięknie dobrana młodzież ze śmiejącymi się twarzami, rażna i wesoła, pacholeta w jedwabie strojne, wojacy, czeladź nawet poprzybierana wykwiłtnie, dwór czynili nad wyraz wspaniałym. Ze skarbcza też dobyte naczynia złote zalegały stoły, a dostatek jadła był niezmierzny. Wszystko aż do gromady psów tłustych, z szerścią lśniącą, która też na ucztę czekała, świadczyło o bogactwie i potędze pana.

A że z Rnsią, Grecją, z Węgrami i Niemcami stosunki były mnogie, w strojach i uzbrojeniach widać było obyczaj różnych narodów. Dnia tego nieukazały się weale niewiasty, bo królowa



stara i młoda przychodziła rzadko, a bez nich i inne wstydziły się lub obawiały zasiąść do stołów, gdyż i król i dwór jego, zbyt sobie swobodnie poczynął z niemi. Tych tylko kwiatów brakło do ubrania stołów królewskich.

Władysław usiadł przy bracie, pokorny, strwożony, z oczyma spuszczone, wszystkich biec musiała w oczy ta między dwu rodzonymi braćmi różnica,

Siedzieli przy sobie prawie milezący, rzadko cichym słowem odzywając. Król o psach, sokolach, łowach i o płochych rzeczach zagadywał, śmiejąc się i rozglądając do koła. Władysław mało co w usta wziąwszy, pochmurny, odpowiadał tylko na pytania

Po krótkieui posiedzeniu, nagle król kazał sobie podać misę, wodę i ręczniki, obmył ręce i pozostawiając brata ze swym dworem, wstał. Wyszedł sam na podworce zamkowe.

Mrok już był i cisza panowała wieczorna. — Zobaczywszy że kilku Boleszczyców wyszło za nim, król ich ręką nazad do izby odprawił.

Domyslili się że do Krysty szedł pewnie, i tak było w istocie.

U węgła dworca dwu ludzi czekało na jego skinienie — król im dał znak a sam krokiem dowolnym skierował się do dworca Krystyny.

Gdy król nadehodził, siedziała jeszcze pani z Bużenina w oknie otwartém, kwiatek trzymając

w rękę, smutna i zapłakana. Postrzegłszy go krzyknęła jak przebudzona i do drzwi przeciw niemu biegła.

Bolesław wszedł, tak chmurny jak u stołu siedział, podbiegając ku sobie pochwycił w pół, do góry uniósł w silnych dłoniach, pocałował w schyloną ku sobie głowę, i miejsce wskazał na ławie przy sobie.

Nie była to zwykła ława na której siadali, u drzwi komory. Krysta tam gdzie było miększe i szersze siedzenie prowadzić go chciała, ale się jęj oparł, obrał dziś miejsce naprzeciw wnijścia do komory; musiała być posłuszną.

— Cóż z tobą królowo moja? zapytał.

— Co z panem: królem moim?

— O! Pan, gniewa się i sroży.. Miecz mu w pochwach rdzewieje — bić się czas! Dłoń drewnieje, męztwo słabnie.. Wojny trzeba.

— A! a! wojny! westchnęła trwożliwie tuląc się Krysta.

— Bez wojny życia niema! mówił król. — Myśmy wojacy, jak się nie bijem to gnijem.

To mówiąc i szelest słaby usłyszawszy w komorze sąsiedniej, której drzwi uchyliły się nieznacznie — objął Krystę w pół, a białe jęj ręce na szyi króla zawisły. Głowę położyła na jego ramieniu i pięknym, śpiewnym głosikiem poczęła.

— Pan mój wdycha tylko do wojny — co my wówczas bez niego pocniemy! Chyba z kró-

lem iść na wojnę. Na wojnie pan nowe sobie kochanki zdobędzie, a o starych zapomni.

— Ej! wy jeszcze prędjéj o nas — byleśmy za wrotami byli — począł król. Kto was zna i wie? Albo bym ja ręczył że wy teraz jeszcze nie dumacie o swoim Mścisławie.

— A! królu, panie! krzyknęła Krysta głośno — ja, o nim! toć mnie za niego siłą mocą wydali! a czém on dla mnie był, chyba strachem! Jak go wspomnę jeszcze po mnie dreszcz przechodzi.

— A ludzie wciąż donoszą i gadają, że Krysta za mężem płacze.

— Ja? za nim! bodaj tak świat widzieli! zawołała Krysta — i płunęła gniewnie na podłogę. —

Niewidziała że przed chwilą z cicha się drzwi komory otwarły, a w nich przez dwóch parobków silnych trzymany i powrozami związany, stał mąż jój, Mścisław wszystko widział, słuchał wszystkiego.

Tak król chciał.

Biedny człek odziany był jeszcze w tę samą prostą sukmanę, w jakiej go wzięto, w brudnej ciemnicy zwałą się ona i zszarzała.

Włosy miał słomy z barłogu pełne, twarz czarną i osmołoną, oczy w niej tylko świeciły straszne.. Słuchał wyroku na siebie nie wydawszy jęku.

Krysta spostrzegłszy go teraz dopiéro, domyśliła się, poznała, i przerażona, z krzykiem rzu-

ciła się do króla, obejmując go, jakby u niego szukała opieki.

Bolesław śmiał się z wyrządzonej psoty..

— Patrzże! — krzyknął do Mścislawa — nie masz się po co niewiernej żony dobijać. Słyszałeś co mówiła! Kazałem cię tu przywleć abyś sam patrzył i słyszał.

Idźże teraz precz, w świat, z moich oczów, a nie muś mnie bym się krwią twoją mazał. Ślepie ci nawet zostawiam, abyś powodyra nie potrzebował.

Mścislaw stał jak osłupiały — kilka razy się targnął, jakby ludziom trzymającym go, wyrwać się starał, ale silni pacholcowie z miejsca mu się ruszyć nie dali.

Krysta pobiegła skryć się do kąta. Zakryła oczy i drżąc płakała ze strachu.

Wolnym krokiem król oczyma go mierząc zagniżowanemi zbliżył się do więźnia.

— Idź na skръcenie karku — rzekł — idź a nie pokazuj mi się na oczy. Idź! — Wiesz że tu powracać nie masz po co. Życieś mi winien, mogłem ci je wziąć, niktby za tobą nie rzekł słowa. — Daruję ci je, bo robaków nie duszę..

Precz!

Skinął na pacholków.

— Za bramę go wywieść i wyrzucić! — Krzyknął. — Stróżom go dobrze pokazać, niech mu

w ślepią zają, jeżeli się do zamku na staję zbliżyć ośmieli, niech go jak psa zabiją.

Odwrócił się król. Pachółkowie już go ciągnęli za drzwi, wlekli przez sień, na podwórze. Gniewem boleścią, więzieniem i głodem osłabły Mściśław, choć mu usta drżały, słowa wymówić nie mógł, nie miał siły się opierać. — Niewierność Krysty były dlań ciosem śmiertelnym, sam widział, słyszał z ust jej czem był dla niej — widział, słyszał i uwierzyć nie mógł, nie chciał. —

Zaledwie był w dziedzińcu, gdy szła ten co go do płochój niewiasty wiązał, już kłam zadał oczom i uszom. Mściśław mówił sobie iż Krysta umyślnie miłość oświadczała królowi, aby jemu ocalić życie!

Trudno, niepodobna mu się jej wyrzec było. Myśl ta wróciła mu siły..

Nie szcędząc razów i popychania pachółkowie najgrawając się ciągnęli go ku wrótom. Pokrzykiwali, śmieli się, pokazywali go przechodzącym, powtarzali groźby pana, dodając do nich bezkarne, bo Mściśław związane miał ręce, knęłaki i kije.

Tłum zbierał się około niego, gromadą wiedli go tak aż do wrót, gdzie wstrzymali się u straży, aby dłużej znęcać się nad pastwą swoją.

Mściśław stał jak martwy, jakby nie czuł nie i nie słyszał — zdretniał był na wszystko. Krysta jeszcze stała mu w oczach i król ten bezlito-

sny, dziki, któremu, choć mu życie był winien, zemstę poprzysięgał. — Nierychło, gdy bezwładnym człekiem, co niedawał nawet znaku gniewu ni bólu, gawiedź się dość nabawiła, nie rozwiązując mu rąk pchnięto go precz za wrota na drogę.

Mściśław puszczonego padł zrazu, nie mając siły ni woli ruszyć się z miejsca. Ciemna noc już była, zdala od zamku dochodziły jeszcze śpiewy i odgłosy uczcujących, gdy Mściśław wręście podniósł się z ziemi, zachwiał i z trudnością wlec się zaczął ku przedmieściu. Związane ręce, w które się sznury wjadły, sprawiały mu boleść i ruch utrudniały, więzienne leżenie nogi pokurczyło, wilgoć i powietrze zgniłe osłabiły. Niepознаwał sam siebie. Pijany był bolem i gorączką. — Przed oczyma jego przesuwiał się jeszcze król i Krysta — i straszne ciemności więzienia, w którym był zamknięty jak w grobie.

Na drodze zamkowej pusto było, na przedmieściach też światła już pogasły i ludzie się po chatach pochowali. Szczekanie psów tylko słychać było zdala, i wycie. Zataczając się, opierając o płoty, wypoczywając zszedł Mściśław aż do stóp góry. Dokąd dalej iść miał sam nie wiedział, nie wiedział nawet czy było po co do Bużenina powracać, bo i tam królewscy ludzie już może gospodarowali.

Sam niewiedząc jak, bezmyślnie, dowlókł się aż do domku u kościółka na Skalce, w którym

biskup, królewskiego sąsiedztwa unikając, przebywał. — Świcciło tu w jedném oknie przez szpary okiennicy, do koła panowała cisza.

Do progu się dowlókszy, legł na nim Mściśław, ale padając o drzwi uderzył, które zadrżały i jęknęły. Kroki pospieszne dały się słyszeć ze wnętrza; drzwi odryglowywano.

Młody człowiek w sukni kłeryka, ukazał się w nich ze światłem w ręku, i począł przypatrywać leżącemu, którego wziął za upojonego włóczęgę. Dopiero ręce związane sznurem ujrzawszy, krzyknął, ukląkł przy nim, i widząc osłabłego, więzy jego co prędzej rozplątywać zaczął.

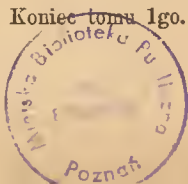
Mściśław miał zaledwie siłę wymówić — Biskup! — i nazwisko swe, gdy padł omdlały, głową o twarde progu kamienie.

Zbiegła się natychmiast cała służba biskupia, a że nazwisko z ust do ust chodziło, a znaném było wszystkim, wzięto go, podniesiono, oznajmiono o nim biskupowi, który nie spał jeszcze.

Znalazł się kubek wody co go orzeźwił, i Mściśław odzyskawszy przytomność, z pomocą ludzi mógł wniknąć do izby, na której progu stojący oczekiwał nań ręce wyciągając ku nieszczęśliwemu, gospodarz.

— Chodź, dziccie moje, niech cię przytulę i orzeźwię — Bogu niech będzie chwała, iż z życiem uszedłeś!!

Koniec tomu 1go.







BOLESZCZYCE.



**J. I. KRASZEWSKI.**

**POWIEŚCI HISTORYCZNE.**

**V.**

---

**BOLESZCZYCE.**

Powieść

z czasów Bolesława Szczodrego.

**T o m II.**

---

**KRAKÓW.**

**Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.**

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki



Izba do której biskup wprowadził Mścislawa, była niewielką komorą, tak ubogą i skromną jak całe domostwo, które Stanisław ze Szczepanowa zajmował. Ściany jej tylko dźwigały skarby wielkie, zajmowały je pułki prawie całe zapełnione ogromnemi księgami w drewnianych okładzinach z mosiężnemi i kościanemi ozdobami. Leżały one, stały, pojedynczo i jedne na drugich, ciągle snąć chwywane i odkładane; niektórych z nich niezapięte klamry świadczyły, iż tylko co używane były.

Tę nieocenioną naówczas zdobycz biskup przywiózł z sobą, na polską ziemię, po siedmioletnim pobycie w Paryżu. Pierwszy to był po Benedyktynskich zbiór tak obfity, a cała pono ojcowizna

biskupa poszła na jego zakupienie, bo rękopisma płaciły się na wagę złota.

W pośrodku izdebki, stał stół z pulpitem do czytania i pisania, z podwyższoném siedzeniem, i wszystkim przyborem do pisania ówczesnym, trzciniami, inkaustem, pargaminami. Tu leżała w woreczku jedwabnym pieczęć biskupia owalna, sznury i воск na którym ją wyciskano. Przy nich paliła się lampka włoska, z knotem zanurzonym w tłustości, która przyświecała biskupowi do czytania rozłożonej na pulpicie księgi.

Przerwało je zjawienie się Mścislawa i wrzawa... Biskup patrzył nań i ręce załamał z bóleści.

Wyglądał strasznie więzień Bolesławowski i liłość obudzał. Zbrukana twarz, rozczochrane włosy, wzrok oszalały, spalone usta, drżące a okrwawione od powrozów ręce, odzież podarta i zwalana, z pod której piersi obnażone i wychudłe widać było, nogi bez obuwia. Cała postać wynędzniała osłabionego niewolą i męczarnią człowieka, ledwie w nim dozwalały poznać owego Mścislawa, którego biskup znał dawniej pełnym życia, wesołym, ochoczym i zawsze dostatnio a pańsko występującym ziemianinem.—I majątności i rycerskie sprawy stawiały go niegdyś na czele — dziś spadł na ostatni szczebel nędzy i bóleści.

Wiedział biskup o jego uwięzieniu, znajdując go wolnym, ale z rękami skrępowanemi, posadził

iż się cudownym jakim sposobem z królewskiej dobył ciemnicy.

— Bóg niech będzie pochwalon! — rzekł, lecz jakżeś i przez kogo wolność odzyskał?

Mściśław jeszcze odpowiedzieć nie mógł, dłońmi twarz okrył i czoło, wzdychał ciężko, głosu mu z piersi uciśniętej trudno dobyć było.

Jęczał długo i rzucał się nim mu się odemknęły usta.

— On! on! — zawołał, paścić mnie kazał żywego, ubiwszy wprzód na wszystkiém... Mordował mnie niżeli precz wyrzucił. Sprowadził z więzienia abym patrzył na to, jak go Krysta miłowała... mnie się wypierała na wieki.

Ale nie może to być — wybuchnął gwałtowniej Mściśław. Nie! — Krysta mi życie chcąc ocalić kłamała umyślnie — kłamała. Nie — nie — siłą ją tylko trzyma, musi czynić co każe — a niewierną po swój woli nie jest — nie! — nie! —

Biskup z uśmiechem niewymownej litości, smutnie spojrział na niego, nie chcąc przeczyć temu, co dlań było pociechą jedyną.

— Dziecko moje nieszczęśliwe — rzekł: idź a spocznij, pomódl się by cię Bóg pocieszył i ja za ciebie modlić się będę; — pomódl się aby ci Bóg natchnienie zesłał co masz czynić!

— Co? — zawołał uderzając pięścią o ławę Mściśław z gwałtownością na którą resztę sił do był z siebie. Co? — mścić się!

Mścić na nim! — spoczną bylebym sił nabrał; potem jak stoję pojadę między ród mój i ziemian, od dworu do dworu, pokazując im co ze mnie łaska pańska uczyniła! — Niech znają i niech wiedzą co ich czeka... Mnie dziś, jutro im! — Mścić się! — powtórzył jeszcze raz i osłabły pochylił się na ławę, bo wybuch ten ostatek siły wyczerpał.

— Ukoj się, dziecko moje, rzekł biskup biorąc go za głowę — ukoj się. Nie ty, a sam Bóg się pomści za krzywdę twoją.

Idź teraz i spoczywaj.

„Oczy twe ujrzą pomstę nad grzesznymi.“

To mówiąc biskup, którego ręce Mściśław całował, przeżegnał go, jeszcze raz dłoń mu na rozpalonej położył głowie, i przywiodłszy do chwilowego uspokojenia, oddał klerykowi, aby go na spoczynek odprowadził.

Od kilku już tygodni biskup umyślnie unikał od swojego katedralnego kościoła św. Wacława na zamku, mszy nawet świętej nie odprawując w nim, aby w podwórzu jadąc albo wracając z królem się nie spotykać i nie wywołać zajścia jakiego.

Nie obawa o siebie, ale chęć dania jeszcze królowi czasu do namysłu i ukorzenia się, powodowała biskupem. Mszę swą ranną odprawiał albo w domowej kaplicy lub w małym tym kościółku



św. Michała na Skalce, przy którym czasowo przebywał.

Dnia następnego jednak wypadła potrzeba znajdowania się w zamkowym kościele, a biskup spodziewał się uniknąć z królem spotkania, ufając w to, że Władysław, którego z pobożności znał i pokory, u boku króla się znajdował.

Zrana więc, wysławszy naprzód kleryka, aby rozpatrzył co się na zamku działo, przygotował się biskup ze mszą do św. Wacława.

Gdy spytał o wczorajszego nocnego gościa swojego, powiedziano mu, że już go nie było. Zerwał się on do dnia i uszedł nieopowiadając co poczynnie z sobą.

Ranek był piękny i pogodny, około zamku ludu gwarnego mnogo się już kręciło.

Od wrót zamkowych, w odległości niewielkiej, stał szczupły jeszcze naówczas, z ciosowego kamienia, z kryptą pod nim, kościółek na pozór skromny, ale wewnątrz przyozdobiony bogato. Poprzednicy biskupa i on sam o zaopatrzenie go i zasoby dłań się starali.

W pomoc do postąg duchownych, przychodzili ks. Stanisławowi ze Szczepanowa, Benedyktyni z Tyńca i nie wielka liczba duchownych, których on sam kształcić się starał.

Chociaż Bolesław rzadko zaglądał do kościoła swego, biskup z obawy, aby swawolni ludzie jego z których wielu na pół pogan było, nie zakłócili

nabożeństwa, natychmiast, do kościoła wszedłszy, drzwi główne zamknąć i zaryglować przykazał... Sam udał się do zakrystyi i po krótkiej modlitwie, ubrany jak do świętej ofiary, wyszedł przed ołtarz główny.

Cisza panowała w niewielkiej świątyni, w której tylko kilku duchownych i kleryków i kilku ludzi z miasta się znajdowało.

Msza zaledwie dochodziła do ofiarowania, gdy hałas się dał słyszeć przed kościołem, wrzawa i śmiechy.

Trwało to czas jakiś, nagle uderzono we drzwi kościelne. Te, ponieważ z rozkazu biskupa zamknięte były, nikt się ich otwierać nie ośmiał — szła dalej ofiara święta nie przerwanie.

W tém bić zaczęto we drzwi, coraz gwałtowniej, aż się okna zatrzęsły — strach ogarnął duchownych.

Dobijanie się to zuchwałe niemogło być dziełem samowolném prostych ludzi, którzyby się nie ważyli w śród białego dnia takiej zniewagi uczynić kościelowi, szturmując doń jak do gospody. Po za temi co tłukli tak gwałtownie we wrota, można się było domyślać króla chyba, i jego rozkazów.

Biskup, gdyby był nawet chciał, wśród ofiary przerywać jej, i żadnego rozkazu dać nie mógł, choćby mu największe groziło niebezpieczeństwo. Surowy w zachowywaniu wszystkiego co do ko-

ścielnych należało obrzędów, duchem ulatywał wyżej nad to co go otaczało. Nie ruszył się więc on i nikt drgnąć nie śmiał, a dobijanie się coraz gwałtowniejsze trwało ciągle.

Znużeni biciem spoczywali mało, i wracali z wściekłością podwojoną.

W końcu po chwili takiej odpoczynku, która zdawała się opamiętaniem, gdy sądzono, że napastnicy się oddalili, usłyszeli księcia z przerażeniem iż drągami podwalano i siekierami łupano, wyważano drzwi kościelne.

Biskup miał właśnie poświęconą Hostję podnieść gdy pękły wrzeczadze, połowa wrót kościelnych z ogromnym hukiem padła na ziemię — i tłum z hałasem do kościoła się w toczył.

Na czele jego szedł sam król, z ręką na mieczu, w postawie zwycięzcy, za nim bledzi postępowali posłuszni jego Boleszczyce i dwornia pańska.

Wtargnąwszy tak do kościoła gwałtem, jakby szturmem wziętego, posunęli się całą gromadą naprzód, i przybliżywszy niemal pod sam ołtarz, przy którym biskup mszę świętą odprawiał — stanęli króla otaczając kołem szerokiem.

Bolesław wyzywająco zajął miejsce naprzeciw biskupa samego i — stał spoglądając dumnie.

Gdy obrzęd zmuszał celebrującego odwracać się do ludu i ukazać mu oblicze, mógł król dostrzedz, iż na niem śladu ani strachu, ani nawet

pomięszania nie było. Błada, poważna, surowa, rozżalona twarz biskupa, w porównaniu do gniewnej królewskiej, więcej znamionowała siły i wiary w siebie, niż rozplomieniona, namiętna, niespokojna Bolesława. Mniemane to zwycięztwo i w darcie się do kościoła było raczej słabości niż mężstwa dowodem; nikt nie pierzchnął przed nim, nikt w obec Pana nad Pany na ziemskiego mocarza nie wejrzał nawet.

Napróżno Bolesław brzękiem miecza i chrzęstem zbroi dawał znać o sobie, księża się modlili z pospuszczanemi głowami, nie spoglądając nań. Biskup kończył mszę świętą powolnie, jakby mu nie modlitwy jego zamącić i przerwać nie było w stanie.

Buta królewska ustąpić musiała przed namaszczeniem kapłana; dwornia pańska co wpadła do świątyni z wrzawą, teraz coraz bardziej traciła nęztwo i stawiała się bojaźliwszą.

Dnia tego nie miał woli ani zamiaru biskup rzucić klątwy na króla — czekał, pragnąc aby wpływ Hermana, prośby dwóch królowych, przywiodły go do opamiętania. Zniósł więc tę napaść cierpliwie. Bolesław dotrwał do końca mszy, lecz i on doznał tego co jego dworzanie; spokój jaki tu zasiał, odbił się w nim nieopisaną jakąś trwożą i niepewnością. Spojrzawszy kilkakroć na biskupa, który unikał spotkania ze wzrokiem króla.

Bolesław dał znak swoim i z hałasem a brzękiem zabrał się do odwrotu.

Rycerstwo co wpadło wojować z jednym bezbronnym człowiekiem, wyszło mężstwem jego pokonane.

Dopiero za progiem Bolesław odzyskał swą śmiałość, odwrócił się ku stojącemu jeszcze przy ołtarzu biskupowi, pięścią mu pogroził z dala, i do samych drzwi kościelnych klacz swą ulubioną kazawszy doprowadzić, siadł na nią, ruszając na łowy.

Nikogo już nie było, oprócz tych co od początku mszy słuchali, gdy biskup przeżegnał lud, odczytał ewangelję i zwolna odszedł nazad do zakrystyi.

Wszyscy co go otaczali stali wylękli, on sam jeden wcale się pomieszany nie zdawał; ukląkł do modlitwy i dopiero wstawszy od niej, z chłodną krwią wydał rozkaz, aby wrota kościelne natychmiast, przed wieczorem jeszcze osadzono na nowo.

Było to zuchwałe ze strony króla wyzwanie. Niechcąc się narażać na gorszące napaści podobne, pomyślał biskup, iż mu przyjdzie ulubiony swój kościół katedralny na długo opuścić i pożegnać.

Z tém uczuciem żalości, raz jeszcze poszedł do wielkiego ołtarza, aby tu się pomodlić i na długo może pożegnać z oblubienicą swoją. — Dla ludu złym był widok nieposzanowania miejsca

świętego i spełnianych w nim gwałtów — należało obronić świętość od skazy, a chrześcian od zgorszenia.

Pomodliwszy się szedł biskup ku drzwiom wyłamanym, stojąc popatrzał na nie chwilę i, nieunikając już spotkania, zwykłą drogą, w towarzystwie duchownych na Skalkę się udał.

Przed kościołem gawiedź tylko gromadziła się ciekawa, która śledziła w twarzy biskupa czy ułakł się groźby, ale nie wyczytała z niej nic więcej nad ten sam spokój i powagę, jakie ją zawsze oblekały.

Rozstapili mu się wszyscy idącemu, mimowoli kilku czapki podniosło a głowy zniżyło, ubogi tłum cisnął się do ręki i błogosławieństwa.— Z orszaku królewskiego nie było już tu nikogo.

Bolesław na błonia pociągnął ze psy i sokoly. Władysław pod tę porę był u matki.

Biskup bez przeszkody żadnej dojść mógł do domku na Skalcę, lecz zaledwie się tu znalazł i wszedł do komory, w której większą część dnia na czytaniu ksiąg przepędzał, gdy znać dano, że Władysław przybył i posłuchania się doprasza.

Z całego rodu, jeśli nie najmilszym, to najmniej wstrętliwym był biskupowi Władysław i Światawa.

Książę ten cichy, skromny, pobożny, choć w młodszym wieku dość swobodne wiódł życie, nie stosując się do przepisów Kościoła, a naśladować

dziadów swoich,— szanował duchowieństwo, okazywał mu zawsze pokorne oblicze, dawał się strofować i starał złe naprawić. Przebaczano mu więc nieślubny związek w którym dotąd zostawał — i biskup nie miał doń zbytniego wstrętu. Władysław stawiał się przed nim z większą może niż kiedy uniżonością, jakby go za przewinienie braterskie chciał przebłagać. Biskup przyjął go chłodno, z obliczem surowém i poważnem, a niemal dumném.

Weszli tak razem do skromnego mieszkania biskupiego. Władysław patrzył zrazu i badał twarz gospodarza nim się odezwać ośmielił.

— Wielebny ojcze — rzekł w końcu głosem drżącym — zasłyszałem coś — jestem trwogą przejęty. Spór jakiś pono wynikł między królem a przewielebnością waszą?

— Spór? — powtórzył biskup marszcząc się. Mylisz się książe, nie spór to już jest, ale wojna otwarta. Król ją sam kościolowi wypowiedział, posłusznym mu być nie chce. Ja walkę zmuszony jestem przyjąć, bo sobą kościół przedstawiam, a kto mnie dotyka, na kościół się porywa.

Do wszystkich zniewag jakie znosiłem cierpliwie, przybywa jeszcze dzisiejsza, publiczna. Wyłamano drzwi kościelne, znieważono świątynię. — Miara pełna po brzegi — Król chciał i mieć będzie cały Kościół katolicki nieprzyjacielem.

Władysław przypadł do ręki biskupa, który mu ją zlekka usunął.

— Miłościwy ojcze, odezwał się żywo. Znać króla! — gwałtowny jest i niepomiarkowany, dajcie mu ochłonąć, upamiętać się. — On nawykł do rozkazywania, nieznia w niem miary — lecz serce ma dobre!

Jestem pewny iż nległby, gdyby nie lękał się że poddanym rozkazywać nie potrafi, sam będąc zmuszony drugim nlegać.

Oszczędźcie mu upokorzenia....

— Co się stało w oczach ludzi, odwołaném ani zmienioném być nie może — odezwał się biskup chłodno. Kościół musi bronić praw swych i karcieć nieposłusznych.

Król Bolesław sam swoim postępkami popadł pod *Anathema* kościelne. Nie ja, nie kościół, sam on się wyklął i wyłączył ze społeczności. Moim ustom dostanie się tylko spełnienie obowiązku i wyrzeczenie tego co się już dokonało...

Władysław zbladł, zadrżał, rzucił się do kolan biskupa.

— Ojcze, zawołał — miejcie nad nim i nad nami miłosierdzie!

Stanisław ze Szczepanowa cofnął się unikając zbliżenia.

— On sam, on, on niemał nad sobą i wami miłosierdzia, zawołał gwałtownie — proście jego aby pokutę czynił!



Odepchnięty niemal Herman podniósł się, spojrzął na nieugiętego biskupa, i krew piastowska w nim zakipiała, gdyż wyprostował się i przybrał niemal groźną twarz.

— Jako duchowny, wy, przewielebny ojcze, wiecie lepiej co czynić macie, rzekł głosem nieco podniesionym; ja jako chrześcianin a brat króla, odważę się tylko przypomnieć, że ani kościołowi, ani wam, ani ziemi téj, ani duchowieństwu nie wyjdzie na dobre zatarg i wojna. Król wyzwany, gwałtownym jest i niepomiarkowanym będzie.

— Kościół się nieczyich gniewów ani gwałtowności nie lęka! — przerwał biskup. Od opoki téj odbijają się ciosy i padną na tych co świętokradzką na nią rękę podnieśli.

— Nie ma więc ratunku! — zawołał Władysław.

— Jest, rzekł biskup—jeden jest tylko; niech się król ukorzy. Niech przyjdzie pieszko z pokorą stanąć publicznie jako winowajca u tych samych drzwi, które czasu ofiary świętej łamać kazał, niech czyni pokutę, a łzym nad nim miłosierdzie mieć będzie.

Władysław nie odpowiedział; lepiej niż kto inny znał to że niepodobieństwem było króla skłonić do podobnego kroku.

Biskup dodał po chwili.

— Jak skoro klątwa wyrzeczona zostanie, a raczej nim ona będzie rzuconą, jedźcie ztąd.

książe, oddalcie się, uciekajcie! — Wszelkie na-  
ówezas współmiętwo z królem i na waszą głowę  
kłątwę sprowadzi, i na wszystkich co z nim zo-  
staną.

Stanał biskup opodał nieco od księcia, jakby  
chciał go pożegnać i odprawić. Władysław strzy-  
mywał się jeszcze, waleząc z trwogą i chęcią nie-  
możliwego pośrednictwa. Spojrzawszy na stoją-  
cego zdala i w powadze wielkiej biskupa, prze-  
konał się iż próżnoby go poruszyć się starał. —  
Coraz groźniejszy stawał się wyraz twarzy i po-  
stawa.

— Nicodwołany więc wyrok wasz? — szepnął  
cicho.

— Com rzekł to się stanie — odparł biskup,  
bo nie ja rzekłem, ale Kościół przez usta moje.  
Idź książe na Wawel, popatrz na złamane drzwi  
kościół, i módl się aby Bóg na całym rodzie, krwi  
i pokoleniach następnych, nie mścił się zniewagi  
domu swojego.

Władysław pochylił głowę i nie próbując się  
już zbliżyć do zdala stojącego biskupa, wolnym  
krokiem wyszedł z izby.

Król z kościół wprost na łowy jechał, a ota-  
czający go dwór, dla przypodobania się panno, co-  
raz to prześmiewając się przypominał owo łama-  
nie drzwi kościelnych, odniesione nad biskupem  
zwycięstwo, i bojaźń mniemaną, jaką niby na  
twarzach duchownych wyczytał. Drudzy śnielsi

odgrażali się głośno na samego biskupa, inni rzucali nań potwarze, wymyślając plotki niedorzeczne.

Nicrozumna gawiedź ta niewidziała pewnie iż Bolesław brwi marsząc szyderstw tych słuchał; nieodpowiadał słówkiem na nie, nie zdawał wcale zabawiać nicni, owszém jątrzyło go widocznie samo wspomnienie o biskupie.

Płoch młodzież widziała w tém zwycięstwo, on czuł i rozumiał że to był walki początek.

Tegoż dnia wśród łowów, z pogodnego nieba nagle się zerwała burza, z wichrem, gromami, błyskawicą i gradem, a gdy gromadka Boleszczyków, schroniła się pod dąb na skraj lasu, padł ogień z niebios na drzewo, i w oczach wszystkich zdruzgotał je i zapalił.

Łowy téż wcale się nie wiodły, ptaki z bereł podnosić się nie chciały, psy jakby węch straciwszy, chodziły błędne, zwierz bezkarnie uciekał im z pod stóp prawie.

Borzywój, który żarty stroił zrazu, ucichł nagle, a Dobrogost rzekł pochylając mu się do ucha.

— Król dziś straszno patrzy — nie wspominaście mu biskupa, wie pewnie co ludzie gadają.

— A cóż gadają ludzie?

— Że dziś króla kłąć mają w kościele.

— I co z tego! — spytał Borzywój — mało kto kogo klnie!

— O! — o! — odparł Dobrogost, straszne rze-

czy prawią o takim kłęczin w kościele... Mówią że człowiek wyklęty zwierzem się staje, przemienia w wilkołaka, i musi w lasy precz uchodzić od ludzi, gdzie go śmierć czeka...

Borzywój niedowierzająco ruszył ramionami, ale na twarzach obu widać było trwogę, którą się ntaić starali...

— Kto z nim będzie przestawał, tego takż los czeka — rzekł Dobrogost.

— Nie prawilbyś tego — przerwał drugi.

Gdy się to działo pod Krakowem, na Skałce u biskupa, gości było więcj niż zwykle. Zebrane zewsząd duchowieństwo otaczało i zalegało dworek biskupi. Na twarzach wszystkich niepokój widać było i przerażenie, inni nie kryjąc się łyzi leli i ręce załamywali. Biskup chodził blady i miłczący, lecz niezachwiany tém, że otaczający go bojażń wielką okazywali i strapienie. Kilku starszych kapłanów z pokorą usiłowało doń przemówić, aby go skłonić do łagodności, lecz biskup przerywał im mowę i zwracał ją zaraz na przedmiot inny.

Zajmował się pilno przygotowaniem do tego, po co duchowieństwo ku sobie przywołał.

Księgi otwarte leżały na stołach... ciekawi zaglądali do nich i cofali się przerażeni.

Wieczór się zbliżał gdy wszyscy weszli w ponurém milczeniu do małego kościółka na Skałkę. Ołtarz już, jakby do nieszpornego przygotowany

nabożeństwa, płonął światłami, dzwon jakby na modlitwę zwołując lud, odzywał się powoli. W kościółku mroczno było i smutno, jakby się w niem pogrzeb niał odbywać. Za biskupem, posłuszne duchowieństwo weszło do zakrystyi i w milczeniu przyodziewać zaczęło uroczyste szaty i kapy. Biskup wziął mitrę na głowę i pasterską swą laskę w rękę....

Dzwon ciągle odzywał się żałośnie, a ludzie, o niezwyklej powszedniego dnia godzinie zwołani nim, ciekawie, niespokojnie cisnęli się do kruchy i kościoła.

Tu cisza panowała; świergot wróbli i jaskółek słychać tylko było u okien, a zbłąkany, ostatni promień słoneczny, otworami jakimś u góry dostawszy się do wnętrza, złotym pasem jakby na pół świątynię przecinał.

Przy drzwiach gromadziła się coraz większa ciżba ludu, cicho sobie rozmaite domysły podając do uszu — gdy szelest się dał słyszeć od zakrystyi, dwoje pacholąt weszło poprzedzając biskupa, przed którym krzyż i księgę niesiono.

Stanisław ze Szczepanowa szedł blady, modląc się po cichu, uroczystą obleczony powagą.

Za nim długim szeregiem postępowali kapłani po dwu idąc, w kapach, ze świecami w rękę, z głowy pospuszczanemi ku ziemi; szli, nie patrząc na lud, jakby pogrążeni w smutku czy modlitwie, szli aż przed ołtarz, ustawili się zwolna

po szczęściu z każdej strony, przy pastérzu swym, który zajął miejsce na stopniach wielkiego ołtarza.

W téj chwili, niewidzialny wcisnął się, samotór do zamku powracający, jakimś przeczuciem wiedziony, na głos dzwonu żalobny— mężczyzna, obwinięty opończą ciemną, a kilku ludzi, co go na zamku widzieli, pozuawali w nim brata królewskiego Władysława i rękami go sobie ukazywać zaczęli.

Ustępowano mu z drogi, lecz książę się cofnął, i szukał sobie niespokojnie miejsca w kruchej, w którémby mógł pozostać nie postrzeżony. Trwożyło go widocznie iż był poznanym, osłaniał twarz, szukał ciemnego kąta, i towarzyszącemu kazał się zakrywać od ciekawych oczu napaści.—Dzwon bił ciągle zwolna, w jedną stronę, żalobną jakąś nutą przerywaną jak łkanie człowieka.

Uciszył się szmér tłumu, biskup laską potrzykroć uderzył o stopnie ołtarza, i księgę otwartą czytać się z niej zdal cichą modlitwę, zwrócił się potem ku ołtarzowi i zamcił posępnym głosem grobowym psalm.— *Deus laudem meam...* Duchowieństwo razem z nim go śpiewało, a śpiew był dziwny i przejmujący. Też słowa, pieśń taż sama całe inaczej brzmiały w inszej porze, teraz w śpiewie czuć było ból, wahanie się, lament duszy i trwogę... Niektórzy z duchownych ocierali oczy, głosu im brakło...

Dzwon bił jak za umarłych żałośnie. Coś straszego miał ten obrzęd w sobie, którego lud nie rozumiał znaczenia, nie przewidywał końca, a jednak czuł w nim jakąś groźną potęgę...

Pieśń się skończyła i cisza trwała chwilę, biskup z księgą od ołtarza odwrócił się ku ludowi. Twarz jego była straszna, jak sędziego, który miał wydać wyrok śmierci. Zdala nawet stojący czytali w niej groźbę, mimowolnie ściskając się i cofając ku głębi... Wszystek niemal lud instynktowo zbił się w krucheie... Biskup głosem podniesionym, uroczystym, piorunującym czytać począł:

„Wyklęty jest Bolesław Kaźmirzów syn, król—ze wszystkimi współniki i doradcami swojemi, ze wszystkimi co mu pomoc nieśli, którzy mu radę dawali, którzy cieszyli się tém co czynił, którzy wiedzieli o uczynkach jego, a nie powstrzymywali go od nich i nie głosili ich za bezcenne.“

Przeklęty niech będzie Bolesław w domu swoim i na dworze, przeklęty w grodzie, w nieście i na roli; przeklęty niech będzie gdy siedzi, stoi, gdy je i pije, gdy pracuje i usypia; przeklętym niech będzie tak, aby w nim zdrowego członka nie było, od wierzchu głowy jego aż do podnóża stóp jego, niech wypłyną zń wnętrzości jego, a ciało niech robactwo roztoczy. Niech będzie przeklęty z Ananjaszem i z Zafirą, niech będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niech będzie przeklęty z Abironem i z Datanem, których

ziemia żywych pożarła, niech będzie przeklęty z Kainem bratobójcą. Mieszkanie jego niech się stanie spustoszone, niech będzie wymazan z księgi żyjących i ze sprawiedliwymi niechaj pisanym nie będzie; a pamiątka jego niechaj przepadnie i zeczeźnie na wieki.

Niech na sądzie ostatecznym przeklęty będzie z djabełem i anioły jego i na wieki niech ginie, „jeżeli się nie upamięta!“

Straszne te wyrazy biskup wymawiał powoli, głos jego rosł razem z ich znaczeniem i potęgą, a skończywszy świecę którą trzymał w ręku cisnął przed siebie na ziemię.

W téjże chwili duchowieństwo otaczające go do koła, zaczęło rzucać świece, wołując głosem donośnym:

— Amen! — Amen! — fiat! — fiat.

Łoskot tych świec padających na posadzkę kościelną, zabrzmiał jakby piorun leciał z nieba... lud się cofnął. W kruchej pomiędzy gromadą z kąta dał się słyszeć krzyk straszliwy, bolesny i hałas jakby brzemienia upadającego na ziemię.

Wszystkich oczy zwróciły się ku miejscu gdzie kupka ludzi gromadziła się około omdłego człowieka, którego się ocucić starano.

W ciemności coraz większej pogrązał się kościółek, na podłodze tylko rzucone świece dymiąc dogorywały.— Biskup stał jeszcze czas jakiś nad straszną księgą, z której kłutwę przeczytał, dał



znak aby ją zamknięto i pokłakłszy przed ołtarzem, krokiem poważnym, wiodąc za sobą duchowieństwo, nazad do zakrystyi powrócił.

Dokonało się co zapowiedzianem było.

Obrzęd ten byłby może zgromadzonemu ludowi niezrozumiałym pozostał, gdyby dwaj klerycy postawieni u wnijscia do kruchty, przy kropielnicy i przeciwległym filarze, słowo po słowie nie wykładali znaczenia każdego powolnie wymówionego wyrazu. Zaledwie znikł biskup, gdy płacze jęki i krzyki boleści a strachu rozległy się wpośród tłumu. Trwoga padła na wszystkich. Jedni rzucili się chcąc uciekać z kościoła, drudzy szlochając padali na kolana i kładli się na ziemię krzyżem...

Zdało się im, że z królem całe państwo wyklęte zostało, że jak burza kłótwa zamać kraj i zniszczy go a w popiół i zgliszcza obróci.

Dzwon jeszcze ciągle pogrzebowym swym odzywał się głosem.

Krzyki i płacz, które się z kościoła słyszeć dawały, zaczęły u drzwi jego ściągać przechodniów, mieszczan, ziemian, lud prosty...

Od bliższych kościoła miejsce i domostw straszna nowina niosąca trwogę niewysłowioną jak pożar szła szerząc się coraz dalej.

Z ust do ust lud podawał sobie.

— Król został wyklęty!!...

Niemamy króla...

Wyrazy te, których znaczenie i skutek dla większej części gminu obce były, zamykały w sobie tajemnicę pełną groźb, siłę jakąś której nikt rozmierzyć nie umiał, co ją tém straszniejszą czyniło.

Niektórzy rozpowiadali płacząc iż siła klątwy ciążyła nie tylko nad winowajcy głową, ale nad wszystkimi ziemianami jego, wszystkiem co z nim w jakimkolwiek było związku, co go dotykało, co mu służyło, co go słuchało.—Każda piędz ziemi jego stopą dotknięta, przeklętą być miała z nim razem...

Zajałowić miały pola, pomór wszystkie żywe wybić istoty, studnie wyschnąć, rzeki z brzegów wyjść miały i zalać osady, ogień paść z niebios, ziemia otworzyć wnętrzości swe dla pożarcia wyklętych...

Mdlały niewiasty tuląc do piersi niemowlęta; ludzie twarzą na ziemię padali i z płaczu ryczeli taką trwogą dnia ostatecznego brzmiała dla ludu ta klątwa niesiona po grodzie, przedmieściach i sąsiednich siolach. Jęcząc i płacząc podawali ją sobie rozbiegli na gościńcach ludzie. Tłumy gromadziły się coraz większe, mimo ciemności, oblegając kościół i mieszkanie biskupa; kładli się strwożeni na stopniach zamkniętej świątyni szukając przytułku, łkając i zawodząc jękami.

Nikt nie śmiał wniknąć do domostwa aby dach nie padł mu na głowę, oglądano się z trwogą na niebiosa czarne, w którego głębinach spokojnie,

cicho, po burzy dziennéj, jakby obmyte świeciły jasno gwiazdy błyszczące.

Noc już była, gdy król ze złych lowów wracając, z wesolą gromadą swoją zjawił się u stóp Wawelu, gdzie zalegały jeszcze tłumy owe płaczące i rozwodzące jęki i żale.

Samo spojrzenie na to nocne, niezwyczajne zbiorowisko ludu, coś strasznego zwiastowało. Król ubodł konia chcąc sam spytać stojących bliżej co się to działo, gdy na widok jego, krzyk straszliwy rozległ się wpośród gromad, czarne te masy poruszyły się nagle, ścisnęły, rozbiły, rozproszyły i z jękiem a wrzaskami zaczęły się trwożliwie rozbiegać na wszystkie strony.

Posłuszni panu Boleszczyce, na skinienie jego, napróżno puścili się gonić za uchodzącemi, każdy chroniąc się od zetknięcia z niemi, biegł i krył się — przeskakiwano ploty i rowy, chowano się do dolów, zamykano po domach, bo rzeczono im było, że jedno z wyklętmi zamienione słowo, mogło klątwę przenieść na głowę każdego człowieka...

Poploch rozległ się daleko po mieście, przedmieściach i polach.

Król i ci co z nim byli długo nie zrozumieć nie mogli, ale dwornię ogarniała też zaraźliwa trwowa, przecucie jakiegoś nieszczęścia, które wszystkich dotknąć musiało.

Zdala rozbiegający się tłum ryczał i jęczał

na okół gdziekolwiek oko i ucho sięgało. Niewidzialną siłą przeniesiona trwoga szerzyła się, rosła, potężniała i jednym jękiem boleści napełniała powietrze. .

Wśród ciemności nocnych i ciszy, ryk ten całego ludu, miał w sobie coś tak przerażającego, iż król, co się nigdy nie uląkł niczego, uczuł dreszcz przebiegający mu po skórze i włosy pnące się do góry.

Jedno tylko przyszło mu na myśl, że wróg jakiś napaść mógł na gród jego, że trzeba było zbierać się, zbroić i bronić. — Czesi i Niemcy stawali mu na oczach, ręką ściągnął po miecz i z ust dobyło się przekleństwo.

Spiął konia wściekle czwałem puszczać się ku górze na zamek. Tu w podworcach stały kupami rozplakane niewiasty, potrwożona czeladź. — Rozbite było wszystko, w bezładzie, łzach i jękach. Widok króla i tu wywarł ten sam co na tłumach skutek, — spostrzegłszy go pierzchało wszystko co żyło, rzucały się na ziemię niewiasty, krzyki boleści podwoiły.

Boleszczyce skoczyli z koni otaczając pana, który już zsiadł był i gniewny kroczył do dworu swojego. Twarz jego pałała gniewem, oczy cisnęły pioruny.

Pierwszemi postaciami, które tu ujrzał tulące się u ściany, była zgrzybiała matka w osłupieniu stojąca nad omdlałą żoną jego, którą rozplakane

dziecię, Mieszek klęcząc w martwe lica blade i po rękach skostniałych całował... Tuż stał na pół obłąkany Władysław, który na widok brata w padającego z gniewem, mimowolnie się cofnął.

Ludzie wszyscy uciekali od niego.

Wśród tego rozbicia i popłochu, Bolesław stał chwilę, niepewien jeszcze co pocnie, rękę drgającą trzymał na mieczu i cisnął nią rękojęść jego.

Wzrokiem micrzył tłumy, biegał po twarzach, usiłując śmiać się, lecz usta ciągle mu się do pogańskich przekleństw ściagały. Gromadka tylko Boleszczyców, choć strwożona także, stała przy nim wierną, zdając się oczekiwać na rozkazy, gdy, zmierzwszy ich oczyma tylko, król nagle się zawrócił i wszedł sam do dworca swojego.

Nikt mu nie dał słowa strasznój zagadki, ale ono było w powietrzu. Bolesław wiedział że padła nań klątwa biskupia. W podwórzu stały kupy zebrane, niepewne co z sobą czynić miały. Trwożliwi już chcieli z zamku uchodzić, rzucając nawet w nim co mieli, inni bładzili wahając się, nie śmiejąc ani odejść, ani chcąc pozostać. Ręce lamali w rozpacz.

We drzwiach swoich z rozpuszczonemi włosami, blada, z rękami załamanemi stała Krysta, bez tchu, na pół omdlała, sama jedna, opuszczona, to się zanosząc od płaczu, to ręce i głowę tuląc do ściany, to oczyma obłąkanemi mierząc groźny tłum, który do koła snuł się i dworce oblegał.—

Sługi jęj siedziały na ziemi i zawodziły rwąc włosy, jak płaczki pogrzebowe.

Nieład na całym grodzie zwiększał się coraz, rozprzegało się wszystko, brakło ludzi, — ci co byli głowy tracili, nikt rozkazów nie słuchał, mało kto śmiał je dawać.

Wypnścił ktoś ulubioną klacz królewską wolno, lub sama się z klatki wyrwała; nawykła do swojego pana, pobiegła pod okna dworca, gdzie ją chlebem karmiono i rżała głośno, jakby boleć chciała z innemi. Psy podwórzowe jękami ludzkiemi podrażnione przeraźliwie wyły.

Długo król z izby nie wychodził. Późno w noc, znużenie samo nieco spokojn sprowadziło, rozchodzili się po kątach ludzie; poukrywali, pokładli — dworzec stał ciemny, pusty i jakby wyludniony.

Tylko drużyna królewska w izbie swęj siedziała niema i wylękla, czekając na skinienie pana, któremu wierną została. — Straże u drzwi trwały na zwykłych miejscach. Król nie zawołał nikogo. O drugich kurach sam wyszedł z izby w której leżał.

Z włosami rozrzuconemi, w jednej sukni wysunął się z sypialni, stojącego u drzwi pominął nie mówiąc słowa i wolnym krokiem puścił się, jak na przechadzkę w podworcie.

Nikt nie śmiał doń przemówić, gniewu się obawiając, on ani spojrzał na nikogo.

W izbie mu było duszno, szukał powietrza

aby odetchnąć. — Przez puste podwórza poszedł tak sam, psy tylko wierne ciągnęły za nim, to podbiegając, to stając, jak niepewne czy mu towarzyszyć miały. Król szedł niewiedząc dokąd i dlaczego, szedł aby iść, aby się poruszać, by oddychać i w miejscu myślami nie skostnieć i nie zdrętwieć.

Noc była ciemna, ale na tle jęj rozeznac było można budowy zamkowe, które stały jak uspio-  
ne w mrokach. — Znużony pochodem gwałtownym a bez celu, król razy kilka obiegłszy dziedzińce, stanął wreszcie i podniósł oczy aby dostrzedz gdzie się znajdował.

Przed sobą rozpoznał kościół i drzwi, które z rozkazu jego wyłamali służalcy. — Podwoje już dzwignięte, stały w miejscu zaparte znowu, ale na nich widać było jaśniejsze ślady włamania świeżego na zczerniałem drzewie nawet wśród mroku łatwo dające się rozeznac.

Były to jakby rany świeże na ciele świątyni.

Król podniósł na nie oczy, wlepił je i pozostał tak, ręce założywszy, naprzeciw żelazem okutych podwojów — w myślach jakichś zagłębiany.

O te drzwi zaparte, pokalcczone miała się rozbić cała siła jego i potęga. — Obalił je, powstały, stanęły i znowu żelaznemi obręczami ujęte, zamykały mu drogę.

Niemogąc od nich oczów oderwać król długo pozostał tak niemy, gniewny, prawie nieprzytomny:

On co wielkiego swego imiennika chciał naśladować i prześcignąć, wspomniał jego Szczerbice i Złote Bramy i tamte wojny i swoje. Jakże mu doń było daleko!. — Tu jednym jeden człowiek stał przeciw niemu, śmiał mu wydawać wojnę i uragać się jego potędze. — Miałżeby to ścierpieć ten co rozdawał korony i na tronach osadzał?

Dniało już gdy król na zamek wolnym krokiem raczej znużony niż uspokojony powrócił?

Ludzie budzili się tu teraz ze wspomnieniem wczorajszej trwogi wstając i z przestрахem wychodząc przeciw sobie, jakby ta noc zmieniła wszystko i nowych stworzyła ludzi. Patrzali sobie w oczy milczący, niepewni, wahający się powątpiewając czy życie wczorajsze na nowo się mogło rozpocząć.

Wielu bojaźliwszych z wieczora już dwór opuściło ukradkiem, inni powymykali się z rana.

O zwykłej godzinie jednak usłyszano na Skalice dzwonek wołający na mszę świętą. Na zamku kościół pozostał niemy i zaparty.

Służba czekała rozkazów.

Później niż innych dni, król na nią zawołał. — Boleszczyce wszyscy i dworska czeladź znalazła się na miejscach zwyczajnych. Gdy weszli odzianym go już znaleźli i zbrojnym, z twarzą groźną, bladą, ale wielką mocą nad sobą, jakby uspokojoną. Wnet posypały się rozkazy i pytania, jak



dni powszednich, ani słowa o wczorajszém wzburzeniu i trwodze.

Wczorajszego dnia wracając król w drodze dał rozporządzenie na nowe łowy w okolicy; powtórzył je teraz, nakazując by natychmiast wszystko było pogotowiu do ciągnięcia w lasy.

Brat Władysław jechać miał z nim razem — wysłano po konie, sokolników i psiarzy. — Borzywój poszedł do izb, w których Władysław stał gospodą, lecz mieszkanie znalazł puste, książę ze dworem całym, nocą jeszcze ujechał po cichu.

Nieśmiano nawet o tём zwiastować królowi — zobaczywszy Borzywoja powracającego niemo, domyślił się może i nie zapytał go raz wtóry. — Na wychodnym tylko sam jeszcze zboczył ku komorom książęcym, drzwi rozwarł, zajrzał w pustkę, w której tylko rozrzucone leżały postanienia, uśmiechnął się dziko i słowa nie mówiąc, poszedł ku koniom, które nań w podwórzu czekały. Był nie swój — drżeli wszyscy — śmiejąc się zagadywał do drużyny, hałaśliwie, krzycząc kilka razy na głos się odezwał wydając rozkazy — oczyma powiódł po zamku, który i teraz wydawał się straszliwie pustym i oniemiałym — konia spiał i pierwszy puścił się drogą z zamku wiodącą ku Wiśle. Miano się przeprawiać przez nią i puścić w lasy sąsiednie.

Dzień był jasny i piękny, niebo pogodne lek-  
kieni białemi zasiane chmurkami, wiosenne we-  
sele wiało w powietrzu — porankowy ten świat,  
na którego licu żadnej zmiany widać nie było,  
na wszystkich strwożonych wczoraj podziałał  
uspokajająco, i królowi też męztwo a buta zwy-  
kła wracała.

To co się wczoraj stało wydawało się jakby  
snem, zmorą jakąś gorączkową, marzeniem i ułudą.  
Bóg nie przestał być łaskaw na ziemię.

Słońce weszło jasne i ciepłe, powietrze cznie  
było wiosną, wiatr przynosił wonie młodej roku  
pory, drzew rozwitych zaledwie, kwiatów co się  
otwierały, roli ożywionej rosą.

Na przedmieściach nie widać było ani ruchu  
wielkiego, ani nadzwyczajnego nic, życie zdawało  
się znowu płynąć dawném swójem korytem.

— Widzicie! — odezwał się Borzywój do Do-  
brogosta, jadąc za królem, widzicie, nie się nie  
stało! — Nic się nie stanie. Tchórze od nas  
pierzchnęli, to ze wstydem wrócą, a że tam kle-  
cha jakiś zuchwały, króla się ośmielił kląć pu-  
blicznie, czy to pan Bóg zaraz ma tego słuchać.

Toć to przecie król, namaszczone i koronowa-  
ny pan!. Z nim nie łatwo, a klesze damy naukę!

Dobrogost niemiał téj odwagi co brat, popa-  
trzał nań, głową pokiwał i rzekł niby z innéj  
beczki poczynając.

— Co to nam na dworze ludzi wczoraj ubyło?

Mnie się zdaje że z polowania powróciwszy, znowu się ich dużo nie doliczymy. Jak tak dalej pójdzie, to kto w końcu przy królu zostanie?

— My! — odparł rzeźko Borzywój — my. Kto chce iść niech rusza, obejdziemy się bez niego. — Niech się tylko oglądają dobrze za siebie, bo im król tego płazem nie puści. Ja go lepiej znam niż ty. Widziałeś jak się dziś na głos śmiał i krzyczał, jak wesół był — wtenczas on najgorszy kiedy tak dokazuje. Niechciałbym być w skórze tych co mu teraz zawinią.

Dobrogost zmilczał.

O kilkaset kroków za promem i Wisłą, na drodze spostrzegli orszak. Byli to Władcy i ziemianie udający się w gromadzie znacznej do Krakowa.

Zrazu jechali gościńcem wprost na orszak królewski, lecz gdy się zbliżyli i mogli w nim poznać Bolesława, widać było jak się strzymali, zbili w kupkę strwożeni, niepewni co począć mieli, a potem w lewo nagle wąską drożyną puścili się na pola, aby uniknąć z królem spotkania.

Było to widocznem i do zrozumienia łatwem. Król się odwrócił do swoich i na Borzywoja skinął.

— Na przełaj jedź! — zawołał zburzonym od gniewu głosem — jedź i patrz mi, którzy to są!

— Miłościwy panie, odczuwał się Borzywój, niepotrzebuję po to jechać aby ich poznać. Po

zbroi, koniach i postawie ztąd ich już widzę. — Leliwa, Kruk i Brzechwa z czeladzią.

Król wybuchnął śmiechem szorstkim.

— Jadą do biskupa, przyjaciela swojego na radę. Niechajże dobrze radzą, bo im i jemu nie wiele czasu zostało.

Pomimo tego szyderstwa i lekceważenia, zburzony był król mocno, niepewien siebie; zrazu wzgardliwie pominął oddalających się, potem zawahał, stanął, chciał ich ku sobie powołać i podjechawszy kawałek drogą, kazal w róg zatrąbić, aby ich ku niemu zwrócono.

Dano znak... Jadący się zatrzymali, zdawali naradzać między sobą, a gdy król gwałtownym ruchem ręki sam ich ku sobie powoływać zaczął; czeladź w polu zostawiwszy podjechali samotnie.

Leliwa, Kruk i Brzechwa, wszyscy szłyki mieli na głowach i nie myśleli ich uchylać przed królem. Zbliżywszy się ku niemu na pół stajania zatrzymali konie i dalej nie postępowali.

Tedy, król sam jeden, czeladzi swój kazawszy w miejscu pozostać, poskoczył ku nim. Natarł na nich mierząc groźno oczyma, ci, nieporuszeni stali na koniach, nie zsiadając z nich i zwykłej czci mu nie oddając.

Król znał ich wszystkich bardzo dobrze, niemniej zapytał.

— Coście za jedni!

Leliwa po namyśle rzekł.

— Ojczyce tej ziemi jesteśmy, jam Leliwa, a oto Kruk, który Cześnikiem był u nieboszczyka pana, a to Brzechwa.

— Azali mnie nie znacie? krzyknął król.

— Zналиśmy wczoraj — odezwał się śmiało Leliwa — a no dziś cię nie znamy.

— Chcecie abym się ja wam dał znać!

— Gotowiśmy na wszystko, mruknął Kruk.

Król patrzył mileząc, jakby niewiedział co powiedzieć miał.

— Przecz że mnie znać niechcecie? — krzyknął groźnie.

Leliwa chwilę się namyślał, inni też nieodzywali się, jemu głos zostawując.

— Bo wy matki swój znać niechcecie — rzekł powoli.

— Jakięj matki!

— Kościoła świętego i sług jego — mówił Leliwa.

Król szydersko na nich spojierał.

— Tak was klechy nauczyły — zawołał, — a ja klechów i was nauczę posłuszeństwa dla ojca. Jam ojciec wasz, matka idzie nie przed a za ojcem w małżeństwie. Rozumiecie!!

Władcy milczeli.

Król miał widać na duszy wiele, bo, choć zwykle nie rad rozprawiał, teraz rozmowę przedłużał namiętnie.

— A wam co do mojej kłótni z tym klechą? co wam do kościelnej sprawy! Wasza powinność ziemiańska nie klesza! — Słyszycie!

Leliwa znowu pomileczawszy, rzekł poważnie.

— Myśmy nie poganie, chrzest święty przyjęliśmy, a na nim posłuszeństwo kościołowi przysięgali.

— A mnicście to posłuszeństwa niewinni?

— Kto pod klątwą kościelną jest, odezwał się Leliwa, ten rozkazować niema prawa.

Rzekł to z zimną krwią i powagą wielką, przeciw której król nie miał co postawić oprócz śmiechu swojego, ale oczy mu pobłyskiwały jak u zwierzęcia dzikiego, i trzymał się za pas u miecza, jakby go chciał dobywać.

— Precz! Won mi z oczów, chcecieli lby mieć całe! wrzasnął won—klecha za siebie i za was zapłaci, bo on was głupich wiedzie do nieposłuchu — precz!

Ręką wskazał w stronę.

Leliwa, Kruk i Brzechwa zwolna poczęli konie zawracać i ani głowami nie kiwnąwszy, odjechali nie oglądając się na niego. Król jak stał w miejscu pozostał chwilę jeszcze, oczyma ich ścigając, potem konia spiąwszy, w czwał ruszył dalej, a cały dwór puścił się też i gnał za nim pędem.

Pomijając ziemian Boleszczyce podnieśli tylko ręce groźnie, ukazali im pięście, a niektórzy

nawet obnażone miecze. Garstka też ziemian nie-  
ulękłona podniosła dłonie i dobyła żelaza. Tak  
łajac się nawzajem i bezczeszcąc minęli, a król  
pędził dalej.

Na zamku po wyjeździe królewskim cicho  
było. W komnatkach dwu królowych, jak wczoraj  
płacz ciągły i modlitwy. Babka i matka tu-  
liły przerażonego Mieszka, któremu wytłoma-  
czyć nieśmiały i niemogły co się stało, ani wy-  
jaśnić co groziło. Obie powtarzały że ani w Ki-  
jowie, ni na Rusi nigdyby takich dni nie prze-  
żywały. Z rana wysłała królowa dworzanina do  
księdza staruszka, który zwykle u niej modlitwy  
odprawiał i nauczał religii królewicza. Ale z rana  
nie znaleźli go nigdzie ludzie i nie wiadano  
gdzie się znajdował.

Był to Benedyktyn, mnich już podeszłego  
wieku, włoch, który z pierwszemi jeszcze księżmi  
w Tyńcu się osiedlił, a po zburzeniu klasztoru  
za Masławowskich czasów, schronił się do Krakowa.

Staruszek wyuczył się był języka, i dawnoby  
napowrót przyłączył się do swój braci, którą  
Każmirz do Tyńca znowu sprowadził, a Bolesław  
sam osadził w Mogilnie, gdyby królowa, nawykła  
doń, dla syna go nie zatrzymała.

Obcy krajowi, w którym długie i ciężkie  
przebył lata, zatopiony w modlitwie a zarazem  
kunsztmistrz, bo obrazy świętych na cześć i chwa-  
łę Bożą do kościołów przedziwnie malować umiał.

Ojciec Otton siedział na zamku odosobniony, msze o świcie po cichu odprawiał w kościele, godzin kilka trawił przy małym Mieszku, zresztą z duchowieństwem nawet nie częste stosunki miał. — Biskupa widywał tylko zdala, znał go mało i nie narzucał mu się wcale.

Szukano teraz O. Ottona po całym dworze, długo znaleźć go niemożąc. Izba jego nie zamknięta, nie była jeszcze opróżniona; stały w niej złożone deski na których malował, skorupki z farbami i peźle, leżały porozkładane pargaminy i księgi, nie nie zwiastowało ażeby się już wyniósł z zamku na zawsze. Naostatek, powracającego z miasta, wylekłego i bladego, schwycił na drodze królowej posłaniec i prosił go usilnie, ażeby natychmiast szedł z nim do pani.

Staruszek, mało mówny zawsze, zawahał się zrazu, powzdychał, zdał się niepewnym co czynić ma, obejrzał się trwożliwie do koła, w ostatku leniwym krokiem pójść musiał za przewodnikiem, chociaż widać było, iż niewielką do tego miał ochotę.

Ujrzawszy go w progu królowa młodsza porwała się z siedzenia biegnąc przeciwko niemu. Mieszko, który się do staruszka przywiązał wielce, poskoczył także wyciągając rączki. Objął go niemi, uśmiechając się i radując mu się wielce. Lice O. Ottona rozchmurzyło się trochę, zapłakał głaszcząc go po główce jasnej i przytulił ku sobie.



Wtém królowa Wielisława szepnęła mu aby się oddalił, co dziecię nie zaraz spełniło, ociągając się i niechętnie, trzymało jedną rączką suknię starego Benedyktyna i puszczać jej nie chciało...

Po odejściu jego do komory, królowa rozplakała się szlochaniem wielkiem, oczy tuląc w dłonie obie.

— A! ojciec mój! zawołała — pociesz mnie, ratuj, mów, radz. — Co się stało z królem! — Jaką to klątwą jak piorunem biskup nań rzucił!!

Otton długo stał milczący, z oczyma w ziemię spuszczone.

— Miłościwa pani, przebąknął nareście, wahał się i nieśmiało. — Klątwa ta, klątwa kościelna rzeczą jest straszliwą! — Żadna siła ziemską przeciwko niej się ostać nie może...

— Lecz on pan! on król — wołała królowa.

— Na pany, króle i cesarze rzuca kościół klątwy i padają od nich — mówił mnich.

— I niema ratunku? — krzyknęła ręce załamując zapłakana niewiasta, głosem rozpaczliwym.

— Ratunkiem, ratunkiem jedynym, upokorzenie się, opamiętanie, pokuta! — rzekł mnich... Pokuta publiczna!

Królowa powtórzyła te wyrazy, ręce podnosząc do góry.

— Ale król mój! — Bolesław nigdy tego nie uczyni!

Mnich westchnął tylko...

Wielisława płacząc sparka się na stole i milczała, bo łyzy jej mówić nie dawały.

— Opuszczają nas wszyscy! — rzekła wkońcu — zechcecież i wy, opuścić nas, Mieszka któremuście byli ojcem duchownym?

O. Otton dłonią drżącą powiódł po czole, na które zimny pot występował.

— A! miłościwa pani — odezwał się, ja jako duchowny, jako zakonnik biedny; starszym moim winieniem posłuszeństwo ślepe. — Gdzie mi każą tam pójdę — nie winicie mnie.

Królowa znowno mocniej płakać zaczęła.

— Być że to może, poczęła, aby ten biskup dla króla, dla nas był tak okrutnym i zawziętym.. by wymagał od pana swojego takiego upokorzenia? — a gdybym ja poszła doń, ja królowa z dzieckiem królewskim, z matką królewską, i starała się skruszyć serce jego.

Zakonnik głową potrząsł.

— Nie pomogłoby to nic — odezwał się bo nie od was, coście nic nie przewinili, ale od króla biskup wymaga skrucy, pokuty i poprawy.

Miłościwa pani, padnijcie raczej do nóg, królowi pann swojemu, niechaj on zmiłuje się nad sobą, nad wami, nad dziećciem i nad tą ziemią całą.

Królowa stała długo zwiesiwszy głowę, spuściwszy ręce złamane.

— A! ja! ja! — rzekła upokorzona — cóż ja mogę, jam niewolnica i sługa choć małżonka. Mnie pan mój nie rad słuchał nigdy, a dziś, dziśby mnie popchnął nogą. Nie jestto niewiasty dzieło...

Ojcie! ojcie! — radźcie mi inaczej, radźcie i duszy mojej i dziecku jedynemu.

O. Otton którego głos królowej przejmował, któremu żal było jej i dziecka niewinnego, namyślać się począł — i nierychło odezwał nieśmiało.

— Jam też mnich, a w kościele Bożym sługa mizerny — modlić się umiem i słuchać — na radę mi doświadczenia zbywa.

Wiem że ja co czynić? Chyba jedno, dziecię zabrawszy, z niem uchodzić do rodziny swój na Ruś, opuścić króla, aby duszy nie gubić i niewinnego syna ocalić.

Królowa usłyszawszy to wielkim głosem, przerażona krzyknęła.

— Ja! ja! bym go opuścić miała, teraz właśnie gdy nieszcześliwym jest? ja? — A! nie! — nigdy ojcie mój! Bóg na niebie miłosierniejszym jest od biskupa, Bóg żonie i służebnicy niepoczyta za grzech iż pozostała wierną ślubom swoim...

Ja — opuścić go! — a dziecko niewinne może zgrzeszyć że przy ojcu pozostanie? — Ja z nim rozstać się też niemogę.

A! nie — nigdy! płacząc powtarzała królowa, niech się wola Boża stanie nad nami!

Ojciec Otton stał łamiąc ręce, łzy mu ciekły.

— Dziecięcia żal — rzekł. — Niezbadane są wyroki Boże, a pismo mówi iż za grzechy ojców na pokoleniach Bóg mścić się będzie.

Dziecię.... począł z cicha, lecz zobaczywszy płacz królowej, zatrzymał się i umilkł, głowę spuścił, sam pot i łzy ocierał.

Wielisława szlochała, płacząc padła na siedzenie swoje, a Mieszko, usłyszawszy ją zachodzącą się, wbiegł niewołany, wprost do matki, uwiesił się jej na szyi, a łzami do płaczu pobudzony, razem całować ją i lkać począł.

Płakali tak wszyscy, bo słów im brakło. Otton pożegnać chciał królowę, a nie miał odwagi powiedzieć że ostatni raz próg ten przestąpił. Stał u drzwi niecierpliwy z niemi, zapominając o rozkazie, który mu natychmiast opuścić dwór polecał.

Upłynęła tak chwila bolesna, królowa łzy otarła gwałtownie, syna odprawiła znowu i zbliżyła się jeszcze raz do staruszka.

Nie szło jej już o siebie, ale o pana i małżonka, którego miłowała opuszczona, przebacząc mu wszystko.

— Ojciec mój, rzekła cicho — powiedz mi, nie tając nic, prawdę całą.

Jestli także przeklęty z nim, kto go dotyka, kto z nim żyje, kto go nieopuści i nie zaprze się?

Bóg jestli tak okrutnym, kościół tak nielitościwym?

Mnich zadumał się nieco.

— Miłościwa pani moja — rzekł, jam ubogi zakonnik, jam niewolnikiem w tém królestwie, którego Papież i Przełożony Zakonu naszego królami są. — Ja niestoję na tych wysokościach z których widzi się wszystko. — Oczy moje nie sięgają daleko, pod stopy patrzę, rozkazów słucham, nie wiem wiele. — Jedno wiem iż rzeczono nam, opuście go — ja, muszę...

— I żona i dziecię! zawołała królowa.

— Wszystkim rzeczono — ciągnął dalej Ojciec Otto — opuście go, a to dla tego aby pychę złamać i zmienić ją w pokorę.

— Ale tego człowieka nie złamie nic — odezwiała się Królowa — on żelazny jest.

— A! pani moja — szepnął Mnich, żelazo którego nic nie złamie rdza zjada.

Umilkła królowa, łzy płynęły po licu bladém, nieśmiała pytać więcej.

— Więc i wy, wy nas rzucicie! — szepnęła raz jeszcze po długim przestanku.

— Rozkaz mi dano — odparł zakonnik i stał milezący.

Zakrywając sobie oczy płakała po cichu Wie-

liślawą, mnich zasmucony, zboląły stał poruszyć się nieśmiejąc, pocieszać niemogąc.

Z za zasłony znowu, z drugiej izby wyglądał trwożliwie i niespokojnie Mieszek, którego płacz matki wyzywał a rozkaz jej odsyłał, aby rozmowy nie był świadkiem; wyrwał się powtórnie, przybiegł obejmując ją rękami, i płakać zaczął z nią razem. Pieszczone dziecko niepojmowało co się z matką, z niemi i do koła działo — w duszy obwiniało może mnicha że on te łzy wyciskał, spoglądając nań z wymówką i smutkiem.

Starcowi też poruszyło się serce, dłonie drżące wyciągnął ku dziecku i wezwawszy je przycisnął do piersi, niespokojnie poczynając szukać czegoś pod suknią.

Miał tam zawieszony, święcony niegdyś w Monte Cassino, otarty o relikwije święte, krzyżyk dany mu z błogosławieństwem. Byłto jego skarb największy i jedyny. Wolał się go wyrzec dla siebie, byle nim niewinne dziecko od zemsty niebios, zasłonić.

Zdjął drżącemi rękami z piersi ów krzyżyk, wytarty długim noszeniem i pocałowaniem, i szepcząc modlitwę, włożył go na szyję dziecka, kryjąc pod zwierzchnią sukienkę.

Nad główką jego zakrył krzyż święty i uściśnawszy dziecko raz jeszcze, wymknął się od płaczącej pani.

W podwórzu, na drodze oczekiwali nań inni

niespokojnie z zapytaniem, ale starszek przeleżył sam, nie odpowiadając im przemknął się co żywiej i zniknął w zabudowaniach, zkąd w godzinę później wyszedł o kiju z małym węzełkiem swoim pod pachą.

Na drodze już, zabiegła mu zrozpaczona Krysta z zapłakanemi oczyma, padając przed nim na kolana. Uchwyciła połę jego sukni, chcąc go zatrzymać, pytać, błagać, ale O. Otton, zaledwie ją ujrzał i poznał, szarpnął suknię, wyrwał się przerażony i niemal biegiem dopadł wrót za któremi zniknął.

Od wczorajszego wieczora, Krysta, oprócz Borzywoja, który wpadł na chwilę i Zbiluta, którego sama przywołać kazala, niewidziała nikogo. Król nawet zdawał się o niej zapominać.

Sama, opuszczona, rzucona była na łup czarnym myślom i trwodze. Pierwszy Borzywój opowiedział jej po swojemu, o tém co się stało, a czego ona wcale zrozumieć nie mogła. W dziecięcej głowie jej pomieścić się nie umiało, aby jeden słaby ksiądz, mógł potężnemu grozić królowi, który wojsko i siły miał za sobą.

Zbilut i inni przybiegali do niej przynosząc z sobą gniewy i trwogę; Krysta z początku burzyła się tylko na zuchwalstwo — lecz widok powszechnego przerażenia, i ją nareście obawą napełniał.

Tęj potęgi jakiejś tajemniczój, której się wszy-

scy tak lękali, niemogła dojrzeć, zrozumieć, i dla tego coraz zabobonniejszą trwogą czuła się przejętą.

Chciała koniecznie widzieć króla, sądząc że go potrafi popchnąć do gwałtownego kroku, któryby tę niepewność zakończył — czekała nań wieczorem, czekała nie śpiąc noc całą, widziała go błądzącego w ciemnościach, stojącego pod kościołem — nie przyszedł do niej.

Nie była więc już niczem dla niego, dla nikogo. — Dwór, ludzie zapomnieli o niej, odstąpili. Strach i gniew na przemiany nią miotali.

Czekała ranka w oknie.

— Przyjdzie zrana! — mówiła sobie — ale czekała nadaremnie. Widziała jak król wyjechał na łowy, minął okno jej, nie spojrzawszy w nie, nie zwróciwszy się ku niej, nie pozdrowiwszy zapłakaną.

Krysta padła na posłanie i wypłakiwała piękne oczy.

Służba jej nawet niewierna, gdzieś się poroźbiegała, nie było jej, nie mogła nawołać, nikt nie słuchał i nie przychodził. Samą ją tak rzucili.

Tak dzień cały spędziła naprzemiany gniewając się i płacząc. Wody nie było we dzbanku, zapomniano przynieść jadło.

Sama poszła czerpać do studni, nikt, widząc ją, nie odwrócił się, nie zlitował, nie pomógł. Dzień ten był jak wiek długi — płakała, dumiała,



spala, narzekała sama na siebie, na króla, na dołę swoją.

Niepokoił ją odjazd pana. — Cóż się z nim stało i z drużyną? — Miałże powrócić, czy może odjechać i opuścić ją na zawsze!

Wieczór tak nadszedł leniwo; wieczór coraz ciemniejszy a króla nie było. Słuchała w oknie tententu koni, szelestu wdali, głosów które zdala poznawać umiała.

Naręście od podnóża góry doszła ją jakaś wrzawa.

— To on, to pan jechał!

Wybiegła w podsienie, stanęła w koszuli jednej, bosa z włosami w nieładzie, patrząc w ciemności. — Serce jej biło, skronie pękały.

— A! to on — to on! Poznała go już niewidząc, wyciągnęła ręce ku niemu, krzyknęła boleśnie. — Konie stanęły... Słyszała już brzęk jego miecza, chód jego stopy, dzwięczenie ostrogi zło-tėj — zbliżają się kroki — to on! — I Krysta omdlała zawiesiła mn się na szyi.

Na rękń wniósł ją Bolesław do izby i złożył na posłaniu — głosem jak burza strasznym, krzy-cząc na sługi. — Z dziewczek żadnej nie było!

Klasnął na swój dwór i kazał służbę za włosy przyciągać do pani. W gorączce był tego wieczora, w gorączce łowów i myśli bojujących. — Pozostawszy sam z sobą, nabrał znów męztwa, drażniąc się i pobudzając — czuł się znów silnym.

Orszak który go otaczał, wojacy jego byli mu posłuszni, z niemi, z tą garścią odważnych jak on sam ludzie, gotów był rzucić się na tysiące — nie lękał się już nikogo.

Gdy Krysta po omdleniu otworzyła oczy, ujrzała twarz pańską nad sobą, światło się już w izbie paliło, dziewczki strwożone, zapłakane, pobite i pokrwawione, pilno się koło niej krzątały.

Oddechnęła jakby odrodzona na nowo, po dniu i nocy strasznej męczarni.

Cienmemi oczyma patrzył na nią król i dumał.

— A! panie mój! — królu mój milczki! — wy Krysty swój, wy sługi swojej nie porzucicie, — odezwiała się głosem słabym i pieszczotliwym, wyciągając ręce ku niemu. — Wszyscy mnie opuścili wczoraj. — Wody, kropli wody nie było. Krysta bosą samą do studni chodziła...

Król wrzał gniewem.

— Zasieć każę te sługi i psani wyszczuć ze dworu — wołał — podle suki... którym nigdy wierzyć nie można... Uspokój się Krysta, przepędzę te wiedźmy, znajdziemy inne.

Wstała z posłania blada Krysta, na której twarzy jeden ten dzień i noc, straszne zostawiła ślady — oparła się o pana swego i płakała.

— A! mówiła cicho — jak to straszno samą tak zostać, niemiec nikogo i ginąć trwogą każdą godziną i umrzeć niemódz nawet. Królu mój! nie-opuszczaj Krysty twojej.

Król już tego wieczora był znów po dawnemu pełen męztwa, lekceważenia i buty. — Śmiał się złośliwie.

— Podły lud — podli ludzie! — wołał rozpuściło się wszystko — nadtom był dobrym. Jutro, prędko pokażę im co mogę! Wnijsć musi wszystko do ładu, — ale się krew poleje! dodał ciszej.

Na myśl mu przyszło że za Krystę go właśnie biskup upominał i wyklinał, chciał wszem w obce pokazać iż się nie uląkł i zmieniać nic nie myślał. — Gdyby jej nie miłował nawet namiętnością tak wielką, byłby na swoim chciał postawić i kochanie jej okazywał... Bolało go opuszczenie Krysty całodzienne, należała płaca za lzy wylane, zawołał więc na Borzywoja aby czeładź mu wicherzę niosła do Krysty...aby widzieli wszyscy że się nie strwożył, i nie ustąpił.

Słał po gędzbiarzy, po miód i wino i służbę, po Cześników i Podkomorznych.

Na skinienie królewskie, służba się rozbiegła posłuszna, po dawnemu.

Krysta tymczasem pobiegła do komory, trefić rozrzucone włosy, snknią wdziać złocistą i piękną, piękną wnijsć do swojego pana.

Bolesław tymczasem wyszedł w przedsiienie do swęj drużyny, do Boleszczyców, zalecając im aby było wesolo a huczno; żeby się zamek cały spiewami, gędzbą i okrzykami rozległ.

Stoly rozkazał powynosić na podwórze, miód

i piwo lać w bród i ciągnąć do nich jak najwięcej ludzi — pić i śpiewać i skakać do białego rana.

— Niech biskup słyszy i widzi ze nam dobrzej nie odjął myśli, żeśmy głów popiołem nie posypali — a o jego gniewy niedbamy. — Niech drży klecha!

Rozbiegli się natychmiast dworscy, budząc, pędząc, ściągając lud i hałasem wielkim napętniając podwórca wszystkie.

Z przybyciem króla jakby czarami zmieniła się zamku postać, w przełękłych wstąpiło mężstwo. Ci co się kryli powylazili z kątów, wesołość pańska dodawała im odwagi.

Toczono beczki śmiejąc się i pokrzykując, ustawiano z hukiem stoły, zawodzano krzykliwe pieśni, śmieli się wszyscy, a zwołane trąby i rogi wojenne od czasu do czasu serca dodawały, podpowiadając pieśniom i hukaniom.

Pochodnie powynoszono w podwórza ażeby zamek w światłach gorzał zdala, rozpalono stosy łuczywa — Boleszczyce chodzili sami krzycząc na całe gardło i drugich zmuszając aby, chcą czy nie — byli weseli a wrzawy robili jak najwięcej.

W mieście i na przedmieściach ludzie się pobudzili, patrzali i słuchali.

— Król się weseli! mówili jedni.

— Szatan harce wyprawia! — szeptali żegnając się duchowni. Strach i podziwienie ich ogar-

niało. Król się więc nieuląkł i szydził sobie z biskupa i kościoła?

Kto silniejszym miał być. — Biskup ze swą kłatwą, czy Bolesław z zuchwalstwem i urągowskiem? Wątpliwość wstępowała w serca.

Biskup siedział na Skałce nad księgami sweimi, na rękach oparty, w myślach zatopiony, gdy do niego kleryk wpadł i przyklękawszy, pocałował go w rękę.

W okno biło światło zdaleka.

— Co to za luna tak świeci? spytał biskup.

— Na zamku stosy i pochodnie goreją, rzekł przybyły.

— Co to za wrzaski słyszeć?

— Na zamku król wielką wyprawia biesiadę i weseli się, odparł kleryk.

Wstał biskup od pulpitu, otworzył błoniaste okno, patrzył i słuchał. Aż tu dochodziła wrzawa i okrzyki dzikie. Posmutniało mu oblicze i oczy niemal zaszczyły łzami.

— Stań się wola twoja! — rzekł po cichu.

Zwolna wyszedł aż na próg domu swojego i oczy ku Wawelowi obrócił. Nad górą zamkową wznosiła się luna krwawa i dymy iskier pełne, buchało z niej światło i lały się pieśni swawolne, pogańskie.

Bolesław, na górze, na wałach stał z piersią odsłoniłą, bo w niej gorzał gniew płomieniem, patrzył w dół ku Skałce; urągał się w ciemno-

ściach zanurzonemu domostwu, które stało otwarte i bezbronne.

— Gdybym chciał, mówił w duchu, dziś, zaraz, skinałbym, zgniótł klechę, w perzynę obrócił tę kleć jego, i wyniósł go na mieczach. Ale nie, niech drży z trwogi, niech czeka... niech godziny liczy! nie ujdzie rąk moich!

Zamknę przedemną raz jeszcze drzwi kościoła, ja mu drzwi życia zamknę na wieki. Do Rzymu pošlę bryłę złota. — Co im jeden biskup, jeden klecha, poddany mój. — Nikt się nie ujmie za niego! Przykład dać trzeba. — Dość suchćj walki, do pierwszego spotkania!

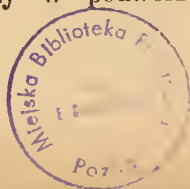
---

## II.

Nazajutrz po kłatwie rzuconej na króla, wieść o niej biegła od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, z ust do ust, piorunem się rozechodząc po kraju całym.

Zdawało się że ją jakaś niewidzialna siła dźwignęła i na skrzydłach niosła. — Ludzie się z nią spotykali na gościńcach, na rzekach płynąc, oracze na łąkach, kosarze na łakach, przylegała do obcych podróżnych, szła jak mór, który nie-  
sie powietrze.

A od dworu do dworu widziano tych dni jeżdżącego człowieka, na koniu lichego sukna kawalkiem okrytym, w odzieży prostej i odartej, z głową obnażoną, z brodą rozwianą, z włosiem rozczochranym, który gwał bez dróg od wsi do wsi, wjechawszy w podwórze porzucał konia



samopas, szedł do dworca, do ziemian, stawał przed nimi, wywoływał słów kilka gorących i po chwili nie spoczynawszy, siadał znów na szkapę, jechał dalej.

Stary Odolaj chodził z Okiem i Hyżem po swém podworce w Jakuszowicach, gdy do wrót ten gość odarty zastukał.

A Oko mówiło panu.

— Człek jakiś na mizernój szkapie — obdarty, bez szłyka, w sukmanie prostěj, zdyszany. — Dobija się na gwałt, posłany być musi chyba od kogoś.

Hyż patrzył dziko ku wrotom.

— Niech go puszczą — rzekł Odolaj.

Otwarto jeźdźcowi, który z konia zaraz zeskończył. Nim Hyż, który już gotował się biedz, mógł się rzucić na niego, odwołał go stary i przy nogach leżeć kazał, a pies legł mruczac posłuszny.

Zbliżał się ów dziwny poseł, daleko śmielėj niż na jego odzież i stan przystało. Suknie miał wyrobnika — a postawę pańską.

Odolaj posłyszawszy kroki zbliżające się, zawołał.

— Cós zacz. ? — Mów.

— Mścisław z Bużenina — rzekł przybyły śmiało, ten któremu król niepoczciwie żonę wziął, któremu dom zesromocił, łoże pokalał, którego uwięził i na urągowisko puścił.



Mścisław jestem, ten do którego krzywdy, z innymi i twoje wnuczki i prawnuczki przyłożyli się, służąc swojemu panu nie jak rycerze, ale jak podle niewolniki. — Mścisław jestem który nawołuje do zemsty, do sprawiedliwości. Biskup na króla rzucił klątwę, przeklęty kto z nim, kto mu służy, kto pomaga, kto się o niego ociera. — Twoi z nim przekłęci, ród twój, krew twoja...

Stary słuchał ślepymi oczyma patrzeć się zdając na wściekłego i dyszącego gniewem człowieka, któremu wargi wyschłe popękały od gorączki i krwią płynęły, oczy krwią zachodziły, a lice było żółte i czarne.

— Nie bluźń, ty, poganie jakiś! — krzyknął gniewnie stary — nie bluźgaj, plugawcze! — Ojcem twym i dziadem mógłbym być, a lat i włosów moich nie szanujesz — zbójcu jakiś! — Dla jednej niewiasty twojej, coś jej trzymać nie umiał, ma się całe królestwo obrócić w perzynę!

— A! — niech się w perzynę i zgłiszczce obróci — krzyknął nie zmiészany Mścisław — niech wszystko przepada! — On i królestwo jego i wy wszyscy jego współnicy.

— Wściekły wilku nie ezłecze! — Począł w gniewie stary Odolaj. — Któż ci to mówił że my jego współnikami jesteśmy!

I nogą a kijem począł bić o ziemię, trzęsąc się cały. Pies podniósł się, zęby wywarł i uja-

dać począł, niemogąc się ruszyć, a że stary go uderzył, — zawył.

— Kto ci mówił że my jego współnikami? — ciągnął Odolaj. — Ja ród mój przekląłem jeżeli mu służyć będzie, nie podaruję mu, znać ich nie chcę. — Zapieram się. — A co ta nędzna garść znaczy?

— Z garści się korzec sypie — zawołał Mściśław nie ochłonawszy — ale twoja garść, stary Odolaju, zostanie w krótkce samą. Jadę od dworu do dworu, wołam w imie nie moje, ale jako mi biskup przykazał, aby od niego precz szli wszyscy — precz! — słyszycie! — I odstąpią go, muszą, wszyscy, krom waszych.

Srom wam i hańba, stary! — Srom i hańba na ród! Odolaj drżał z gniewu.

— Gdybym oczy miał, dawno byś ty dłoń moją poznał! — Zakrzyczał.

Mściśław się śmiał, Hyż zawarczał.

— Przybyłeś mi się tu urągać na moich śmieciach? — zawołał Odolaj.

— Nic — rzekł pan z Bużenina — ja ci przyszedłem oznajmić, abys posłał po nich i ratował siebie i ich. — Mam litość nad twemi włosami siwemi — ale nad ich krwią, nie mam litości.

Ślij do nich z przykazem, zaraz..

Stary głową trząść począł.

— Tak — rzekł — poślę — a ty, tu legnij mi, leż i czekaj, ażebyś był świadkiem co im rzeknę.

— Ja? — leżeć? czekać? — rozśmiał się Mściśław — a maszże ty taką siłę co by mnie przykuła choć na pół dnia do ziemi. — Ja muszę jechać, wołać, budzić. — Gere! — Aby wszyscy szli jako do ognia przeciwko niemu, na niego.. Wyklęty jest! — Precz z nim! — Wyklęty!

Odolaj wstał i poczał się zbliżać na głos idąc, ku niemu.

— Niech cię tam słota niesie i winha! krzyknął — jedź, biesie, na złamanie karku; ażebyś mi tu był trzeciego dnia na zarani, jeżeli cię Lich nie porwie. Roznmiesz! — Trzeciego na zaraniu!

— A czemuż to ja mam twoich rozkazów słuchać? — Spytał Mściśław.

— Bom ja stary i ślepy, a tyś wściekły i bezrozumny! ty — ty, coś się w jednej niewieście do szalu rozmiłował, że ci oczy zabiegły krwią a serce zemstą. — Jedź, jedź, a do trzeciego dnia byś mi tu był — a nie będziesz — daj cię wiley szarpali.

— No, to będę — rzekł Mściśław.

Ani słowa nie mówiąc szedł zaraz wprost do konia, który się paś na murawie, głowę mu podniósł, skoczył nań, a gdy siadł, Hyż nie pytając pana o pozwolenie nagle się kopnął aż do szkapy, rwąc się jęj do pyska i przeprowadzając go szczekaniem zajadłem aż za wrota. Gdy Mściśław już za bramą był, pies ziemię zębami po-

chwycił i gryźć ją począł ze złości. Stary wcale mu tój zabawki nie wzbraniał.

Oko stojąc przy starcu, śmiał się po cichu ze psa i ruchami rąk jeszcze go podszezuwał.

W tém Odolaj się odezwał.

— Oko, skocz mi duchem po Kota, a sam usiadł na wałach i pies zmęczony przyszedł mu się u nóg położyć.

Biegiem poleciało chłopię i natychmiast przywiodło z sobą parobka, który do pana się zbliżywszy do nóg mu się poklonił.

— Jest Kot? — Zawolał stary. Konia mi weź zaraz i leć do Krakowa, — moich znasz co tam są?

— Znam, panie.

— Pierwszemu którego spotkasz powiedz że Odolaj dziad przykazuje mu, aby natychmiast konia wziął, niezważając na nic do Jakuszowic się stawil.

Ledwie to rzekł, Kot już był na powrót w szopie, sukna kawał na konia rzucił, pędził we wrota i zniknął.

Odolaj tego dnia nie przysiadł ani spoczął, nogami staremi całe swe zameczysko schodził w koło sto razy, a co się położył ze znużenia, to zrywał natychmiast jakby go co piekło i gnał znowu.

Tyta widząc że ojciec się zamecza, przyszła do niego z prośbą, aby wypoczął trochę, ofuknął na nią stary.

— Babo, ślepsza odemnie, idź do kąta kądziel  
przaść, co ci do mnie!

Oko chodził za starym płacząc i drżemiąc;  
Hyż w końcu położył się w pośrodku dziedzińca  
na trawie i wzrokiem tylko za panem wodził.  
Tak było i tego dnia i drugiego. Nocą wreszcie  
legł starzec i zasnął mocno, ale nadedniem o brza-  
sku zerwał się znowu i wyszedł.

Czuł że dzień musiało — podśnuchiwał czy kto  
nie jedzie? — Nie było nikogo. — Bydło wypę-  
dzali dopiero na rosę i stadnina z noclegu po-  
wracała.

Stary wdrapał się na sam wału wierzchołek,  
Hyż nosem ciągnął powietrze i pomrukiwał jak  
był zwykły, gdy zdala co poczuł.

— Jada! — rzekł stary.

Widać nie było, słyhać nie było — czuć było.

Zszedł Odolaj podparłszy się na ramieniu Oka  
i potoczył do izbicy, siadł w rogu jój, pies się  
na swoim barłogu położył — czekali.

W tém tętnić już i brzęczeć zaczęło na dro-  
dze, wrota skrzypnęły, koń zarżał, chód słyhać  
było żywy i zgrzany, zmęczony, ocierając pot  
z czoła wszedł Dobrogost.

Stary z kąta zapytał tylko.

— A który tam!

— Dobrogost Mszczujów.

— Hultaje jacyś — poczał Odolaj — psy par-  
szywe — co wy sobie myślicie? — Czém ja dla

was? — Kto wy? — Gdzie nasza krew? — Macie wy ojców? — Kogo wy słuchacie?

Dobrogost milczał, czując go rozsierdzonym mocno.

— Z królem trzymacie! — Dodał Odołaj.

— Inaczéj nie możemy, ośmiał się Dobrogost. Król pogiębiony i opuszczony.

— I hędzie zgębiony na proch, na nic, dodał stary, zczęźnie! — W tém wyrazy mu w gardle zastygły, znowu tentent słyhać było i wrota skrzypnęły, wbiegł człowiek, stanął a dyszał.

— Otom ci jest, masz mnie!

Oglądał się do koła ohłakauym wzrokiem. Stary szepnął. — Wiem — Mścislaw. On to był, w téj saméj odzieży zbrukanéj i odartéj; czarny, żółty, osmołony, z oczyma palącemi się i usty spiekłemi a krwawemi. Stojąc tak dojrzał u drzwi ceber z wodą, i zamiast czerpakiem się jěj napić oburącz chwycił ceber, do ust go sobie chyląc. Pił strasznie, bo mu wewnątrz gorzało.

— Słuchaj, wścickły człecze — odczwał się stary gdy ceber postawił — oto masz przed sobą zwołanego tu Jastrzębia. — Słuchaj co mu powiem, — wypieram się ich wszystkich do nogi, jeżeli przy królu zostaną. — Kazałem i rozkazuję precz ze dworu iść.

Mścislaw zwrócił się do Dobrogosta.

— Cóż ty? — co?

— Ja mówię dziadowi że my nie możemy iść — nie pójdziemy, odezwał się Dobrogost nieśmiało.

Srom mówicie z królem trzymać, a srom też ze strachu go rzucić, gdy wszyscy idą precz.

Starsi nasi postanowili, nie pójdzie żaden z nas teraz, a szyję będzie trzeba, to damy.

Starzec aż się porwał z kąta.

— Ty padalcze — śmiesz!

— Ubijcie mnie jeżeli wola — odpowiedział spokojnie Dobrogost, nie mogę rzec inaczej. — Wszyscy przy tem stoją, ja się od braci oddzielić nie mogę.

Czy Sreniawy zostaną, czy Drużyny dotrzymają — niewiem, a Jastrzębcy trwać przy nim będą.

To nasza powinność.

Mściśław mu plnął pod nogi.

— E! — Plemie niewolnicze! — raby, slugi cherlawe! — parobki królewskie..

W tej że chwili Dobrogost mu do gardła przyskoczył i ścisnął je tak w silnych rękach, że Mściśław posiniał cały. Chciał mu się wyrwać, niemógł. Miotali się niemówiąc słowa, Dobrogost dusił go w śmierć.

Stary posłyszawszy ten ruch, domyślił się co się stało i ryknął głosem ogromnym.

— Puść mi go zaraz bo cię zasieć każę.

— Tobie dziadzie, wolno zrobić ze mną co zechcesz—krzyknął Dobrogost, ale tennu psu wara!

Mściśław puszczony ze strasznego uścisku, zatonął się i upadł na ławę. Oczy jego zbladły stały nieruchome, wargi mu drżały.

Stary Odolaj stał kijem bijąc w ziemię.

— Wiesz ty — zawołał do Dobrogosta się zwracając, ktom ja?

— Dziad nasz — rzekł Dobrogost, który ręce krwią nabiegłe ocierał.

— Siwa głowa rodu, poczał Odolaj, ojciec ojców waszych, com wam wszystkim żywot dał, co ma prawo każdemu z was żywot odebrać, bom go nie dał na hańbę ale na poczeiwość.

Dobrogost walką z Mściśławem był rozgorączkowany i zburzony.

— Tak, zawołał — jesteś ojcem ojców naszych, żywot weź, jeżeli chcesz, a do podłości nas nie zmuszaj. Podłość mówicie takiemu panu służyć, a no gorsza jakiegokolwiek rzucić gdy ginie, tego i psy nie robią.

Mściśław odszedłszy nieco, pluł krwią i kłął cicho.

— Czyńcie tak! — rzekł — czyńcie! — A no dobrze! — Z nim razem i ze psami jego pójdziecie precz z ziem naszych. — Scierw waszych żaden cmentarz nie przyjmie, wilec chyba się nad nimi zlitują! — Idźcie z nim! — Idźcie!.

Dobrogost zamiast mu odpowiadać, jakby nie słyszał co mówił, odezwał się do starego.



— Gdyśmy na dwór do króla przystawali kto nas tam ślał? — A no wy sami, ojcowie i dziady.

Pędziliście nas do niego i mówili, wierni mu bądźcie, miłujcie go, szanujcie, służcie mu. Takeśmy uczynili wedle rozkazania. Teraz żądacie znów byśmy tonącego rzucili i wypowiedzieli służbę, kiedy wszysej nań biją?

Odolaj mruczał.

— Jaja mędrsze od knr. — Jak to się tam nauczyło dworować — a czyjeż rozkazanie mocniejsze ma być czy krwi waszój czy króla?

— Krewże nas własna królowi oddała — rzekł, Dobrogost.

— No, to gińcie i przepadajcie z nim razem! Zakrzyczał Mścisław.

— Będziemy stać przy nim i nie zginiemy — zawołał Dobrogost ośmielając się coraz bardziej.

Garsć nas jest, ale król w potrzebie na Ruś zawoła i na Węgry, przyjdą doń. — Wszystkich wrogów swoich zgniecie i wytępi.

Nie zwyciężyliście jeszcze nas, wy, z klechami waszemi! — dodał zwracając się do Mścisława.

— Hej! — hej niecnoto jakiś! — nim mu Węgry przyjdą i Ruś nadciągnie — nogi was tu nie stanie — krzyknął Mścisław.

— A no! — odparł obojętnie Dobrogost.

— Wszystkie ziemie i powiaty, i co żywo u nas, przeciw wam, wołał pan z Bużenina.

— Ino z królem lud i gmin! — odparł Dobrogost, a na was ziemian garść i rycerstwa dość będzie i tych z pałkami.

Już miało znowu przyjść do łajania, do razów może, gdy Odolaj gwałtownie w tok kijem stuknąć począł.

— Milez ty, kobuzie jakiś — krzyknął.

Dobrogost głowę spuścił, usta zaciąwszy a Odolaj zwrócił się do Mściława.

— Otoż masz, widzisz ty, wścieklico, rzekł — że ja rodowi mojemu nie folguję. — Widzisz com im rozkazywał, słyszysz co mi te gołowasy gadają. — Jam niewinien.

— Tyś winien — gwałtownie wybuchnął Mściław — ty i twoi! — Pocięcie ich dali pookuwać w te dyby. Rzuciliście ich sami w tę kupę gnoju i dziwujecie się teraz że gniją?

Odolaj w pierwszej chwili gniewu, kij podniósł do góry, zamierzył nim, jakby go chciał uderzyć — i opuścił bezsilnie. — Gościem był.

Mściław dyszał wyciągnięty na ławie. — Znużeni zamilkli wszyscy czas jakiś. Pan z Bużenina oglądał się i przysłuchiwał niespokojnie. Czekał on przybycia tych, którym oznajmił że ma być w Jakuszowicach i wezwał aby w pomoc przyszli. — Szło wszystkim o to aby króla Boleszczyce, ile ich było, opuścili.

Sobie i Odolajowi nie ufając, Leliwę, Kruka

i Brzechwę napotkawszy, stawić się im kazał do Jakuszowic tego rana.

Czekał azali nie przybędą.

Dobrogostowi stać jak przed kościołem w kunię, miło nie było — i ozwał się szorstko.

— Jeżeli miłość wasza, jużescie wszystko rzekli co chcieli — azali nie odpuscicie mnie?

— Idź na skręcenie karku! — krzyknął Odolaj — idź. — Między muą a wami niema już nic, ani na pogrzeb mój nawet nie śmiejecie przyjść. Czeladź was kijami od trupa odpędzi...

Dobrogost ruszył się już.

— Spieszno wam, szydersko i gniewnie odezwał się Mściśław — wstyd, srom... Strzymajcie się, jeśli odwagę macie, przybędą tu inni jeszcze co wam od wszystkiego ziemiaństwa rzekną, co was czeka... Warto słuchu...

Stary się zachnął zagniewany.

— A kogoż wy tu do mnie, śmieliście nawoływać? — Wy! — do mnie? — a to jakim prawem?

— To sprawa ziemiańska — odezwał się Mściśław, a wyż kto? — Każdy dom dla niej powinien być gospodą, chce czy nie.

Nie na to nie odpowiadając Odolaj poszedł z kijem do kąta i położył się — Dobrogost szedł do drzwi.

— Czeka! — zakrzyczał Mściśław. — Czy się boisz! — Stój, gdy mówię, starszyzna przyjedzie. — Boisz się!

— Ja! — oburzył się Dobrogost.

— Nie boicie się to przystańcie mało, bo oto jadą — dodał Mściśław, zaraz ich będziecie miał.

W istocie Leliwa i Kruk przybywali. Gdy w sieni już ich usłyszał Odolaj, ruszył się, zły był, mruczał sam do siebie.

Gdy wchodząc zaczęli pozdrawiać gospodarza zaledwie im pół głosem odpowiedział. Mściśław powstawszy z ławy, wskazał na stojącego w kącie Dobrogosta.

— Oto macie, jednego z tych Boleszczyców. — Dziad mu próżno mówił, próżno kłął, jeszcze wy powiedźcie co macie.

Leliwa oczyma szukał Dobrogosta w ciemnym kącie izbicy.

Widząc to obwiniony śmiało naprzeciw okienka wystąpił.

— Cóż wy mi rzec macie? — spytał zuchwale — co?

Zmierzył go oczyma od stóp do głów stary.

— Butne pany! zawołał. — Co my wam mamy rzec to krótkie słowo, tak jak z wami sprawa będzie krótka. — Król nas chłopom chciał sprzedać, kościoła nie szanował, i my go i kościół znać nie chce. Kto z nim trzyma, przeciw nam idzie, wróg nasz. Rozumiecie? — Chcecie z nim zostać! — toście nie bracia nasi, ale wywołańcy, którego pochwycimy głowę da. Majętności i ziemi wasze zabrane będą, bo ziemi nie wart mieć

kto jój nie broni — i swój braei. — Oto eo was ezeka.

Zaprze się was ród, zaprze ziemia, będziecie zaprzańcami, głowy wasze zdejmie kto zechce.

— Byle mógł — odparł pogardliwie i szydersko Dobrogost. — Co ja wam na to mam powiedzieć? Nie. — Kto głowę nałoży to Bogn wiadomo, a eo my czyniemy, wiemy dla czego. Sumienia naszego nikt nie ma prawa sądzić, ino my sami.

A eo więcój? — spytał w koñen.

Kruk popędliwie wtrącił.

— Jeszeze wam mało?

— Upamiętajecie się, łagodniej poezął Leliwa — choć sprzeniewierzona, wyście taki nasza krew. Zal was. Poszaleliście z szalonym królem waszym. .

On już nie król.

Dobrogost ramionami ruszył, i powtórzył znów obojętnie.

— A eo więcój?

Kruk się zżynął, rękami rzucił i odwrócił od Dobrogosta, jakby nań już patrzeć nie chciał.

Mścisław oburącz przebierając we włosach, darł je z głowy.

Gdy zamilkli, Dobrogost, który nabierał odwagi i gniewu razem, odezwał się.

— Ja powiem wam jeszeze jedno!

Ani pana ani nas tak łatwo jak się wam zdaje mieć nie będziecie. Poleje się jeszeze krwi

dnzo, poleje! — Macie wy siłę, ma król téż swoich. — Wy sprowadzicie Czechów, on Rusinów i Węgrów. Będzie to eo było za Kaźmirza, gdyście wy wygnali precz z kraju pana, a potémeście na kolanaech prosić go musieli, aby do was powrócił. — Za to was pan nasz miłować ma żeście jego rodzica wyganiali? — A kto to nezynił jak nie wy? Dziś jego preez ehecie wyżenąć, aby wam z biskupami panowanie zostało!

Próbujecie! — Król pewno nie pójdzie jak Kaźmirz po dobrój woli.

Kaźmirz król inny był, wygnać go łacniej było. Na Bolesława ehoćby i kłątwa padła — twardy pan nasz, nie zgniecie go.

Ludu przy nim zostanie dosyć, aby na obronę przeeciw wam stało..

Wy naszymi głowom grozicie, niewiem eo z waszemi będzie.

Leliwa słuchał nie przerywając.

— A no! — a no! rzekł — lepiój nam z księżmi i klechami, niż pod jego różgą na równi z ehłopy i niewolnikami.

Wszystkim się już od téj mowy swarliwój twarze paliły. Mówić nie było eo więcéj, ehya łajać i bezeześcić, a odgrażać.

Dobrogost spojrział po nich, zawrócił się i zwolna szedł ku drzwiom preez. Zwrócił się ku Odolajowi.

— Głową ojen pann! — odezwał się.

— Ja was znać nieehę! — krzyknął stary.

Zwij sobie ojcem psa rudego.

Słyszysz — idź mi won.

Wśród śmiechu wyszedł Dobrogost. Kipiało w nim. Za progiem stanął tchnąć tylko, tu nań stara Tyta czekała.

— Cóż wy tu robicie? — zapytała — jam was po głosie poznała. — Stary na was zły! — łajał.

— Cóż! — przyszedłem tu na jego rozkazanie własne, aby mnie przy obcych, na wspólnie z nimi zesromocił. — Bywajcie zdrowi, ciotko miła, już tu bodaj noga nasza nie postanie. — Przyszło nam na to, że dziad wygnał..

Zdrowi bywajcie!

To mówiąc Dobrogost za próg się wysunął, spojrzął po starém swém gnieździe spokojnem, które porzucił na zawsze, wypędzony; ciężko mu się stało, lecz zmienić co czynił już nie mógł.

— Stanie się co ma być! — rzekł w duchu.

A stary Odolaj znowu leżąc w kącie mruzczał.

— Krew nasza! — Psubraty! — szyję dadzą a woli ich nie złamać. Biciem nie nie zrobisz z nimi, ani groźbą. — Krew nasza!

Dobrogost do konia się swojego brał, gdy za nim i Mścisław się wysunął. — On także nie miał tu już co czynić — musiał jechać dalej, wioząc z sobą nawoływanie do zemsty.

Dobrogost dał mu się wyprzedzić i z wolna pociągnął nazad ku Krakowu.

Porzucił był zamek wśród niezty, a gdy wrócił nań zastał go jeszcze gwarliwszym, pełnym ludziami halasu i śpiewu.

Nadjechali do króla Rusini, których przyjmował ohocho, rad że mu się goście obezy trafili. Drugi już dzień na zamku trwały szalone igrzyska.

Konni się nganiano, eiskano włócznie, z łuków strzelano, król dawał nagrody, a strojnój Krysieie i żeńskiemu dworowi królowej siedzieć kazał, przypatrywać się, pieśni śpiewać, i dodawać wesela.

Gdy Dobrogost wjechał w tę wrzawę i tłum, potem eo slysział i eo wycierpiał, jakoś mu to się nie milēm wydało, że król mało o sobie myślał, nie waząc odgrózek, lekko brał eo nań eiagnęło, Dobrogost czuł że tu na niezty ezasu nie było. Okoliece które przebył, ludzi których spotykał, eo się o uszy jego obijało, oznajmywało że wszyscy się w obronie biskupa przeziw królowi gotowali. Lud, choćby go Bolesław miał za sobą, nie wiele mógł; z ziemian z nim nikt prawie nie trzymał, z rycerstwa znaezniejsza ezeńć i najdzielniejsza, po kijowskiej sprawie go odstąpiła.

Tymczasem król uragać się zdał niebezpieczeństwem, im ono widoezniejszem się stawało, tem mniżej okazywał że je widział i czuł.

Tego wieczora szczególnieź huezno na zamku było, niezutowano w podworcach, na wałach, tak aby wszyscy widzieli iż król się nie trwożył.



Beczki wytaczano jedne po drugich, z miasta i przedmieść czern, choć wiedziała że biskup zabraniał zbliżania się do króla, oprzeć się nie mogła ponieć jadła i napoju.

Lud też zawsze był przywiązany do niego, czując że miał w nim opiekuna, a kościelnych klątw nie wiele rozumiał i w wierze mocen jeszcze nie był. — Gdy brakło ziemian i rycerstwa, on zastępował ich u stołów. Król dla oka i dla swawoli wielu z nich poprzyodziewać kazał bogato; co im równie jak miód głowy zawracało.

Dworni królewskiej ta czern co się na równi z nią stawiała, nie bardzo była do smaku, lecz pokazać tego nikt nie śmiał. Gdy we łbach zaszumiało, cała szorstkość i dzikość ludzi tych wychodzić na jaw poczęła, i uczta zmieniła się w istny szal, wśród którego zaledwie król już był poszanowany.

Ci co wczoraj głodni włóczyli się w łachmanach, a na których dziś powdziejano jedwabie, i do syta im dano najprzedniejszego napitku i jadła — pamięć straciwszy, sami się królami sądzili.. Głowy się zawracały.

Boleszczyce stojąc przy królu i za nim, ostro na to patrzali, ale król sam śmiał się i podżegał jeszcze zbyt knujących, rzucając im, jak kości psom do gryzienia, nazwiska znicznawidzonego sobie rycerstwa.

Jednego z charłaków kazał przybrać niby

w biskupie szaty i dać mu na głowę czapkę o dwu rogach, a w rękę kij zakrzywiony — dopiero z niego strojono żarty, a on się popisывał z bezwstydy..

Widząc że wolno obelgi miotać i bluźgać, ludzie też gąb nie żalowali. Za każdym słowem dobitniejszém, ciżba śmiechem odpowiadała jak chórem.

Na tę zabawę, wśród której nikogo nieoszczędzano, natrafił Dobrogost, i właśnie się w tłum wniósł, gdy mieszczanin Sroka, którego odziano w opończę wyszywaną, szлык i łańcuch, na rycerstwo całe wydziwiał, żony ich i domy beczeszając.

— Hej! — panku na Bużeninie! wołał pijany — a gdzie żonka twoja? — Wysoko polciało białe ptaszc — wysoko! — Siadło na złotej jabłoni, a tyś goniąc za nią wlaś w błocko po kolana!

Krysta słuchając, twarz zakrywała zarumieniona, łzy się jej w oczach kręciły. Wstyd jej było po raz pierwszy może, być tak wziętej na języki przy ludziach i w oczy — ale król, patrzył na nią śmiejąc się i jeszcze mówiącego podżegał.

— Hej panku Leliwo — ciągnął Sroka dalej, któremu król dolewać kazał. — Panku Leliwo! — z tobą gorzej być może! — Król ci nie żonkę weźmie, bo stara i nie harna, ale siwą główkę, zctnie jak makówkę i każe zatknąć na płocie aby sobie przeschła..

Śmiech się znów rozległ jak grzmot do koła.

Sroka siedząc u stołu na miejscu które dawniej pany zajmowały, pysznił się, nadymał, rozpierał, szłyka poprawiał, pił ciągle i na króla tylko patrzył, czy mu to miłym było.

— Ej! ej! — mówił popijając — mnogo im nasze parobczaki żonek nazabierali — a no to tylko za nasze dziewczki po dworach plać! Resztę im jeszcze białychgłów odjąć trzeba, aby się plemie nie rozradzało! Dosyć było ich panowania, za naszego króla przyjdzie kolej na tych co byli spodem, żeby na wierzch wyleźli. Kto wieszał tego powiesz, kto ścinał tego zetną, reszta co zostanie, do plugów ich zaprzężemy i, batem po uszach — wiu hot! Niechcieli pana słuchać dobrego, będą złej pletni słuchać musieli — wiu hot! po uszach!

Lndzie się aż kładli ze śmiechu, król twarz też miał wesołą, tylko drużyna pańska, ziemian dzieci, burzyła się i krew w niej wrzała słuchając.

Sroce się gęba nie zamykała.

— Królu, panie miłościwy! — wołał kubek podnosząc — daj ci Boże panowanie na długie lata. Tyś się nad nami litował, my tobie służyć będziemy, krwią i potem... Pójdziemy za tobą w ogień i wodę.

Niechaj się panowie rycerstwo policzą, zobaczymy kogo więcej, czy mrówek na polu, czy

ptastwa co nimi żyło. — Setne lata panu naszemu! Setne lata!

I pili tak a wywoływali, król z Rusinami siedział i słuchał. Wśród téj wrzawy, bracia postrzegłszy że Dobrogost powrócił, na stronę go odeciągali, aby się od niego dowiedzieć z czém przybywał.

Wprawdzie z lecia mu się tego było można domyśleć, ale posłyszeć chcieli, jak tam było.

Odeszli z nim na podsienie, kędy nikogo nie było i gdzie tylko pijane dochodziły śmiechy, i Borzywój badać począł, co się w Jakuszowicach działo.

— Co ma być! — rzekł Dobrogost, tam toż samo co wszędzie — albo to nie wiecie! Żle dla nas słyhać i dla pana. Stary dziad o mało mnie od siebie nie wyszczuł psami, a z tym... Mścisławem musiałem się chwycić za bary, i tylko żem go nie udusił.

Leliwa i Kruk gardłem nam grożą, mówią że kogo z królem pochwycą, żywcem nie puszcza. Ot co słyhać. Rycerstwo i ziemianie zjeżdżają się, gromadzą na głos duchownych — jeden wszędzie krzyk: „król wyklęty, znać go nie chcemy“ Spotykałem po drodze poczty zbrojne, dobrze żem z życiem uszedł, Boleszczyce razem z Bolesławem wyklęci. Nie będąc silny, coraz się musiałem w las kryć przed zbrojnemi kupami.

Mścisław szalony objeżdża dwory, nawołując

przeciw królowi, za swój i całego ziemianstwa srom i hańbę: za biskupa i kościół!!

A stary dziad, jak niegdy, tak teraz, kijem stuka i precz nam każe iść od króla — preez a preez, albo żebyśmy się jego rodem zwać nie śmieli.

To mówiące westchnął Dobrogost.

— Od króla iść! po ezasie — odezwał się Borzywój — teraz, kiedy na niego wszysey szezują!

— Mówilem to staremu, rzekł Dobrogost, za to mnie ze psy królewskimi porównał i preez wygnał.

Stożący w koło Boleszezye zadumali się smutno.

Działo się to na ubożu, ale niedaleko od zastawionych stolów. Jastrzębey kołem oblegali Dobrogosta, mileząc a myśląc nad tém eo im przynosił, choć nowego dla nich nie było... W tém król z siedzenia swojego ruszył, obejrzał się i ku nim zbliżyć zaezwał.

Wiedział on o wyjeździe Dobrogosta, domyślił się pewnie nad ezem naradzać się mogli, przystąpił do nich — w oezy im spozierając jakby czytać cheiał eo myśleli.

— Czy i wy tu już kupą stoicie, jakbyście kupą odemnie iść cheieli? — zapytał szydersko.

Borzywój zwrócił się doń ze smutną a żałościwą twarzą.

— Miłościwy panie, rzekł — nie krzywdźże

tych eo wani służą wiernie. Wyrzekliśmy się swoich dla eiebie a z drogi już się nie zawróciemy.

Król, nie odpowiadając mu na Dobrogosta nastąpił.

— Coś ty przywiózł!

— Z ezémem jeebał z tém wróciłem, rzekł zapytany — niema tam o ezém mówić, zjemy eo nam zgotowano, nie dzieląc się, bo niesmaezna strawa. — Miłościwy pan tyle powinienes wiedzieć, że zdrajcami nie będziemy.

Król zmierzwszy ich oczyma, zawołał:

— Za wierność waszą — weźmiecie eo zeehecie, ehoćby pół królestwa mojego.

W tém Borzywój mu się do kolan pokłonił i rzekł z wymówką.

— Miłościwy panie, a eoby taka wierność była warta, za którą płacić potrzeba.

Król zmilczał, uderzył go tylko po ramieniu, a Borzywój ośmielony, poezął stanąwszy przed nim.

— Dajcie słówko rzec, miłościwy królu — a nie gniewajcie się.

Na zamku prawda wesoło, a no pod zamkiem groźno. Ziemianie się kupią. Biskup nie śpi, rycerstwo się zbiera — nas garść — nas garść.

Król się do tłumu i ezerni odwrócił i rzekł wskazując nań.

— Posłuchajcie no jak ta sroka skrzeczy! — Polieziecie no tych druhów moieh co tam siedzą — albo to oni rąk nie mają jak ziemianie? — A ma-

ło ich jest? — A co jest ich to moje! To ziemianstwo nowe, i rycerstwo... Ja innego nie potrzebuję.

Słuchajno jak ta sroka skrzeczy? — to gęba tego tłumu. Co on myśli na trzeźwo, ten po pijanu wygaduje... Niebóje się, rycerstwo i ziemianie nie zrobią mi nic. Gdy zechcę a skinę gniazda ich zrównam z ziemią.

Gdy król mówił, patrzali nań Boleszezyce, jakoś niedowierzająco i prawie litościwie, aż Borzywój do nóg mu się skłonił, i rzekł.

— Królnu panie nasz. — Lud ten do krzyku i wrzawy dobry jest — a do roboty on licha wart! Czy my go nie znamy! — Aby się napił, a najadł, a dobrze mu było, tak samo jutro ziemianom krzyczeć będzie, jak dziś Tobie. — Spłoszy się to łacno jak zajęce, choć pokrzykuje a odgraża się, gromada duża a pociecha z niej nie wielka. Dziesięciu zbrojnych a mężnych skoczy na nich i tysiąc tego robactwa rozpędzi i zmiażdży.

Król słuchał cierpliwie, odważył się przeto Borzywój wypowiedzieć co na sercu miał, i ciągnął dalej.

— Miłościwy panie, darujcie mi mowę moją. Nam kędyś po posiłki ślać potrzeba, niepodolamy im.

Małeż to wojsko jest któremu biskup dowodzi co po wszém świecie rozsiane, jednego wodza słucha? — Kędy kościół i parafija, wszędzie u niego

rycerz z poczem stoi. W każdej wsi swojego mają — dwór z księdzem gdy sobie ręce dadzą.

Król pogardliwie głową potrząsał.

— U nich dwoje rąk czy czworo, a gromada we wsi — moja!

Zamilkli wszyscy, tylko Dobrogost szepnął.

— Daj Boże by tak było.

— Tak być musi — rzekł król.

Borzywój głowy ruchem zaprzeczał. — Nie wszędzie tak będzie, szepnął — nie wszędzie.

— Tchórze i baby jesteście, gwałtowniej wybuchnął Bolesław oburzony. — Jednego klechy, a choćby i stu i kupki ziemian miałbym się lękać i za posiłkami ślać!!

Zmleżeli wszyscy.

— Ja im igrać i odgrażać się nie dam długo, dodał król. — Prędko się wszystko skończy.

Padnie popłoch na nich i rycerstwo z ziemiany na kolanach przyjdzie łaski i miłosierdzia prosić.

Król się odwrócił.

— Co moich jest tu — rzekł odchodząc — wszyscy żeby byli mi gotowi.

Znając króla nieustraszone męztwo i żelazną wolę, Boleszczyce nieśmieli mu się ani przeciwieć ni odzywać więcej. Gdy odszedł popatrzali na się smutnie. Widzieli go oni nieraz, w wojnach które prowadził, w kilkadziesiąt mieczów rzucającego się na tysiące, ale tu gorszy bój się zwia-



stował niż w otwartém polu, a samo męztwo nie starczyło.

— A no! będzie co losy zrządzą! — westchnął Dobrogost.

— Król ma szczęście — dodał Borzywój.

Inni szeptali między sobą, wtém król nagle od stołów zawrócił ku nim znowu. Szedł krokiem prędkim i nachmurzony, odezwał się do Borzywoja.

— Prawda to, że biskup mi broni kościoła?

— Tak mówią — odparł Boleszczyce.

— Klecha ten śmie przedemną zamykać kościoły które moi dziadowie im pobudowali! — Mnie, ma być wnijsć nie wolno!

Wstrząsł się cały.

— Trzeba choć poprobować czy do kościoła nie wpuści — począł szydersko. — Na zamek już nie chodzi, boi się!

— Na zamku od tamtego dnia kościół zaparty — rzekł Zbilut.

— A na Skalce mszę prawi? — zapytał Bolesław.

— Tak jest, codzień na zaraniu dzwonią na nią — odpowiedział Borzywój.

— Jutro zemną, wszyscy, na Skalkę! — oko w oko spotkamy się z obrzydłym klechą.

Niektórym z nich poblądły twarze.

— Miłościwy panie — ośmielił się wtrącić Dobrogost — Kościół.

— Milcz — zawołał król. — Gdzieindziej go nie chwyćę, bo uchodzi lis przedemną. — Jutro rano, wszyscy na Skalkę...

Nikt się już odzywać nie śmiał. Król odszedł do stołów.

Gdy się to działo na podsieniu, u węgła stojący człek jakiś, sparty o ścianę, który wszystko mógł słyszeć, wysunął się natychmiast i zniknął w mroku.

Za stołem Sroka jeszcze zabawiał króla i gości, gdy człek ów, wyniósł się z zamku i korzystając z ciemności i zamieszania, zbiegł drogą ku miastu i Skalce.

W biskupiém mieszkaniu świeciło jeszcze; gwałtownie zapukał do drzwi. — Nierychło otworzył mu czuwający kleryk.

— Z Biskupem mówić potrzebuję, rzekł młody człek, który opończą szarą starannie ubranie swoje okrywał, i wielce zdawał niespokojnym

Kleryk rzuciwszy nań okiem, pomimo opończy, poznał strój Boleszczyców dworski, odstąpił parę kroków, i rzekł twardo.

— Królewski jesteś.

— Choćbym i królewskim był, czy przeto z biskupem mówić niemogę?

— Żaden z was na próg tego domu nogą stąpić nie ma prawa — precz — ani się waż!

I drzwi zaraz zatrzasnął.

Lecz przybyły upartym był, i tém gwałtowniej

się dobijać zaczął. Rachował na to może iż biskup posłyszysz stukanie. — Powtórnie ukazał się ten sam kleryk ze starszym duchownym, który rozwarłszy drzwi, groźnie przybysza precz gonić zaczął.

— A nie pójdziesz ty mi ztąd zaraz — a nie pójdziesz!. Precz — precz!

— Ja z biskupem mówić muszę — odparł stanowczo młody chłopak.

Był to z Boleszczyców najmłodszy Andrek.

Spierali się tak głośno u drzwi, bo uparty chłopak nie tylko ustąpić nie chciał, ale pracę drzwi, zamykać ich nie dawał, gdy wręście wrzawą tą ściągnięty sam biskup się ukazał.

Kleryk i ksiądz zwróciwszy się doń, tłómaczyć mu poczęli co za człowiek był, i dla czego mu wnijsie tamowano, gdy Andrek gwałtem prawie się wparłszy do środka, sam stanął przed biskupem.

— Ojcie miłościwy, rzekł prędko, jeżeli się tu przyjść ważył, to nie w złej myśli — pozwólcie mi powiedzieć słowo.

Biskup milcząc wskazał mu na drzwi i sam go poprzeczając, wszedł do izby.

— Czego chcesz? zapytał.

Andrek, który pobożny był — pokłękł przed nim.

— Ojcie mój! poczał. — Uczyniliście już z królem panem naszym coście pożąдали, litość miejcie nad nim i nad sobą. — Jutro rano, każcie

zamknąć kościół wasz na Skalce i mszy w nim nieodprawiajcie! Zamknijcie dom wasz i do dnia ustapcie z niego. — Niech królewski gniew, który jest jak ogień straszny — przeminie...

Biskup słuchał spokojnie, ręce na piersiach złożywszy.

— Czegoż się jutro mam obawiać? — spytał cicho.

— Ojciec mój — ja, ja nie wiem, zawołał Andrek. Od króla i zapalczywości jego, wszystkiego obawiać się można. — A! panie! — miejcie litość nad nim i nad sobą!

To mówiąc do nóg mu się rzucił i ścisnąć je zaczął. Biskup go zlekka usunął.

— Nad sobą! — powtórzył uśmiechając się — a cóż wasz król mi uczynić może?

— Ja nie wiem! nie wiem — ale drzę i lękam się, mówił Andrek — słyszałem tylko jak nakazywał aby jutro z nim wszyscy pogotowiu byli iść na Skalkę, na mszę do kościoła. — A cóż — jeżeli mu przystępu wzbronicie?

— Wzbronię! jakom żyw! — zawołał biskup gwałtownie — noga jego chyba po trupie moim wejdzie do świątyni.

Andrek ręce załamał. — Biskup spojrział nań razem z politowaniem jakimś i dumą.

— Ja? zawołał jakby do siebie mówił — miałbym, Boga mając z sobą, ustąpić przed nim i cofnąć się, aby tryumfował że Boga zwyciężył

żelazem! — Miałbym się ulęknąć pogroźek jego i waszych. Chłopcze, małego serca i ducha, dobrym chcąc być, grzesznym jesteś. Ja nie człowieczą siłą, ale prawicą Wszechmocnego z nim wojuję.

Cóż on mi uczynić może? — Choćby krew moją przelać miał, tryśnie ona na niego i na plemię a ród jego. — Mnie da życie wiekuiste, a jemu — śmierć i potępienie.

Andrek drżał widząc biskupa w uniesieniu, niemal gniewnym i strasznym. Nieśmiało już mówić, wzrokiem błagał go tylko.

— Ojcie, zawołał wreszcie, głosem cichym — ojcie. — Król się może opamiętać gdy z gniewu ochłonie! — Pierwszy w nim ogień najstraszniejszy. Dziś w srogięj jest zapamiętałości, — po ojcowskuby było ustąpić mu.

— Jam mu już nie ojcem, ani on mi dziećciem, zawołał biskup unosząc się coraz bardziej i palcem na zamek wskazując. — Nie jest już ani królem waszym, ani bratem naszym, bo przestał być synem Ojca naszego Jezusa Chrystusa i matki naszej, Kościoła świętego. Zwierz to dziki i wyuzdany, bez opamiętania i rozumu.

Wyrok ten jak piorun padł na Andrkę, który stał błądy, ręce załamał i bezprzytomny palce sobie wykręcał, niewiedząc co począć. Chciał iść już, w tém biskup, który się parę razy przeszedł

po izbie, stanął naprzeciw niego, popatrzał nań z politowaniem i począł mówić powoli.

— Wy wszyscy, słudzy jego, co przy nim stoicie, co z nim jeszcze trzymacie, patrzcie abyście z nim razem w bezdno piekielne i paszczę szatana nie poszli. — Dlaczego nieodstąpiliście go! Wy to, wy; niemacie miłosierdzia nad nim i gubicie go. Gdyby co żyje odeszło od niego, gdyby jak od trędowatego pierzchnęli wszyscy, tedyby się może opamiętał i pokutował. — Dla czego stoicie przy nim?!

Andreku odpowiedzieć nie śmiał. To z czém przyszedł dokonane zostało, — nie przyniósłszy skutku, niemógł już nic więcej nad to, musiał powracać z przerażeniem myśląc o tém co jutro przyniesie, straszny ranek jutrzejszy.

Prośba moja o zmiłowanie daremna — rzekł chłopak smutnie, niech się więc stanie co Bóg przeznaczył.

Biskup go ręką tylko odprawił.

— Stanie się co powinno — rzekł a zaprawdę, nie godzi się mnie, ani cofnąć, ani ustępować, ani godziny odkładać, ani okazać jakoby się go lękał.

Wychodził Andrek, gdy w progu ukazał się stary benedyktyn O. Otton, kapelan królowej, który wybierał się do Mogiły.

Wielisława dowiedziała się od sług sobie wierznych, że król nazajutrz na Skalkę się wybierał.

Ogarnęła ją też trwoga, posłała szukać O. Ottona aby go do biskupa od siebie z błaganiem wyprawić. Benedyktyn niemógł się już ukazać na zamku, ani pójść ją uspokoić, lecz od Ochmistrza królowej dowiedziawszy się czego od niego żądała, przywłókł się do biskupa, z niewielką nadzieją, aby prośba jego wyjednać co mogła. Znał on nieugięty charakter i surowość ks. Stanisława ze Szczepanowa.

Wchodząc z poselstwem swem. O. Otto posyłał odprawę jaką biskup dawał Andrkowi Boleszczycowi, domyślił się łatwo z czém chłopak przyszedł, i zwątpił aby jemu szczęśliwiej powieść się mogło. Nie pozostawało mu jednak nie nad spełnienie posłannictwa, choćby ono daremnem być miało.

— Padnę mu do nóg — i będę go prosił! — rzekł w duchu — Bóg go natchnąć może miłosierdziem!

O. Ottona znał biskup nie wiele, widywał rzadko, u siebie go nie miewał nigdy, zdziwił się mocno zobaczywszy go o tej porze niezwykłej i odezwał się przystępując doń, po łacinie.

— A wyż z czém do mnie przychodzicie o tej porze, Ojcie Ottonie?

Biskup Stanisław Szczepanowski, jak wiadomo, w czasie pobytu swojego w Paryżu, oprócz szkoły biskupiej, uczęszczał też do benedyktyńskich. Miał nawet zamiar przywdziać suknię za-

konną i zachował zawsze miłość wielką dla synów S. Benedykta, których niemal za braci swych uważał. Dla O. Ottona, którego zdala tylko i z odgłosu znał, szacunek miał wiedząc jak cnotliwy staruszek wśród zepsutego dworu, samym przykładem swym wiele dobrego czynił i hamulcem był nieraz dla zbytników.

Zamiast odpowiedzi na zapytanie, O. Otton nie mówiąc słowa, przyklęknął przed nim, skłonił głowę siwą, i ująwszy rękę, pocałował.

— O przebaczenie naprzód proszę, przewielebności waszej, rzekł, iż śmiem z tą samą pewnie prośbą, z którą mnie człowiek ten poprzedził, — stawić się przed Pasterzem!

Ojciec wielbny — o króla i rodu jego losy przyszłe przywlokłem się was błagać. Dajcie mu czas — niechaj w nim płomień wygorzeje! — król z dziecka żołnierzem jest, prawa on nierozumie, władzy nad sobą nigdy nie czuł i nie znał. — Czas mu dajcie! Nie narażajcie własnego żywota drogiego, na wściekłość jego...

Biskup wysłuchał cierpliwie, oburącz potem podniósł z ziemi staruszkę, i patrząc nań dobrotliwie, łagodnie — mówić począł.

— Wyście to rzekli, ojciec Ottonie? — Wy? Kapłan? — mąż świątobliwy i uczony? Nieznacież, czy nie chcecie pamiętać historyi kościoła naszego? — Azali nie pomnicie co uczynił Ambroży, i nie chcecie mi dopuścić bym stokroć gor-



szego niż Teodozjusz człowieka, który nie Tessaloniczan rzeź, lecz tyle krwi niewinnęj, tyle zgorzenia, tyle plugawej rozpusty plam ma na sobie — wygnał tak precz z kościoła, jako mnie Ambrożego przykład naucza?

Chcecie więc bym ja, biskup ustąpił przed katem, abym ja kapłan uląkł się żołnierza? — Chrystus pan trwogi nie znał, i służy jego znać jęj niepowinni.

— Ojcie — odparł Otton z wolna, Teodozjusz był okrutnikiem, ale był chrześcijańskim monarchą, któremu światło ewangelij przyświecało, ten na pół — poganinem jest. Niebronię go! — nie ujmuję się zań, znam grzechy jego.! Nie o niego mi idzie, ale o was, pasterzu i o drogi żywot twój. Wściekły ten człek nie poszanuje nic, żadna go świętość miejsca ni osoby nie powstrzyma. Patrzałem nań, znam go — ojcie mój, drzę.

Biskup słuchając białe ręce złożył jak do modlitwy i łagodnie z powagą, odpowiedział O. Ottonowi.

— O moje życie wam chodzi! — Ojcie! dobry pasterz chętnie żywot daje za owieczki swoje! Cóż życie moje? co życie człowieka? — można li je lepiej dać jak za prawdę świętą i dla nawrócenia obłąkanych? Nie wyzywam go ani wyzwę, ale nie cofnę się wyzwany. Kościół na tej ziemi chwieje się, podwalin trwałych niema jeszcze; nie powolnością ale potęgą zakładać potrze-

ba ciosowe jego fundamenta. — A jestli do nich krew moja, jak wapno potrzebna, aby kamienie węgielne spoila na wieki?

To mówiąc biskup zadumał się głęboko i dodał z wyrazem pokory.

— Nie sędzę, ojcze mój, by mimo zuchwalstwa swojego, aż do gwałtu nademną posunąć się mieli, — lecz Bóg niech rozporządza. Stań się wola jego. O. Ottonie bądź dziś spowiednikiem moim i pozwól bym przed tobą wyznał grzechy moje. Zasnę potém spokojny, czekając co mi dzień przyniesie jutrzejszy. Żołnierzem Chrystusowym jestem, jeżeli mi za pana mojego życie dać przyjdzie — umrę szczęśliwy...

I biskup ukląkł przed świątobliwym staruszką do spowiedzi.

Na zamku ucztowano do dnia białego, dobrze się już na brzask brało, gdy Sroka tłum ludu napilego prowadząc za sobą, spuścił się z nim zawodząc huczną pieśń, drogą z zamku, około Skałki. Tu owe kupy stanęły umyślnie, nieco zdala i na urągowisko biskupowi, bo im tak przykazano, poczęły szaloną jakąś pieśń swawolną porykiwać, za każdą zwrotką wykrzykując dzikimi głosy.

Król ucztował także noc całą, spędził ją bezsenną, czekając poranka. Odziany i zbrojny, rozgorączkowany, oczekiwał dzwonka, który się miał odezwać wołając na mszę do S. Michała.

Dzień wschodził chmurny, z niebem mglistém, z światłem ołowianém, powietrzem chłodném, słońce mu przyświecać niechciało...

W progach dworca stała kupka Boleszczyców, na której twarzach widać było jakby na śmierć iść mieli i stracenie. Bledzi byli, drżący, niemówił żaden słowa. Jedni stali jak kamienni nie poruszając się długo, jakby zapomnieli że żyli; drudzy targali się z niepokojem chodząc, z oczyma w ziemię wlepionymi.

Na pierwszy głos dzwonka kościelnego na Skalce, Andrek który stał pod ścianą, upadł na ławę i zakrył sobie oczy. Inni wyprężeni słuchali, ku sieniom spozierając z kąd król wyniść miał.

Nakazaném było dać znać gdy się da słyszeć dzwonek — nikt jednak ani myślał spełnić rozkazu... Woleli karę znieść niż mu zwiastować ten głos, co im brzmiał jak pogrzebny dźwięk...

— Usłyszysz sam król — powiedział starszy Bo-  
rzywój — znać tak losy chciały, nie dojdzie go  
on? — niech się dzieje co chce!!

---

### III.

Po wczorajszej uczcie, gdy wszedł dzień, około dworców królewskich dziwnie wyglądało. Noc długo kryła biesiadne śmiecisko, gdy rozwidniało, odkryło się ono w całej szkaradzie swojej.

Czeladź spała wypróżniwszy resztę beczek, nie było komu pozbierać łomów i brudów, jakie noc zostawiła po sobie.

Naprzeciwno dworca stały jeszcze stoły poobnażane z nakrycia, powywracane i potrzaskane ławy; na ziemi leżał gdzieś kubek zgnieciony, stłuczony dzban, kości ostatki, psy chodząc i warcząc ogryzały.

Na boku wałały się beczki z dnami wybitymi, kadzie i cebry pogniecione, których nie sprzątnięto. Zielone gałęzie, co wczoraj do umajenia

uczty służyły, dziś śmieciem się stały, poobalane, w ziemię wdeptane, zmieszane z błotem.

W przedsieniach dworu, pod budynkami i okopami, na ziemi i ławach leżała rozpierzchła, uśpiona jeszcze, pijana gawiedź, ze psy razem. Dalej na wałach widać było precz wyrzucone dwa trupy tych co się na śmierć zapili, na w pół odarte. Czekwały one aż je gdzieś wywłoka.

Gdzieniegdzie stały brudne jakieś kałże, jedne jakby krwawe, drugie od samćj krwi ohydniejsze. Bili się i tłukli sklóceni, na śmiech drugim, a wielu z ranami i potłuczonymi wyszło głowami, nieczując kalectwa nawet.

Szczątki biesiady opowiadały jćj dzieje. Obok łachmanów leżały kosztownych sukien oderwane kawały, guzy zlociste i konopne sznury, rozerwane bursztyny nogami pokruszone i pobite garnuszki proste... Mężkie i niewieście czapki i chusty walały się spolem.

Ziemia, wczoraj porośła murawą, zmieszona była nogami, zgnieciona, zbita, a ślady nóg, rąk, głów odcisnięte na nićj pozostały wyraźne...

Skończyła się bowiem uczta, po odejściu króla, po wypróżnieniu ostatka w beczkach, jak szatańskie wesele — zwierzęcym szałem ohydny...

Na to obrzydliwe pobojuwisko wczorajszego królewskiego przyjęcia — spojrzeć nie było można bez wstrętu.

Stało ono długo nietknięte, aż nierychło zja-

wiać się poezeli parobey, którzy je oczyszczać mieli. Wychodzili przeciągając się, zaspani, szukali mioteł i łopat, wlekli się i stawali nad śmietnikiem zadumani, jakby czytając w niem, co ono wczoraj widziało... Podejmowali szczątki i rzucali je, śmieli się i pluli.

Zmęczona wczorajszą wrzawą, od której nie-rychło uciec mogła, Krysta spała długo — obudził ją dzwonek na Skalce u Ś. Michała, a potem zaraz tentent koni.

Zadrżała, zerwała się, pobiegła w koszuli wyjrzeć przez okno, odsunęła okiennicę, i zobaczyła jak król jechał otoczony Boleszczykami... Dokąd? nie wiedziała, ale serce jej biło strachem.

Król się nawet nie obejrzał ku oknu, oglądał się tylko Borzywój pozdrawiając ją, i Zbilut jadący za nim. — Krysta się ukryła zawstydzona, bo nie miała na sobie nic oprócz bielizny; włosy się jej we śnie porozplatały, ezula się zmęczona, wiedziała że była blada.

Ona, co tak dobrze dawniej umiała śmiać się, o wszystkim zapomnieć, wesołością swą dziecianną drgicich rozśmieszać, czasem aż do szału się rozpasać i rozgzić — wczoraj nie mogła być nawet wesołą.

Coś ją cisnęło na sercu; oczy pana patrzyły jakoś tak dziko, szal tej uczyt pół chłopskiej był tak straszno... Mimowoli przypominała sobie inne czasy, lata inne, macierzyńskie pod-

wórko ciche, matki uścisk pieszczony i usypiają-  
cy słodko, mężowski dwór taki spokojny, pieśń  
u kądzieli płynącą, jak cichy strumień po darni  
zielonój — ciepłe ognisko domowe, co się śmiało  
gospodyni.

Zapach wiosny przynosił jęj z sobą wspo-  
mnienia młodości. — Smutną była ciągle, a im  
uczta weselszą się stawiała, tem ją strach większy  
ogarniał; smutniejszą jeszcze uciekła z piekielnego  
gwaru, i położyła się do snu. — W marzeniach  
sennych znowu przewijało się jęj życie dawne  
z gorączką teraźniejszą, trwoga i dreszcze prze-  
biegały po niej. — Zrywała się krzycząc. — Ju-  
tro! co będzie jutro!

I usypiała znowu a przed nią stawał Mścisław,  
nie taki jakim był za dawnych czasów, gdy ją  
w czoło całował, ale ten który się zjawił raz  
ostatni, straszny, mściwy, groźny i zrozpaczony.  
Mścisław chwycił ją za rękę z jednéj strony,  
z drugićj ciągnął król, a pijana gromada stała  
przed nią, wyszczerzając zęby i okrzykując ją  
królową. — Męczyła się tak spać niemogąc —  
wstała wreście, dzień biały przez szpary okiennic  
zaglądał.

Jak ten dzwonek na Skalce, brzmiał jakoś  
i jęczał strasznie, pogrzebowo! — Był to ten sam  
co w dniu kłatwy lud zwoływał, i dzwonił świe-  
com zgaszonym.

Gdy orszak królewski przesunął się przez

podwórce, na zamku zrobiło się jakoś pusto i cicho. Krysta wyjrzała z trwogą ku temu miejscu, gdzie wczoraj takie brzmiało wesele. Tam parobcy z ostrzyżonemi krótko głowami, w brudnych sukmanach zwijali się z winnikami i mietli śmiejąc się śmietnisko. Niekiedy schylił się który, podjął błyszczącego coś i cieszył, zbiegali doń wszyscy, wyrrywali sobie i śmiechem ich dzikim znowu rozlegało się podwórze. Usłyszawszy go Krysta schowała się i napół zasnęła okiennice.

Na zamku, po wczorajszej burzy wesela — cicho było jak w grobie — król wyjechał, goście poszli precz, Rusini spali, czeladź spoczywała, od miasta nawet głosów i życia słyszać nie było.

Dzwonek na Skalce zadrgał raz jeszcze i dźwięk jego obumarł w powietrzu.

Cisza ta wydawała się tak niemal straszna jak wczorajsza wrzawa. Dzień był żałobnie smutny, niebo gęste oblekały mgły z poza których słońce się wybić nie mogło. Białe osłony zdawały się ciężyc nad ziemią i dusić ją — nie było powietrza dla piersi, oko nie mogło przebić tych opon gęstych i nieprzejrzystych. — Odetchnąwszy czuć było woń mgły duszącą, co jak spalenizna jakaś, gryzie by dym i dławi.

Krysta siedziała w oknie, o krawędź oparta, patrzała i słuchała, myślała coś i rwały się jej



myśli. — Chciała odgadnąć dokąd znów król mógł pojechać tak rano?

Choć on jęj niewidział, ona mu się dobrze przypatrzyła; miał twarz jakąś gniewną i rozjątrzoną, jak gdyby jechał ścinać i wieszać... Oczy mu stały szupem a nie nie widział. Ludzie co z nim byli, oglądali się dzikim wzrokiem, jak przestraszeni razem i zajadli. Borzywój i Zbilut spojrzeli ku nięj — nie po swojemu — oba tak jakoś patrzali, tak się kłaniali; jakby na stracenie szli a żegnali na wieki.

Dokąd że tak rano jechali i gromadnie?

Nie na łowy? — psów ni sokołów nie mieli z sobą, ani łuków, ani oszczepów — miecze tylko.

Wśród tęg głuchęg cizy — nagle — czy się jęg przydało? — usłyszala zdala krzyk okropny... krzyk wściekłosci jakiegś i morderstwa. Potem zmieszane głosy i wrzawę, dzwonek na Skalce poczał się poruszać żywo, bijąc jak na trwogę, raz po raz, nienstannie.

Zdala znouu, urwane jakieś jęki i wołania przerwały ciszę...

Serce jęg zaczęło bić strasznie — wczorajsza trwoga i smutek wróciły silniejsze jeszcze.

Trzebaż jęg było żyć tak zawsze, godziną szczęścia i dniami nędzy a strachu? — za godzinę płacić wiekami? Aż lzy popłynęły z oczów. Była królowa, — toć królewskie życie.

Zatętniało nagle szalonym biegiem. — Ktoś czwałem biegł ku zamkowej górze, jeden, dwu, kilkunastu... Gonili czy uciekali, gnali straszliwie — Krysta się wychyliła.

W bramie ukazał się król, Krysta go nigdy jeszcze takim nie widziała strasznym, z krzykiem zakryła oczy. — Błady był jak trnp, a oczy mu wyskakiwały z powiek — nsta miał otwarte, zęby zacięte. Patrzył i niewidział; na jednym policzku miał jakby plamę krwi, krew zdawała się ściekać jeszcze, obie ręce krwią miał oblane, mieczyk który mu wisiał u pięści, ściekał krwią i bryzgał kroplami.

Tuż za nim lecieli pobroczeni krwią jak on, pijani morderstwem Boleszczyce, krzycząc, popychając się, swarząc z sobą. Za niemi czeladź sunęła się wolniej, niby wylękła i przerażona, szepcząc między sobą, oczyma goniąc za panem.

U przedsienia król z konia się zsunął wprost na ławę. Otoczyli go kołem Boleszczyce, gwar się wszczął jakiś, swar czy kłótnia, jakby nieprzytomni zajadać się chcieli. Stali, odchodzili, siadali ocierając ręce krwawe o murawę, o ściany, o poły i otrzeć ich niemogąc...

Króla widać było jak się rozsiadł dumnie, szeroko, ale pogrążony cały w sobie, nie słysząc, nie widząc nic, wąż gryzł w ustach, a palcami czasem krwawy policzek ocierał, jakby go ta plama krwi piekła.

Krysta ręce załamała — krew!! — krew! —  
Czyja to była krew?

Zwierza na łowach ubitego, czy człowieka  
w gniewie zamordowanego?...

Tymczasem od miasta zaczynała buchać i do-  
latywać wrzawa jakaś, wzmagająca się coraz,  
rosnąca, podnosząca — płacz, krzyki i jęki z niej  
biły. Śmiertelną trwogą opanowana Krysta, uczu-  
ła zimno w całym ciele i poszła skryć się w naj-  
ciemniejszy izby kątek. — Zasunęła okno... ale  
wnet, wytrzymać nie mogąc duszącego powietrza  
izby, na nowo je otwarła.

Stało się coś — niewiedziała co — ale stra-  
sznego coś stać się musiało.

Podwórcę przebiegali ludzie, pędem lecąc ku  
miastu, jedni po drugich. Inni z miasta wpadali  
przez wrota i pędzili ku dworowi. — Zajrzała  
Krysta co się z królem działo — nie było go już,  
Boleszczyce błędzili u przedsieni. Dym kłębam  
buchał z łaźni. — Z izb wyrywali się ludzie jacyś  
i powracali; słychać było drzwi trzaskanie, a od  
teremu dwóch królowych, jakby jeden płacz prze-  
ciągly i długi — jakby pieśń płaczek u trumny.

W mieście coraz mocniej wrzało i grzmiało.

— A! — co się stało? co stać się mogło? —  
myślała Krysta.

W tém Ciarka wpadła zdyszana, oczy sobie  
zasłaniając, z krzykiem obaliła się na ziemię i ry-  
czała wielkim płaczem — Krysta podbiegła do

nię — wołając by mówiła co jęj było, ale dziewczyna słowa powiedzieć nie mogła, zachodziła się i oczy zakrywała.

Wśród tęg trwogi, drzwi się otwały, w progu ukazał się Borzywój.

Był może pijany ucztą wczorajszą, bo się zataczał i na nogach ustać niemógł; twarz miał trupią, a ręce obmyte nosiły jeszcze ślady krwi na sobie. Wszedł obłąkanemi wodząc oczyma, mówić nie mogąc.

Szybko przypadła do niego Krysta, badającym mierząc go wzrokiem — patrzała nań. Patrzała i zobaczyła krople krwi przyschlęj na twarzy, we włosach; ręce powalane, na sukni ledwie przysychające plamy — wszędzie krew! — krzyknęła i uciekła kryjąc się przed nim do kąta. Borzywój stał sam patrząc teraz na swe ręce ze zgrozą, jakby obłąkany, tarł je, chował, dobywał, niepokoił się, szepecząc coś sam do siebie. — Zawrócił się do drzwi, jakby wyniść chciał, potem znów ku Kryście i znowu ku drzwiom, i jeszcze raz niemogąc zasuwę otworzyć, podszedł gdzie Krysta siedziała.

Na bladej twarzy jego pot występował kroplami.

Ciekawość przemogła strach i zgrozę.

— Gdzieżecie byli? — co się stało? Krew, co znaczy ta krew?! — zawołała Krysta.

Borzywój, zawsze mężny i przytomny, teraz mruczał niezrozumiale, męszął się, mówić niemógł.

Naostatek buchnęło z niego...

— Król, król — dla króla — szliśmy z królem... bronili jego.

— Król! król ranny!! — załamując ręce krzyknęła Krysta. — Któż śmiał się porwać na niego! Król?

Borzywój tylko głową potrząsł. Męczył się znów długo nim na słowo się zdobył.

— Nie ranny... rzekł — klechę trzeba było ukarać... zdrajcę? — Zabił go król! zabił!

Krysta twarzą się rzuciła na siedzenie i płakała. Borzywój stał, wciąż patrząc na swe ręce i wciąż je ocierając. Milczał zadumany. Podniosła się splakana Krysta, wołając.

— O Boże! król!

— Uspokójcie się, bełkotał Borzywój, który sam spokojnym nie był i czoło spotniałe lub dłonie poźółkłe ocierał ciągle. Uspokójcie się. Co król miał zrobić! Nie chciał go puścić do kościoła... Na progu... król ciął go — ciął... padł — porąbaliśmy w kawałki... małoż ludzi ginie na wojnie...

Toć wojna była! Krysta pochwyciwszy te słowa, krzyknęła znowu i odbiegła od niego daleko, kryjąc się w kąt izby i twarz tuląc do ściany.

Borzywój stał pomieszany w miejscu, sam so-

bie napróżno usiłując dodać ducha. Wtém nadbiegł Zbilut.

I na nim ślady przelanej krwi widać było, i od niego czuć mordu gorączkę. Zobaczył od progu Borzywója, oczyma poszukał Krysty. Spojrzeli na siebie bracia może raz pierwszy po powrocie, i zadrżeli...

Zdali się sobie ludźmi nowemi.

— Krew! — szepnął wskazując Zbilutowi suknie jego Borzywój.

— Krew! — odparł prawie razem, wyciągając ręce ku bratu Zbilut i ukazując mu twarz jego odzież i dłonie.

Krysta zdala wołała ku nim jęczącym głosem:

— Wynijdzie ztąd! wychodźcie! — krew przynieśliście z sobą!

Zbilut zaczął coś mruczeć niewyraźnie.

— Przyszliśmy abyście byli spokojni — wszystko się już skończyło — wszystko.!

Przestraszona Krysta, niechęć słuchać ich, wołać poczęła:

— Zbójcy! idźcie ztąd! Zbójcy!

Borzywój się chciał zaśmiać, niemógł. — Bił się w piersi ręką i mruczał, poglądając na brata.

— My nie poczynaliśmy... sam król ciął? — prawda? w głowę... Trysnęła krew... Sam król... Kazał rąbać. — Leżał już jak martwy na ziemi... wszyscy siekli... kiedym ciął.

— Tyś wprzódty nań padł.

— Nieprawda — ty!

— Nieprawda! jam nie tknął.

Poczęli się klócić z sobą bracia.

— A zkądże u ciebie krew na rękach?

I słysząc już nie było co mówili, bo razem poczęli krzyczeć, przypadając ku sobie.

Krysta w rozpacz powtarzała ciągle jedno:

— Idźcie ztąd, wy, zbójcy! idźcie ztąd.

Aż Borzywój porzuciwszy kłótnię z bratem, zawołał na nią:

— Cóż i króla przepędzisz gdy przyjdzie? —

Toć nie my go zabili, ale on.

— Kłamiesz! zbójco! — wy nie on! płacząc wołała Krysta — idźcie ztąd!..

Uparty krzyk kobiety wygnał ich nareszcie za drzwi; natychmiast oszalała ze strachu Krysta pobiegła za nimi i zasuwę zaparła, a sama się na ławę płakać rzuciła.

U drzwi jęł, jakby niewiedzieli co robić z sobą, stanęli oba Boleszczyce, patrząc jeden na drugiego. Nie mówili nic, wzajem tylko pokazywali plamy krwi na sobie. Z przedsienia słysząc było gwar wielki na mieście... W tém od królewskiego dworca, krzyk donośny się rozległ:

— Tu bywaj!

Pobiegli natychmiast wyścigając się, był to głos króla.

Bolesław stał u wnijscia, blady lecz już ostrygły i przytomny. Ręce obie w boki wparłszy,

patrzył do koła, jakby szukał kogo miał zabić jeszcze.

— Sam tu! — zawołał szybko, szparkiem słowy, które się gonić za sobą zdawały — wskazując na Borzywoja. Sam tu! Ład mi zrobić. Ludzie i konie w gotowości. U wrót strażę, czaty na wały. Na miasto niech pędzą konni i tłum od Skalki rozegnać precz. Bieczami zagnać do domów. — Na Bawole, na dolinie, straż postawić, na gościńcach. Na zamek reszta i niech tu stoją... krzyknął. — Żywo!

Borzywój chciał biedz, strzymał go.

— Stój — nie! Na zamku żeby ład był, więcej nie trzeba — trwogi niema, niech nie myślą że się lękam... Kogo?

I rozśmiał się, ale razem brwi ściągnął, jak gdy zły bywał.

Rozbiegli się wszyscy, król na ławie w przed-sieni ze psy siedział. Ludzie z zamku zaraz na miasto ciągnęli.

Lecz rozkazy pana trudne do spełnienia były. Siła jakaś niewidoma ciągnęła wszystkich ku Skalce. Tłumy oblegały kościółek. Ściągał je widok okropny.

W samych drzwiach kościoła stała kałuża krwi, od której krwawa ścieżka ciągnęła się aż do ołtarza! W progu leżał trup biskupa, a raczej szczątki okrutnie posieczonego ciała, którego każda część osobno rzucona, z resztkami poszar-



panych sukni i ornata, krwią pobryzganych rozproszone były.

Ludzie stali nad niemi zachodząc się od płaczu.

Kościół otwarty był i pusty. — Na ołtarzu świece dogorywały jeszcze, na stopniach jego leżał wywrócony kielich, zgięta pod nogami patyna, chusta biała krwią zboczona...

Od kościoła rozbiegło się zrazu wszystko co przy nim było, strwożone świętokradzkim morderstwem.

Lud tylko u progu stał, cisnął się, niemogąc odejść, nieśmiejąc tknąć tych zwłok, które już uświęciło męczeństwo.

Od tego okrwawionego kościelnego progu, tejże godziny wieść leciała po całej ziemi — król przy ofierze świętej zamordował biskupa.

Ludzie ją nieśli nieznani do kościołów, miast, na zamki i grody...

Przez cały dzień na Skalkę płynęły i odpływały tłumy; nikt nie považył się pomyśleć o tém aby cześć należną oddać relikwijom zabitego biskupa. — Wieczór nadszedł, gromady pozostały w oddaleniu, patrząc w niemęj rozpaczy na kościółek pusty i krew zaschłą na jego progu.

Noc zapadła na zamek, gród i okolice; z Wawelu słuchając, można było jeszcze pochwycić gwar nieuspięnego miasta, tentent koni, wołania i krzyki. Z sąsiednich osad pieszo przybywało duchowieństwo, konne poczty ziemian, i rycerstwa.

Okolo domku na Skalce nocą obozowała już cała gromada ściągającego się duchowieństwa, które się modliło, płakało i drżało, ku zamkowi spoglądając.

Posłańców wyprawiano na wsze strony świata, a gdy ranek wszedł nowy, zwłoki męczennika już znikły, ślady zabójstwa z niemi, kościół tylko zaparty stał, pieczęciami wielkimi na drzwiach obwarowany. I dzwonek się już nie odezwał dnia tego.

Na Wawelu też drugiego rana pieczęcie czarne wisały u zapartych wrót Ś. Wacława.

Cisza grobowa panowała na zamku, król zamknął się na nim, obwarował i nie ukazywał.

Podwójne straże u wrot chodziły dniem i nocą, w podworcu stały gotowe konie i ludzie chodzili zbrojni, jakby je wnet dosiąść mieli...

Zamek wydawał się obleżonym.

Trzeciego dnia przez Wisłę widać było przeprowadzający się oddział zbrojny, który wszedł do miasta i obozem się położył u stóp Wawelu. Tym dowodził stary Leliwa. Nazajtrrz Kruk z drugim nadciągnął, na noc Brzechwa z trzecim stanął. Wszyscy w milczeniu, spokoju, legli niedaleko zamku, z okien widać było obozowisko.

Król kazał ostrzyć miecze, łuki i oszczepy gotować, ludzi swych liczył. Niewielu ich miał też przy sobie, reszta żołnierstwa rozsypana była po zamkach, na pograniczu, w grodach w któ-

rych się gromadziła siła zbrojna od dawnych czasów, na zawołanie królewskie, gdyż żywić ją w jednym miejscu trudno było.

Od tamtych oddziałów złe przychodziły wieści. Duchowieństwo już z wodzami było w porozumieniu, ten i ów wymawiali się że przybyć nie mogą, inni milczeli, niektórzy wprost wypowiadali posłuszeństwa. Władzę tymczasowo chwyтали wojewodowie i żupany. Za każdą odebraną wieścią król się porywał, jakby lecieć chciał ukarać winnych, lecz siły po temu nie było. Po posiłki stać i żądać ich od węgierskiego króla sromił się. Niechciał się przed obcemi przyznać do słabości, spodziewając siłę zastąpić odwagą. Na zamku krzątano się żywo.

Jednego dnia o mroku król kazał Borzywoja przywołać. Obóz na dolinie pod zamkiem, na który codzień patrzył, gniew w nim budził i niecierpliwość.

— Jedź, rzekł, wskazując ręką przez okno ku Wiśle. Jedź tam, do tych ludzi, zapytaj ich po co tu przyszli, czego tu stoją?

Borzywój, który od dnia popełnionego przez króla morderstwa, chodził jak obłąkany i nieprzytomny, nic nieodpowiedziawszy, wyszedł spełnić rozkaz. — Konia nie wziął, towarzysza sobie nie dobrał, sam jeden, o mieczyku tylko u pasa, śmiałym krokiem skierował się do obozu u stóp Wawelu.

Gdy ujrzano jednego z Boleszczyców, idącego ku namiotom, prawie bezbronnego, zdziwienie było wielkie; nikt przecie po drodze ani go zaczepił, ni się tknąć ważył.

Dopuszczono go do namiotu Leliwy, który mu na zapytanie ludzie wskazali.

Znalazł tu kołem zasiadającą starszyznę. — Spojrzeli na wchodzącego, którego z oblicza znali, a ze stroju wiedzieli iż do dworn należał. Nikt ani powstał, ani go pozdrowił; gospodarz z pod brwi nawisłych patrzył nań pogardliwie.

— Przychodzę do was od króla! rzekł Borzywój.

— Od jakiego? — zapytał sparty na ręku stary. Od króla? my tu żadnego nie znamy. Ten którego mieliśmy, wyklęty został i odsądzon od korony, a nowego jeszcze nie wybrano.

— Tak to już myślicie! rzekł Borzywój. — Dziwna rzecz aby klechy miały królów sądzić.

— Przecie ich namaszczaają i koronują — odezwał się duchowny, który siedział za Leliwą.

— Nie moja sprawa to a wasza, rzekł Borzywój. Przychodzę od Bolesława syna Kaźmierzowego, który dla mnie jak był tak jest królem: po co tu obozem pod jego zamkiem leżycie? Chcecie z nim wojny? przyszlście mu w pomoc? król, pan mój miłościwy, wiedzieć potrzebuje.

Na to pytanie nikt nic nie odpowiedział, patrzali po sobie, jakby naradzając się, z czém go

odprawić mają. Borzywój czekał napróżno, na ostatek, zawołał niecierpliwie:

— Cóż, wrogami mu jesteście!

Leliwa patrzył w ziemię, mieczem który trzymał w ręku grzebiąc w nią. W tém wstał z za niego siedzący duchowny, wieku podeszłego, twarzy ostremi rysy oznaczonej mężczyzną, i z wielką gwałtownością, palec wynierzywszy ku dworakowi — począł:

— Powiedz temu zbójcy, krwią oblanemu, powiedz Kainowi twojemu, iż przyszli tu ziemianie aby stali na straży i oblegali go dopóki precz nie wyżeną.

Krwia się jego mazać nie chcą, ale precz z téj ziemi musi iść.

Borzywój krzyknął z oburzeniem, chciał mówić, zahukano go, wszyscy podnieśli głowy, ręce powyciągali i wolali.

— Precz z téj ziemi musi iść! precz! precz!

Przyszli wreszcie do głosu nie rychło Bole-szczyce i zawołał:

— Nie łaćno go wyżeniecie! Poskramiał on niejednych gorszych od was i silniejszych, i was poskromić potrafi.

Zaczęli się śmiać, uragać i szydzić ziemianie, nie odpowiadając mu. — Odwracali się tyłem do posła, rozmowy z nim nie chcąc prowadzić. Duchowny tuż zaraz szła chłopię, po święconą wodę i księgę, aby po nieczystym człowieku, który

się wdarł tu, miejsce splugawione przezeń, morderstwą oczyścić. Borzywój nadto był dumny, aby się długo z niemi spierał, po takim przyjęciu. Kilka przekleństw srogich z ust mu się wyrwało, pięściami pogroził i z namiotu wybiegł wściekły z gniewu. Po drodze przechodząc obóz i stojących kupami ludzi, co wycierpiał od szyderstw i przekasów, plucia i odgrózek, ledwie znieść potrafił. Niemógł się do nikogo chwycić bo by żywna zamek nie wrócił. Przyszedłszy tu, tak był jeszcze nieprzytomny i pomięszany, że do króla nie poszedł i siadł w kącie, aby to czem go nakarmiono, wydychać. — Przebył tak dość długi czas, gdy go zawołano do króla.

— Cóżś przyniósł! — krzyknął niecierpliwie Bolesław — mów!

— Nie miałem z czem spieszyć, ponuro odparł Borzywój. Znać oni was niechęć. Krzyczę abyś z ziemi téj uchodził

Król stojąc naprzeciw mówiącego, rzucił się z gniewu ku niemu.

— Moją jest ta ziemia a nie ich! Moją! zawołał głosem wielkim: korony mi z głowy nie zedrze nikt. — Chcą wojny, to ją będą mieli — będą ją mieli.

Kazał sobie powtórzyć Borzywojowi wszystko co w namiocie słyszał, do słowa i począł myśleć o obronie.

Tegoż wieczora, z ludzi którzy przy nim po-

zostali, wybrał Bolesław najwierniejszych sobie, najzręczniejszych i najśmielszych, kazał im dać odzież i uzbrojenie po którémby ich nie poznano łatwo i wyprowadził z zamku, polecając aby lud zbrojny, między pospólstwem dla niego ściągali.

Nie łatwą to było sprawą teraz, lecz Bolesław jeszcze na wielu rachował po powiatach, których niegdyś obficie opatrzył majątkościami i wszelkiem mieniem.

Tymczasem bezczynność ziemian pod zamkiem stojących, dodawała otuchy, iż się posiłków król doczeka. Znikąd ich jednak widać nie było.

Jednego z pierwszych wieczorów po dokonaniem morderstwa, gdy ochłonał nieco Bolesław, przypomniawszy sobie opuszczoną Krystę, i poszedł do jej dworca. Dziwiło go iż się do niego przez sługi nie odzywała jak dawniej.

Drzwi znalazł stojące otworem, nieład jakiś w mieszkaniu, dziewczęta z włosami porozplatanymi, w białiznie jednej, siedziały na ziemi, jedne płacząc, drugie jakby snem znużone.

Oczyrna zdumiałemi popatrzył król do kola — Krysty nigdzie widać nie było.

Gniewnie potracił nogą leżącą na ziemi Ciarkę.

— Gdzie wasza pani? — zakrzyczał.

Dziewczęta płakać i jęczeć nicodpowiadając zaczęły.

— Gdzie ona jest? zagrzemiał powtórnie głosem groźnym, podnosząc rękę jak do bicia.

Dziewczęta porwawszy się zaczęły uciekać przerażone, a Ciarka, którą król za włosy pochwycił, padając na ziemię przełękła, wołać poczęła.

— My nie niewinne! my niewinne! — Niewie-  
my co się z nią stało! — Poszła. — Wczoraj jēj  
już nie było...

Król stanął z gniewu się trzęsąc... Chciał py-  
tać, ale ze strachu od przytomności odchodzące  
dziewcze, jęczało odpowiedzieć nie umiejąc. Stała  
się wrzawa i wołanie na wszystkie strony, zbie-  
gli się ludzie, poczęły pytania. Nikt nie miał  
wskazać ani kiedy ani jak uszła Krysta, sama  
jedna czy przez kogo uprowadzona.

Rozesłano dwór szukać jēj po całym zamku  
po kątach i komorach, lecz nie znaleziono nigdzie,  
nie widział jēj nikt.

Wszyscy byli tak królem i sobą samemi za-  
jęci, iż nikomu zajmować się nią na myśli nie  
postało. Król wpadł w gniew niewysłowiony.  
Siec kazał z kolei sługi, groził śmiercią, żadna  
męka wydobyć z nich nie mogła wieści o Kryście.  
Wśród chłosty plotły każda co innego, i coraz  
się przeciwiąc własnym wyznaniom. W istocie nikt  
nie wiedział co się z nią stało. Krysta potaje-  
mnie od dziewcząt swych chwyciła odzież prostą,  
plachtę grubą, wybrała chwilę gdy sługi się po-  
spaly, i nieprzytomna, na wpół obłąkana, wysu-  
nęła się z zamku, ciągle jeden wyraz powtarza-



jąc: krew! krew! We wrotach straż niewiast nie zatrzymywała, dano się jej wysliznąć, nie przypatrując nawet, o mroku.

Niewiedziała ani dokąd szła, ni co się z nią stać miało — uciekała od krwi, która gonila z nią. Ku miastu zszedłszy, zobaczyła kościółek na Skalce, i widok jego przeraził ją na nowo, uchodzić zaczęła pędząc co sił, bez drogi, na oślep — a krzycząc: krew! krew!

Biegła tak drżąc, zdyszana, zapłakana, aż póki, dostawszy się na gościniec jakiś nie padła. Oprzytomniawszy poznała tę drogę. Stał nad nią drewniany krzyż, obwieszony płachtami chorych ludzi. Tą drogę — pamiętała, jechała niegdyś z królem, gdy ją z Bużeninia na zamek uwoził, śmiejąc się jeszcze, szczęśliwa, marząc, że zostanie królową.

Wracała nią teraz pieszo, zapłakana, nieprzytomna, przelekła, patrząc niespokojnie na siebie, na ręce swe, na szaty, na nogi, i widząc wszędzie, krew!

Upadła znużona na ziemię wilgotną i zerwała się prędko, bo mokra dłoń wydała się jej krwią przesiąkniętą... Chciała bić dalej, gdy brzęk oręży i tentent koni ją nastraszył — przypadła znowu, pragnąc się ukryć.

Gościńcem jechał cały zastęp ziemian zbrojnych — coraz bliżej, coraz głośniej chrzęszcząc zbrojami, brzęcząc łańcuchami; miejsce było od-

kryte, nigdzie ani krzewiny. Krysta zerwała się i biędz poczęła co sił ku zarośłom.

Uciekając posłyszwała za sobą tentent konia, jeździec jakiś ją doganiał, dopędził i nagle za suknię pochwycił. Krysta zachwiała się i upadła na wznak, płachty któremi głowę miała obwiązana, rozpadły się i twarz jej odkryły.

Dwa razem krzyki ozwały się z piersi dwojga, krzyk radości i trwogi, nad nią stał Mścisław.

Przezucie jakieś pognało go za uciekającą niewiastą.

— Krysta! — zawołał głosem pełnym boleści, Krysta!

Ona omdlała leżała na ziemi, blada jak trup, a gdy Mścisław ocucił ją nareście, rzuciła nań wzrokiem obłąkanym, zawołała.

— Krew! — i zemdląła znown.

Mścisław, choć rycerz i mąż wielkiej siły, oczy miał lez pełne.

Nigdy on uwierzyć niechciał, ażeby płoche to serce odwrócić się miało od niego, rozmiłowany był w nią zawsze; nawet gdy uwieszona na ramieniu króla wypowiedziała mu wiarę i w tém jeszcze widział tylko kłamstwo dla ocalenia mu życia popelnione.

Odzyskać swą Krystę, pragnął najgoręcej — namiętność jego była ślepą. Rozradowany więc tém co za end prawie uważał, jak matka troskliwie około niej chodząc, począł ją encić i tulić.

Krysta przerażona widokiem jego drżała ciągle i płakała — rękami odpychała go, a usta ciągle powtarzały jedno: krew!

Nierychło przekonał się Mściśław iż widok jego tak ją trwożył iż jej zmysły odbierał. Musiał się odsunąć nareście i powierzyć opiece obcej, aby nowych omdleń i krzyku nie być przyczyną. Niemogła nań patrzeć i zakrywała oczy... Z gromady ludzi których miał z sobą, wysłał natychmiast dwu do miasta, aby mu wóz i starą jaką niewiastę do dozoru nieszczęśliwój sprowadzono. Do domu posyłać za tén, zbyt było daleko. Sam zdala został czekając na straży; osłoniwszy leżącą na ziemi z zakrytymi oczyma. Mściśław, który przeciw króla ziemian pobudzał, jechał razem z innemi, łączyć się z Krukiem i Leliwą; jechał wrac zemstą i jątrząc drugich a nagląc do napaści. Lecz teraz, co mu był król, wojna, zemsta, gdy Krystę odzyskał! — O wszystkim zapomnial. Ludzi swych odprawił do obozu, sam pozostał.

Pod noc już, nierychło nadciągnął wóz i znajoma mieszczka, babka z Krakowa, która nieraz w Bużeninie bywała, bo ją za lekarkę miano. Właśnie znużona płaczem i głodem może Krysta, usnęła była leżąc na ziemi. Zwolna podniesiono ją i położono na wozie, a gdy zbudzona otworzyła oczy, ujrzała nad sobą nie już straszego

Mścislawa, ale twarz staruszki, która jęj jak nianka dziecku, głowę otulała.

Zamknęła oczy — nie chciała patrzeć. Wóz zwolna się poruszył, a za nim Mścisław sam konno, gdyż go nikomu nie chciał powierzyć.

Do Bużenina z chorą było mu zadaleko; bliżej do Góry, w której owdowiała matka Krysty mieszkała, bo tylko jeden mały dzień drogi. Tam też jechać kazał.

Krysta na wysłanym wozie leżała jak w kolebce, dając się karmić i poić, bezmyślnie, jak dziecko. Zdało się jęj że to wszystko co przeżyła, snem było; że znów powracały dni dzieciństwa i młodości; że mogła być znowu szczęśliwą, spokojną, kochaną.

Tamto wszystko co się jęj przypominało z przeszłości burzliwej — zmorą jakąś było straszna, która przeminęła na wieki.

W nogach jęj na wozie siedząca starucha zgarbiona, otulała ją ciągle i jak dziecku do snu nuciła.

Mścisław jechał umyślnie zdaleka, aby tentent konia ją nietrwożył i brzęk żelaza które miał na sobie. Drugiego dnia nad ranem koniom dla paszy i spoczynku stanąć trzeba było. Mścisław kryjąc się jeszcze przed nią, przez litość, którą miał nad nieszczęśliwą, poszedł w zarośla spocząć opodal od wozu.

Stara pomogła Kryście chusty odrzucić, aby

popatrzyła na świat boży. Przebudziła się zdziwiona, powiodła do koła oczyma czarnemi. Las zieleniejący stał nad, niemi pusto było i cicho, ptaszki śpiewały w gąszczach, nad głowami lazurowe rozpościerało się niebo. Lice się ję rozpogodziło — trochę zapomniała przeszłości i pozbyła trwogi.

Wóz stanął na spoczynek nad gościńcem samym. Krysta jeszcze się zdumionemi oczyma rozpatrywała w łąkach i drzewach, gdy na drodze jeżdżący się pokazali.

Była to gromada ziemian zbrojnych, jadących także ku Krakowu, na zawołanie starszyny. Ciągnęli powoli, i przeciągać mieli mimo stojącego w cieniu wozu; gdy jeden z nich spojrzął, rozśmiał się głośno, dziko i z koniem do wozu przyskoczył.

— Hej, Krysta Bolesławowa! hej Krysta miłośnica! Cóżś to pana porzuciła! — krzyknął.

— Krysta miłośnica! powtarzali za nim inni, śmiejąc się okrutnie, i wóz otaczając do koła.

— Krysta, a gdzie twój pan miły? — Czy do piekła pojechał? — Czy się skrył do Smoczęj jamy!

— Krysta miłośnica! — wołali jedni do drugich, pokazując ją sobie palcami.

— Zabić wiedźmę przekłą! — poczęli wołać inni.

— Zgnieść to plugastwo wszeteczne...

— Krysta! Krysta! — odzywało się na wszystkie strony..

Nieszczęśliwa, pod tą chłostą słów okrutnych, pod gradem tych wejrzeń strasznych, padła jak nieżywa, zakryła twarz, wtłoczyła się niemal na dno wozu, i głosem rozdzierającym znowu krzyzczeć poczęła:

— Krew! krew!

Obłąkanie wracało. — Drżąc i miotając się stężała z boleścią na wykrzywionych ustach. Gdy Mścisław, ściągnięty jej krzykiem przypadł aby ją bronić, zastał już omdlałą i prawie bez życia.

Ujrawszy go nadbiegającego, nielitościwi ludzie, zamiast usłuchać wołania i prośb, jęli się z niego uragać.

Mścisław się rzucił na nich jak wściekły, o mało do krwawego boju nie przyszło. Starszyzna ulitowawszy się wręcz nad nim, gdy go rozbrojono, po krótkiej walce, odjechała szybko zostawując leżącego na gościńcu.

Nie obeszło się jeszcze bez wykrzyków nad Krystą i śmiechów, a swawolnych wyrazów.

Gdy gromada odciągnęła, stara baba, ledwie się nieszczęśliwej zdołała docucić. Życie z niej uszło prawie: skołowaciała leżała z pianą na ustach i oczyma nieruchomemi. Z życiem wracającym, wróciła trwoga, krew i obłąkanie.

Mścisław, któremu w czasie walki u wozu, koń się był przestraszony wyrwał i uciekł, idąc

pieszo prowadził dalej Krystę do matki. Zdalo mu się, że szedł za trumną.

Gdy dwór się pokazał w Górze, otoczony częstokolami, poszedł przodem do niego.

Zięć tam drugi gospodarzył, przy którym stara matka mieszkała.

Sulislawowa córki téj, od czasu jak jęj srom uczyniła, znać ni wiedzieć o nięj niechciała.

Pusto było w Górze; siostra Krysty po chorobie niedawnęj leżała nie wstając jeszcze, stara Sulislawowa za nią i zięcia gospodarzyła w domu. Wielkie wrota pod dachem, stały zaparte, cisza panowała we dworze. Mścislaw przez furtę boczną wszedłszy pocichu, matkę zastał na przed-sieniu z kądziałą. Ta, ujrzawszy go i poznawszy, kądział rzuciła aż się stoczyła na ziemię, dłonie podniosła. Krzyknęła i uciekać chciała. Wstrzymał ją krzykiem Mścislaw.

— Matko moja — zawołał. Milosierdzia proszę! Ratuń mnie i Krystę...

Usłyszawszy to inie, stara w ręce podniesione uderzyła, zatrzymała się i krzyknęła.

— Coś ty oszalał?

— Krystę do was wiozę — Krystę moją nie-szczęśliwą, ledwie żywą. Uciekła ona sama z zamku, gdzie ją gwałtem trzymano. Znalazłem na polu, chorą, biedną...

Sulislawowa przerażona, niepewna, powtórnie

chciała uciekać, rozmyśliła się i wróciła. Łzy miała na oczach, serce matki zwyciężyło.

— Oto ją tu wiozą, matusiu najdroższa! Ona jeszcze na mnie dla sromu patrzeć nie może...

Chora jest, nieszczęśliwa, ulitujże się! ulituj!

A widząc że się matka waha jeszcze dodał:

— Cóż ona winna! co winna!

A tuż i wrota skrzypiały, które na oścież otwierano, i wóz się powoli wtaczał w podwórze na którym ledwie żywa leżała biała Krysta. Mścisław skrył się u węgła. Wóz się zatrzymał u wnijsia. Sulisławowa już nie ucickała, łzy jej ściekały po policzkach.

Starucha z wolna podniosła beczwładne chorąg ciało, ręką ostrożnie jej odechyliła zasłonę z twarzy. Krysta otwarła oczy strwożone i natychmiast zamknąć je chciała, gdy przed sobą ujrziała i poznała matkę, która ku niej drżące wyciągała ręce.

W jej umyśle znów stał się przewrót dziwny, życie znów niby się snem wydało, a otwarcie oczów przebudzeniem.

— Matus ty moja! odezwiała się.

— Dziecko moje!

I głowa nieszczęśliwej spoczęła na ramieniu stariej, oczy się jej jak do snu spokojnego zamknęły...

— A! jaki to był sen okropny! — poczęła szeptać. A! to ja w Górze! w Górze... Oglądała



się podnosząc trwożliwie. Nieprawdaż? to Góra?? Tu niema nikogo złego? tylko ty matuś, siostra i Krysta... a tamto wszystko co było, to sen i zmora!!

Sulislawowa płacząc potakiwała dziecięciu — powoli, ostrożnie z wozu ją zniesiono.

Teraz dopiero przypatrzeć się jój mogła matka. Cóż się to stało z jój Krystą! Z tą śliczną, białą, różową, jak kwiatek świeżą Krystą, przed którą królowie na twarz padali!! Lice miała jak rąbek niebielony blade, i żółte, usta sine jak zwiedły liść róży, oczy wpadłe; drżała jak gałąź osiny, niemogąc się na nogach utrzymać.

— Góra! powtarzała po cichu — a! co to za sen ciężki miałam matusiu!

Znowu główkę sparła na jój ramieniu, płacząc po cichu, aby gorzkie łzy eo jój ciężyły wyplakać z siebie. Sulislawowa płakała z nią milcząca. Matczyna łza gorąca padła jój na twarz, Krysta się targnęła z krzykiem, wolając:

— Krew! krew!

Dwie niewiasty obejmujące ją rękami poczęła odpychać przerażona, aż matki posłyszawszy głos oczy w nią wlepila, przytuliła się do niej, i uspokojona szeptała.

— Sen to był — sen, matusiu!

Baba stojąca przy niej, powtarzała po cichu:

— Sen, mara...

I matka potwierdzała głaszcząc ją po zimném licu.— Sen, sen! Tak ją do cichego zaprowadzono kątką i położono na spoczynek. Mścisław na przedsieniu usiadł, sparl się na rękach, i jak wierny pies pozostał na straży. Odstąpić jęj nie chciał i niemógł, a przystąpić do nięj nie wolno mu było.

Krysta nie była przytomną i nie była obłąkaną — zdzienniała wracając do Góry, gdzie była niegdyś dziecięciem. Dobrodusznym, starym babkom co ją otaczały, pojąć było trudno co się z nią działo. Mówiły sobie że to czary, a uroki.

Posłano po baby aby urok odczyniły, aby zamawiały lichu, by jęj wróciły przytomność i zdrowie.

Mścisław, któremu niedawno tak pilno było iść z innemi wraz na króla, upadł na siłach i męztwie: siedział w drugięj izbie na ławie, lub sparlszy się na stole drzemał, ezatując a pilnując co się z Krystą dzieje.

Próbował do nięj iść, lecz ile razy się pokazał, oczy zakrywała, mdlała ze strachu przed nim, choć łagodnemi do nięj mówił słowami, a pieścił ją jak dziecko.

Matka go téż precz pędziła, musiał wracać do pierwszěj izby w ką, na ławę, przysłuchując się ztąd głosowi cichemu Krysty, która z matką dziecinniała...

W Krakowie na zamku coraz, co dzień pu-

ściej było. Ucieczka Krysty zgniewała króla i przybiła, przypisywał ją księżom i zdrańdźe. Chodźił po izbach pustych, patrzał po kątach ciemnych, czasem się gniewem wielkim unosił, a co mu naówczas pod rękę wpadło tłukł i zabijał.

Od dnia popełnionego morderstwa godziny spokoju nie było... Kaźdego ranka ktoś ucho-dził. Posyłał król po kogo, nieprzybywał; nie było dlań żywój duszy, oprócz garści dworu, dru-żyny i niewielu zbrojnych ludzi co na zamku stali, niemiał z sobą nikogo.

Duma pańska, walczyła z tēm wypowiedze-niem wojny przez kraj cały. Nie ustępowały z bło-ni pod zamkiem kupy nagromadzone ziemian i rycerstwa, które go znać za króla niechciały; nie ustępował on z Wawelu.

Często na złość im król wychodził albo wy-jeźdżał sam jeden, mijał je powoli, nastęrczał się oczom, zdawał ich wyzywać bezbronne.

Naówczas zoczywszy go ludzie, odwracali się jakby go niewidzieli; gdy wołał, udawali że nie słyszą; gdy pytał, nie odpowiadali, niektórzy bo-jaźliwsi uciekali od niego. Nieporywał się nań nikt, ale mijali wszyscy.

Z dniem kaźdym stawało się gorzej.

Kościół poząmykane były wszystkie, nigdzie dzwonu ni modlitwy, nigdzie księda u ołtarza, lud 'oehrzczony i już chrześcijański, szczególniej

po miastach, próżno się domagał spowiedzi, słów, pogrzebu.

Księża się przed nim zamykali.

Spróbował król wysłać zaufanych do Poznania, do Gniezna, do Płocka, do Wrocławia, wzywając aby się doń zjechali biskupi; wszyscy mu jedną dali odpowiedź, iż zabójcy i świętokradzcy za pana znać niechcą, ani głów na miecz jego narażać. Odpowiedzi przychodziły mniej więcej zgodne, łagodniejsze lub ostrzejsze — odmowne wszystkie.

Uśmiechem złym król pokrywał gniewy; ramionami potrząsał i wiódł życie po staremu, nie zważając na nic. Tylko na zamku z dniem każdym było samotniej a i ludu prostego trudno zwabić, jadłem i napojem.

Przy nim stała wierną tylko ta gromadka Boleszczyców, co się na wszystko poświęciła, byle dochować wiary; dwie królowe i Rusini ich dworu. Zamek jak wyspa na morzu stał odosobniony od świata. Kto w nim mieszkał do tego już w końcu mówić niechciano i sięść z nim do jednego stołu, ani mu ręki podać nikt się nie ważył.

Bezsilny gniew króla rozbijał się o milczący, zimny opór kraju. Nie napastował nikt, lecz nikt nie chciał go. Dnie bez końca długie, milczące, straszne, wlokły się na Wawelu, co gorsza, bo bez jutra.

Dworacy Bolesławowi za niego się trwożyli i biegali.

Był jeszcze na stolicy wrocławskiej naówczas biskupem Jan Jastrzębiec, Odyłona syn najstarszy.

Borzywój, po radzie ze swojemi, nie królowi nie mówiąc, dnia jednego wybrał się do Wrocławia, do niego. Mało stryja tego znał, ufał przecie związkowi krwi z nim, że tam znajdzie radę i opiekę...

Na podróż tę przywdziać musiał odzież inną, aby się nie wydawać ludzkim oczom z tém że do dworu króla należał; a że i z twarzy go dość znano, przebierać się musiał manowcami i lasami ku Szląskowi, co podróż wielce przedłużyło.

Dopiero w świat ruszywszy przekonał się jak trudno było króla ratować. Wszystkie głosy odzywały się przeciw niemu, duchowieństwo trwoga, nawet lud, na który król rachował, odeгнаło od niego. Nikt nie myślał stawać w obrobie tego, którego dusza i ciało były w mocy szatańskiej.

Rycerstwo i ziemianie górę brali, sieli przestrach, nikt ruszyć nieśmiał przeciw nim. Pamiętano czasy po wygnaniu Kaźmirzowym, gdy cały kraj się zawichrzył i zasypał gruzami i popiołem; obawiano się ich powrotu, w ciszy i trwodze czekano jakiegoś końca. Za królem nikt się ani odezwać nie śmiał, choć może go kto i żałował.

Rozpowiadano już o cudach u grobu męczen-

nika, o orłach co porąbanych zwłok jego pilnowały, o światłości co nocami, nad grobem jego gorzała.

Borzywój kryjąc się z sobą, i czém był i z czém jechał, zmęczony i znękanym przybył wreszcie na dwór stryjowski. Tu u progu się opowiedział jako synowiec pański: ale niewiele to pomogło, bo nierychło go dopuszczono.

Biskup Jastrzębiec, był już starcem, złamanym wiekiem, z długą brodą siwą, o kiju chodzącym, ale na umyśle przytomnym. Gwałtowny charakter Odyłona w części po nim odziedziczył, chociaż go chrześcijańskie wychowanie znacznie złagodziło. Popędliwość ojca, w synu się stała surowością niezblaganą.

Mileczący kleryk zaprowadził Borzywoja po długiem oczekiwaniu, do Biskupa. Izba była przyciemniona, starzec opodal w krzesle poduszkami obłożony siedział, i gdy Borzywój stanął w progu, podnosząc nań oczy zbladłe z pod nawisłych brwi siwych, zapytał naprzód głosem ostrym:

— Z tych jesteś co przy królu byli?

— Z tych co przy królu są — odparł Borzywój z westchnieniem.

— Nie zbliżaj się do mnie! — Zdala stać! krzyknął biskup. Nieważ się z progu! — Czego tu chcesz? Wszyscyście razem z nim wykleć! Znać cię ani mówić z tobą nie chcę. — Precz!

— Miłość wasza, pozwoli.

— Powinni cię byli pod ten dach nawet nie wpuszczać — wołał biskup ręką bijąc o poręcz.

Czemuś go zaraz nie porzucił? — Odprawileś pokutę? przejednałeś się z kościołem? Mordercy! świętokradzcy!

— Jakże mogłem króla odstąpić, rzekł Borzywój, gdy wszyscy nas i jego odpychają, nawet rady znaleźć nie umiemy.

— Rady! — Niema jej dla bezbożników, dla zbrojców w grzechu zakamieniałych, mówił biskup.

Gdzie ten morderca?

— Na zamku w Krakowie.

— Trwa więc w złości swój, zabójca błogosławionego brata naszego i swojego. Kain ten krwią obłuzgany, rozpustą zgniły.

Borzywój zmilczał. — Biskup popatrzał nań surowo, zdawało się że w nim trochę litości obudził.

Borzywój niewiedziąc co już mówić ma spytał:

— Co król uczyniłby powinien, aby mu odpuszczono było?

— Azali mu ta zbrodnia odpuszczoną być może? krzyknął Jastrzębiec. Świętokradztwo! ojco-bójstwo! Jeden tylko biskup rzymski pan nasz, naznaczyć mu może pokutę, a ta lekka nie będzie.

Borzywój słuchał milcząc.

— Pokuta, mówił stary biskup, z powrozem na szyi, bosy, ze świecą w ręku, u drzwi kościel-

nych stać lata całe, kościołowi oddać wszystko co ma, a precz iść z kraju, bo pomazany krwią ojcowską, pomazańcem Bożym być nie może.

Wzdrygnął się Boleszczyc — biskup pilnie go śledził oczyma.

— Toż samo was czeka, służalców coście z nim byli. Ty? byłeśli tam? podniosłeś rękę?

Borzywój nie odpowiedział, ogarniał go przestrach i zgryzota, głowę spuścił jak winowajca.

Milczenie za odpowiedź starczyło.

Biskup rękę suchą wyciągnął i drzwi mu wskazał, uparcie trzymając palce drżące, skierowane ku nim. Borzywój nie odchodził

— Chwili mi tu nie powinienes zostać! wołał stary Jastrzębiec głosem wzruszonym. *Vade retro!* *Vade retro!* precz! — nieznam cię jako krew naszą. — Precz!

— Ojcie mój — odezwał się zimnym oblany potem Borzywój — pójdę, nie idzie mi o siebie, ale o pana mojego. Radźcie co czynić ma.

— Tak więc jeszcze kochacie tę potworę? — krzyknął Jastrzębiec — tak stoicie o tę zgniliznę co się tylko zdała na ogień piekielny? Ha! Czujecie że spółnictwo zbrodni was z nim wiąże! Razem djabłu wpadniecie w paszczę...

— Rady! krzyknął Borzywój błagająco...

— Niech się wlece w żebraczém odzieniu do Rzymu, niech tam u nóg Ojca naszego, papieża padłszy, błaga o rozgrzeszenie, a królestwo niech



opuści, bo dopóki on je kała przytomnością swoją, ani świętej ofiary, ani błogosławieństwa nie ujrzy ta ziemia: odłogiem zalegnie, spustoszeje, ogień ją pożre jak Sodomę i Gomorę.

Gniew wzrastał w piersiach biskupa, Borzywój nie śmiał się odzywać; myślał się już w ostatku cofnąć, gdy Jastrzębiec zawołał nań:

— Litość mam nad tobą, rzekł, jeżeli się kajać będziecie ty i twoi bracia, naznaczę pokutę i wyjednam oczyszczenie! Zostań poza obrębem mojego dworu, za bramą, los ci obmyśle.

— Ojciec mój, odezwał się Borzywój, dzięki wam składam najpokorniejsze, ale ja jeszcze sługą i do mojego pana powrócić muszę.

Zaledwie usłyszawszy tę odpowiedź, biskup się porwał trzęsąc z siedzenia.

— Precz zatwardziały! precz nie poprawiony, beieczny! który wracasz do nieprawości swój jako pies do tego co z siebie wyrzucił. Precz! noga twa niech tu nie postanie, oczy moje niech cię nie widzą więcej!

Biskup gwałtownie w ręce bić i kija wyszukawszy stukać nim zaczął, miotając się cały zburzony. Wpadł kleryk przelękły.

— Precz z tym poganinem! za wrota go wyrzucić! Niech mi nie kała podwórza i progu! — precz!

W gniewie namiętym biskup, któremu głosu brakło, upadł na krzesło, a kleryk zlekka za rękę

kaw ujawszy Borzywoja, natychmiast, wedle rozkazu, wywiódł go ze dworu.

Otwarto wrota, wyprowadzono konie ze dworu biskupiego, wyrzucono na ulicę i wrota się za nim zamknęły na wrzeczadze.

Po wyjściu jego jeszcze starzec zajadły, przywołał ludzi, nakazując im, aby mu ni chleba ni wody nie dawali, choćby z głodu umierał.

Pozostawszy tak na gościńcu u wrót, Borzywój, który choć chwilowo, spodziewał się przytułek znaleźć u stryja, w obcém miejscu, sam jeden, niebardzo wiedział jak się obrócić. Na dworze biskupim, miał wprawdzie bratanka Pawła, którego stary Jastrzębiec wziął do siebie, aby go do stanu duchownego sposobić, lecz o tego ani się teraz dowiedzieć, ni doń było można przystąpić. Chciał spróbować ludzi pytać, lecz po zatrzaśnięciu wrót, gdy przez okno go postrzeżono stukającego, nikt nawet mówić doń niechciał.

Stary Jastrzębiec długo potem uspokoić się niemógł.

Od niego Paweł, bojaźliwy, zahukany nowicjusz, dowiedział się o losie Borzywoja, lecz szukać go, mówić z nim byłby nieśmiały, jako z wyklętym. Kłątwa wszystkie węzły rodziny zrywała.

Borzywój pociągnął do miasta ubogięj sobie szukając gospody, aby trochę w niej spocząwszy, zaraz nazad powracać do Krakowa.

Po Szląsku już chodziły wieści, że się tu znowu Czechów spodziewano, którzy kraj, jako bezpański, prawem dawnego podboju zajmować chcieli. Przysposabiało się znowu rozerwanie królestwa i łupieżę.

Borzywój, który ze wszystkich najmniejszym był, nazajutrz już siadł na koń i wracał do Krakowa, postanowiwszy zataić przed królem co od biskupa usłyszał. Znowu temi samemi manowcami puścił się w swą drogę, unikając ludzi, omijając gościńce, noclegując po lasach i gęstwinach.

Gdy na Wawelu stanął, znalazł tu wszystko jak było, tylko garść co przy królu stała, zmniejszoną, a Bolesława ogarniętego jakimś szaleństwem niby wesołym, w istocie rozpaczliwym, urągającym się światu całemu. Przez tyle dni nie widząc Borzywoja, król gdy go znowu postrzegł przy sobie, nie spytał nawet gdzie był i co począł, popatrzał tylko nań długo, odwrócił się i poszedł.

Dumny król o tém co mu groziło, co go otaczało, dotykało, nie wspomniał nigdy, mówić nie chciał, zdawał się niewiedzieć. Występował z całym królewskim przepychem, sypał skarbami i o jutro niezdawał się troszczyć wcale. Z drużyną rozprawiał o łowach, koniach, sokołach, o kobietach, o wojnie, o dawnych czasach, nigdy o tém co się działo. Gdy kto słowo jakie wtrącił o spra-

wach obecnych, odbierał wejrzenie groźne i zmuszonym był milczeć.

Twarcz tylko królewska świadczyła, że to co z niego nie wychodziło, pożerało go wewnątrz. Żółkł, starzał, posepniał, a wesółym chcąc być, stawał się złym. Najmniejsze przewinienie we wściekłość go wprowadzało.

Wieczorem, po powrocie Borzywój poszedł z innemi za królem do sypialni, a gdy się tamci porozchodzili, u drzwi pozostał. Król zobaczwszy go, stojącego uparcie, w chwili gdy na sen kubek miodu dopijał, wedle zwyczaju, odezwał się ostro do niego:

— Czego ty chcesz odemnie!

— Miły panie, odparł Borzywój, czasem i o tém mówić trzeba co boli.

— Nie! zawołał król — o tém co boli tylko baby rozprawiają, mężowie ból powinni umieć zwyciężyć i śmiać się.

— Gdybyście pozwolili, miłościwy panie — odezwał się Borzywój.

— Mów, gdy cię język piecze — rzekł król niecierpliwie, mów a niebaw mi długo.

— Nie kazalibyście mi do Węgier jechać i przyprowadzić trochę ludu?

— Ja? prosić o posiłki u cudzych ludzi na domowe sprawy! — wybuchnął król. Cóż mi grozi! — Stoją i patrzą, poczynąć nic nie śmieją.

Lud trzeba ruszyć, a nie obcych ściągać, lud, gmin.

— Miłościwy panie—lud teraz się wyciągnąć nie da. Zapóźno.

Król się obruszył gniewny.

— Boście wy wszyscy baby, tchórze, i bez mózgu czereda! Nieumiecie nic, a ja sam od chaty do chaty chodzić niemogę.

— Od chaty do chaty chodzili księża i postraszyli ich...

Bolesław legł dopiwszy kubka, odwrócił się do ściany, i natychmiast zmienił rozmowę; chciał się dowiedzieć o liczbie ziemian i rycerstwa, które pod Wawelem stało. Borzywój nie umiał odpowiedzieć na to, uląkł się tylko, gdyż przewidywał myśl króla, który mógł z garstką sobie wiernych rzucić się na tchmy.

Wszystka ta gromada, jaką król miał przy sobie, ograniczała się do kilkuset głów zaledwie, a zbierający się ziemianie i rycerstwo po przedmieściach i stojący w okolicy, na tysiące się liczyli; byli dobrze zbrojni i przez samego niegdyś Bolesława do wojen zaprawieni. Byłato czujna straż otaczająca Wawel, wyczekująca na ustąpienie króla, do którego zmusić się go, naostatek choćby głodem, spodziewali...

Długo milezał król jakby usypiał, potem porwał się i zawołał sięgając do próżnego kubka, który sobie nalać kazał.

— Wyjść i stłuc to na miazgę, a będzie spokojnie!

Borzywój niemógł już milczeć dłużej.

— Miłościwy panie, rzekł, gdybyśmy ich nawet pobili, jeżeli sami rozpoczniemy wojnę, gdy oni porywać się nie śmieją, ściągniemy na siebie wszystko co żyje i nie ujdzie nas ztąd ani noga.

— Nieprawda! — krzyknął Bolesław nie zwyciężąc mnie i nie uczynią mi nic. Imię moje popłochu sprawi! Pierzchną jak zające przedemną, gdy śmiało spadniemy im na karki. Nieprawda! Lud się naówczas ruszy gdy zobaczy że wojna ze zdrajcami rozpoczęta.

Borzywój chciał coś rzec, król zamknął mu usta, nieznosił przeciwnieństwa, począł łajać i uragać drużynę swą zwąc tchórzami, zdatnemi do kądzieli i spódnicy, lecz i o wycieczce zamilczał.

Nazajutrz jakby się do wytrzymania oblężenia przygotowywano, wysłano w okolice po żywność i zapasy, król opatrywał wały, ostrokoły i bramy. Srogi był, gniewny, lecz czynny i rozgorączkowany. Borzywojowi już słowa sobie powiedzieć nie dawał i unikał z nim spotkania.

---

Upłynął rok cały.

Pomiędzy królem a krajem trwała tu wojna niekrwawa, milcząca, zacięta, w której nikt się do oręża nie śmiał porywać, ani go składał, a z obu stron walczone uporem, trzymając się na stanowisku.

Gromady snuły się, pod sam zamek podchodząc, rozkładając się u stóp jego; nieustraszony pan siedział na grodzie swym i urągał się im królewską pychą, starym obyczajem, świetnym dworem. Z całego państwa pozostała mu posłuszną jedna ta góra Smocza, a z zastępów mnogich, tylko ta garść ludu, którą umiał do siebie przywiązać.

Dwie królowe pędziły dni w nieustannych łzach i trwodze. Niewiasty przynosiły im wieści

straszne, o jakichś napaściach, zdradach, rzezi i zemście. Niejedną noc dwie panie przekleżały przed obrazami świętymi, modląc się i oczekując śmierci. Po kilkakroć młoda królowa na klęczkach namawiała Bolesława do ucieczki; król ze śmiechem przyjmował namowy i nie odpowiadał na nie.

Stara matka tylko milczała, ta, jak syn, nie chciała się dać wygnać i gotową była czekać na los jaki ich mógł spotkać, nie ruszając się z zamku.

— My tu panami, mówiła — król namaszczone i koronowany, nie mu uczynić nie mogą. Choćby poszli ztąd wszyscy, ja się nie ruszę, tu umrę — nikt mnie palcem tknąć nie będzie śmiał.

A gdy Wielisława tuląc syna, w imie dziecięcia się odzywała, nawet to nie poruszało babki: stawiała zamyśloną, pewna siebie, niezlamana i powtarzała:

— Róbcie wy co chcecie, ja tu umrę, ja się nie ruszę.

Bolesław też zdawał się bodaj chcieć umrzeć na swym grodzie z koroną, niżeli ją dać wydrzeć sobie.

Druga wiosna (1080) nadchodziła. Zamek na Wawelu wyglądał jak gród długiem oblężeniem znękany. Na podworcach jego trawa rosła, a dla koni brakło paszy, dla ludzi strawy; z czeladzi coraz ktoś wymykał się i nie wracał. Pilnowano u wrót, nocą spuszczały się z ostrokołów na wały i znikali. Trwoga i niepokój ogarniały najśmiel-



szych, lecz ktokolwiek odważył się szemrać, król strasznemi groźby i przekleństwami usta mu zamykał. Niektórych sromotnie poprzybieranych w skórki zajęcze, z kądzielami u pasa, na pośmiewisko z zamku kazał wypychać.

Półowa budowli na Wawelu pustką już stała, do stołów nie było przychodzić komu, do wesołości trudno było przymusić. Zaufani wysłańcy królewscy próżno nocami po osadach chodzili i przekradali się próbując zaciągać lud do pułków królewskich. Strwożona czerń, panów swych widząc pod bronią, lękała się ich zemsty nad rodzinami i ruszyć nie śmiała. Potajemnie dawano królowi żywność i paszę, ale się go jawnie zapierano.

Pomimo téj trwogi, król nie poprzestał, jak za dawnych czasów, jeździć na łowy, nakazując tylko pilno strzedz wrót i wałów, później dowiedziawszy się iż czasu jego niebytności probowano ubiedz Wawel, nawet téj rozrywki wyrzec się musiał.

Siedział lub leżał, najczęściej w izbie swój ze psami, czasem w oknie z którego szeroki kraj i Wisłę widać było — całemi godzinami mruczał coś do siebie, rzucał się i przeklinał. Gdy kto z ludzi wszedł wesołego udawał, a szczodrym był jak nigdy.

Z téj wesołości najmniejsza rzecz do wściekłości i gniewu go obudzić mogła. Naówczas z tych

resztek ludzi co przy nim pozostali, wybierał ofiary gniewu swojego: ścinał, wieszał, i nazajutrz postradanych żałował.

Jednego ranka gdy na pół odziany jeszcze ze psy swojemi siedział, konia sobie kazawszy przywieść pod okno, aby się nań choć popatrzyć, wszedł Borzywój, który teraz podkomorzego przy królu sprawiał obowiązki i — po długim wahaniu, oznajmił iż ziemian kilku u wrót czeka, domagając się z królem rozmowy.

Zadumał się Bolesław — pierwszą myślą jego było kazać ich precz odegnąć, z niczem dobrem przyjść nie mogli. Już miał rozkaz na ustach, gdy zmienił postanowienie, i wołać ich kazał. Sam zaledwie się przyodziawszy poszedł do izby, w której dostojniejszych gości dawniej przyjmował.

Gdy się tu znalazł sam, mimowoli stanęła mu przed oczyma ostatnia bytność biskupa: cień zabitego zdało mu się widzieć tu jeszcze, grożącego karą niebios. Zachmurzony padł na swe siedzenie królewskie, oczy odwracając od tego miejsca, w którym zdało mu się widzieć widmo krwawe, z roztrzaskaną czaszką, pozywające na sąd Boży.

Wtém kroki się słyszeć dały, Borzywój prowadził za sobą Leliwę, Brzechwę i Kruka.

Dawniej nie tak oni do królewskiego zbliżali się majestatu. Dziś szli jak do obcego, któremu nie nie byli powinni — wsunęli się powoli, nie

skłonili głów nawet, u progu stanąwszy zdala — rozglądać się zdawali obojętnie.

Bolesław patrzył na nich oczyma nienawiści pełnemi, oni odpowiadali mu dzikiemi wejrzeniami. Milczenie trwało dość długo.

— Myśmy tu przyszedli — przemówił Leliwa, bo ezas eoś stanowiąc — kraj się bez pana nie ostoi. Nim my was głodem weźmiemy, może upłynąć kilka miesięcy. Idźcie lepiej dobrowolnie ztąd, zanim my was wyżeniemy.

— Tak, idźcie sobie na Ruś, pochwyć Kruk, albo i gdzie się wam spodoba — bo tu długo siedzieć nie będziecie — nie.

— Nas dosyć jest, dodał Brzechwa, aby i zamek zdobyć i ludzi wyrzezać — nie musicie nas do tego, nie czekajcie na to. My wam wolne wyjście dajemy.

— Węgier wam też sprzyja za dawne posługi, toć i do niego możecie — dodał Leliwa.

Milczał król słuchając jakby nie słyszał. Nigdy nikt jeszcze do niego tak się mówić nie ośmielił. W serce mu miecz wrazili temi słowy. Podparty na rękę śmiał się.

— Jacyżście to miłościwi nademną! krzyknął — wolne wyjście mi dajecie! wy! mnie!

Nagle mowę przerwał, wstał i innym głosem zakrzyczał.

— Miłościwe pany, won a żywo! bo was jak psów powieszać każę!

Ziemianie wcale się nie ulękłszy, popatrżeli na siebie i Leliwa odpowiedział spokojnie:

— Powiesić nas pewnie możecie — myśmy o tém idąc tu wiedzieli. Co z tego? my starzy, nie wielka nas szkoda, a do wieczora i kamień na kamieniu tu nie zostanie.

Popatrzcie ilu nas tu do koła stoi? Nie chcemy krwi waszój, bo choć nam królem nie jesteś, aleś nim był. Puścimy cię ze wszystkiem co masz kędy chcesz. Miłosierdzie czynimy.

Milczenie głucho nastąpiło — Bolesław sam do siebie powtarzał.

— Miłosierdzie! oni, mnie! miłosierdzie.

— A miłosierdzie, powtórzył śmiały Brzechwa, łatwoby nam nielitościwemi być. Jest przy was może parę setek ludzi, a nas na tysiące nieczese się liczą i takie co dawniej wam służyły. Na pospólstwo rachowaliście — ale my się nim ruszać nie damy.

Zamilkli, król spuścił się na siedzenie i milczał także.

Zmiana jakaś dziwna, nagle zaszła w jego usposobieniach, gniew ustąpił goryczy.

— Cóżem ja wam uczynił? zapytał.

Posłowie popatrżeli na się. Jeden drugiego do mówienia oczyma naglił, aż Kruk się ozwał.

— Od Kijowaście się zaczęli znęcać nad nami, niewiasty nasze sukani zwaliście, nas w niewolę

chłopom daćście chcieli, albo to mało? a krew biskupa?

Król rzucił się gniewnie znowu.

— Zdrajcą był! krzyknął — spotkała go kara zasłużona.

— Gdyby nawet był nim, przerwał Brzechwa, a któż go nim uczynił! kto jeżeli nie wy?

Bolesław jak nie słuchając patrzył w strop nad sobą.

— Chrześcijańskiemu narodowi panować nie możecie — dokończył Leliwa.

Miotał się czas jakiś Bolesław, zdając się z sobą walczyć, czy ich miał za zuchwalstwo karać; potem, niby zapominając o nich, odwrócił się ku oknu otwartemu i zapatrzył w dolinę.

U podnóża Wawelu roilo się kupami rycerstwo, ziemian i zbrojnych pocztów. Gwar od nich aż tu dolatywał.

Posłowie, nie czekając odpowiedzi, widząc że o nich zapomnieli, poszeptawszy coś między sobą, zawrócili się i wychodzić poczęli. Król siedział jakby wrósł w krzesło swoje, nieporuszony, nie dając żadnych rozkazów, nie zdając się zważać na wychodzących. Nie tknięci i nie zaczepieni przez nikogo przeszli przez szeregi stojącej drużyny i dworu, wiodących za nimi oczyma i bezpiecznie do wrót się dostali. Straż ich wypuściła.

Jeszcze król nie wstał z siedzenia, gdy królowa Wielisława z synem przybiegła, i rzuciła mu

się do nóg z płaczem, błagając aby siebie i dziecko swe od zagłady ratował. Zamek otaczały, naciskały tłumy coraz groźniej.

Bolesław nie spojrzał nawet ani na nią, ani na dziecko swe, porwał się z siedzenia nagle, i jak od uprzykrzonego unikając widoku, wyszedł nagle.

W istocie dnia tego obozowisko Wawel otaczające, poruszone było, zwiększało się coraz i zdawało gotować do jakiegoś stanowczego kroku. W kilkaset ludzi ani się bronić długo, ani obronić było podobna tłumom, niemając żadnej odsieczy nadziei. Bolesław sam szedł na wały, patrzył długo, dumnie i wrócił krokiem wolnym do izby. Zawołano Borzywoja, skarbnych i pułkowników. Król stał blady, z wyrazem hamowanego gniewu i złości na czole pośladowanym.

— Skarbiec mój na wozy ładować. Ludzie niech będą pogotowiu do jednego. Nie jeden Kraków dla mnie na świecie. Wyjdę ztąd z garścią, a wrócę z tysiącami, ale biada tym, których tu zastanę!!

Natychmiast starszyna poczęła wydawać rozkazy do drogi, które wszystkim były pożądane.

Rzucili się ludzie ochotnie.

Dnia tego widać było tylko ładowane wozy, ściągane sakwy, konie które sposobiono, zamęt który podróż poprzedza. Król z izby się nie ruszył, nie spojrzał, nie spytał o nic, pytających precz odganiał; leżał odrętwiały i zobojętniały,

psy kośmi drażniąc i śmiejąc się, gdy się gryzły. Gwar ogromnego tłumu, który chwilami wiatr otwartemi przynosił oknami, nie zdawał się go obchodzić.

Cała ta noc zeszła przy pochodniach na przyspieszonych przygotowaniach. W mieszkaniu dwóch królowych, niewiasty płacząc odzierały opony, chowały sprzęty, biegały wylekłe z rąk wypuszczając bezsilnych, co która chwyciła. Wielisława tuliła syna. Mieszko dopytywał, niemal wesół, dokąd jadą?

Stara Dobrogniewa jak pierwój rzekła, tak strzymała — ona ani jej dwór nie myśleli z zamku wychodzić. Ochmistrzowi swemu rzekła niewiasta surowa:

— Niech sobie idzie kto chce, a ja tu zostanę. Królową jestem i mam prawo tu być, tu będę mieszkała i tu umrę. — Niech ucieka kto chce — ja zostaję!

Próżno prosiła ją synowa, błagał Mieszko. Pogłaskała go po włosach miękkich, pocałowała w czoło, dwie łzy się jej puściły i rzekła:

— Idźcie wszyscy, ktoś przecie zostać musi, aby ród królewski nie zginął cały i nie ustąpił miejsca... Niech mnie wypędzą, zobaczymy czy będą śmieli, lub niech zabiją — ja zostanę!

Powiedziano o tém królowi, posłuchał i nie rzekł nic. Nie myślał się jej sprzeciwiać. — Wieczorem poszedł sam do niej.

Spojrzała nań Dobrogniewa.

— Idź, panie mój, rzekła — wam trzeba iść, pomocy u ludzi szukać, ja starych kości wlec nie myślę po szerokim białym świecie. Ja na was tu będę czekała. — Tu zostanę.

I jakby dla nadania sobie samej siły, Dobrogniewa powtarzała ciągle. — Zostanę tu!

Nazajutrz jak świt wszystko było na nogach, zamek stał odarty i opustoszony... podwórce pełne jak nabite ludem się roily.

Gdy królowę z Mieszkiem wyprowadzano do wozów, które iść miały w pośrodku, stara Dobrogniewa, którą dwóch jej wiernych komorników pod ręce prowadziło, wyszła ze złotym obrazem w ręku, ze dwoma łez strunieniami na oczach, kazała się trzymać ludziom, i drżące ręce podniósłszy do góry z obrazem, odjeżdżających błogosławiła.

Naprzód jechał sam król na siwój orlicy pod złotą deką, we zbroi pozłocistój, w płaszczu królewskim, z łańcuchem na szyi, z pasem kamieniami sadzonym, ubrany jak zwycięzca, w hełmie z koroną... Na bladej twarzy dumę widać było i wzgardę — żadnej skruchy i upokorzenia. Patrzył z góry i grozić się zdał. — Powrócę!

Za nim jechali zbrojni, obwieszeni łukami, żelazem, mieczami, Boleszeczyce, drużyna, dwór, czeladź, żołnierze, między siebie wzięwszy długi szereg wozów ładowanych skarbami. Koni powo-



dnych, psów myśliwskich i sokołów. Na wozach płachtami pooslaniane jechały zawodząc niewiasty, dzieci, chorzy...

Ani się obejrzał król opuszczając zameczysko, oczyma dumnymi mierzył przed się. — U boku jego powiewała chorągiew, niesiono miecze, szli z rogami ci, co ludziom niemi rozkazy dawać mieli.

Gromadka wiernych Boleszczyców, z dobytymi mieczami stapała w ślad za panem. I oni także rodziny, domy, ziemię swą, wszystko rzucali, dochowując ślubowanej wiary, wiedząc że albo głowy za nią dać będą mnsieli, lub długie lata cierpieć na wygnaniu wśród obcych i w poniewierce. Na twarzach z bolem widać było żelazne męstwo związane.

Drgnął czasem który słysząc za sobą płacz niewiast i kwilenie dzieci, i wnet się krzepił aby sercu nie dać mięknąć. — Gdy wszystko to wyciągnęło z podwórców, zamek pozostał pustym; kilkun ludzi z Dobrogniewą, a u bramy jeden starzec powietrzem tknięty, co sobą nie władał, zostali załogą.

Orszak wysunął się za wrota, które otworem rzucono, i postępował poważnie wyciągając się powoli. U podnóża góry przez ściśnięte tłumy ziemian zdało się trudnem przerzuć, nie dobywając oręża. Spojrzeli po sobie ludzie, ażali ich

umysłnie nie wywiedziono w pole. Lecz król przodem jadący ze swemi, drogę sobie łatwo torował.

Zdała już rozstępowali mu się w milczeniu ziemianie, jak przed pogrzebem, idąc z gościńca.

Nikt sztyka nie podniósł, ale nikt nie rzekł niezdarnego słowa, ani śmiał nieszczęściu uragać. Patrzano na się z równą dumą, król na nich, oni na tego co był ich królem.

Milczenie jakieś straszne zalegało dokoła, nie mruknął nikt, nie odezwał się, nie poruszył. Gdy wozy królowej i płaczące nadciągały niewiasty, chmurniały twarze — puszczo no nie żegnając.

Rodziny Boleszczyców, Jastrzębce, Drużyny, Śreniawy, gdy je mijał orszak królewski nie dały znaku swoim braciom, nie obejrzały się ku nim. Szli wierni słudzy na wygnanie. Zaparci przez swoich — żadna się do nich dłoń nie wyciągnęła.

Dopiero w dali za orszakiem króla, który zwolna za Wisłę się przeprawiał, szmer zaczął powstawać, rosnać, wrzawa się zrywać zaczynała.

Leliwa i Brzechwa cheieli zaraz pusty zamek zajmować, drudzy go pustym zostawić cheieli do póki by nowego króla nie było i kościelna kłątwa z ziemi i grodu nie została zdjęta.

Wtém wśród narady nadszedł ktoś z doniesieniem, iż stara królowa matka, z kilkorgiem czeladzi, pozostała na zamku i ustępować z niego nie myślała. Starszyczna zdumiała się jej mężtną, lecz je poszanowała. Posłano wnet do Dobrognie-

wy, zapewniając ją iż bezpieczną pozostać może, a o potrzebach jój staranie mieć będą starsi. — Dowiedziawszy się o niej na zamku, tém już mniej zajmować go myślano, porzucono go jak był pustką i ruiną.

W obozie ziemian dnia tego wesele było wielkie, jakby z odniesionego zwycięstwa. Dzień jeden stali wszyscy, aby się upewnić że król nie powróci, naradzić co czynić dalej, rozesłano posłańców do biskupów, do żupanów po zamkach i grodach, a drugiego dnia groźne owe zbiorowisko od podnóża Wawelu, rozbiegać się, rozjeżdżać i rozechodzić zaczęło.

Tegoż samego dnia, gdy król z krakowskiego zamku wyciągał; na mogiłki w Górze, wieziono czarnemi wołami zaprzężonym wozem, trumnę przy której nie szedł nikt, tylko matka stara, zestarzały nagle Mściśław, mąż Krysty i płaczki najeżone. — Szalona niewiasta, rok przeżywszy naprzemiany we łzach, obłąkaniu, śpiewach, snach i boleściach, jednego ranka, marząc o lepszym świecie, już się nie zbudziła. Matka ją w gzło białe odziała płacząc do trumny, mąż narzucił kwiatami, wywieźli na wzgórze, i w żółtym piasku pochowali.

---

V.

Epilog-

Znowu upłynął rok i była wiosna, nie ta co się budzi leniwa, senna, drzémiąca, jakby się jéj na świat nie chciało, ale spóźniona, spiesząca się, którój pilno zmieść zapomniane śniegi, połamać lody, wyzwolić ziemię, rozwiązać pączki zamknięte i życiu otworzyć wrota.

Długo na nią ludzie oczekiwali, lecz przychodziła teraz zdyszana i robiła cuda. Gdzie wczoraj jeszcze skorupy leżały brudne, dziś już tryskała zieloność, drzewa rozwijały liście, potoki wezbrane leciały z gór unosząc z sobą ogromne suchych drzew kłody i kamienie obłamane. Nigdzie może piękniej i groźniej z całą wszechmocnością swą nie występowała wiosna, jak w tych górach lasami okrytych, które otaczają benedyktyński klasztor w Ossiaku.

Tu Ojciec Otton, który po wygnaniu go z zamku krakowskiego, zrazu się udał do Mogiły, za rozkazem zwierzchności swój przeniósł się dokońca żywota. Rok już przeszło staruszek wśród nowój znajdował się braci. Przyniósł z sobą mały węzelek swój, deski i farby, chcąc i tu na chwałę Bożą pracować malując, ale i wiek i trud i lży może wzrok mu nadwątliły. — To co stanowiło największą rokosz cichego żywota — praca około obrazków świętych stała się niepodobieństwem, widział mało, mgłą zachodziły źrenice.

Znać pan Bóg żądał odeń ofiary téj. O. Otton poddał się z pokorą woli pana, rzekł: Stań się wola twoja, i przełożonego ucałowawszy w rękę, prosił go o inne zajęcie.

Niegdyś czytał był wiele ksiąg lekarskich, znał zioła, przy klasztorze była mała apteka, przyszło mu na myśl, iż około niej chodząc mógł być jeszcze użytecznym.

Skromnie i pokornie poddał to przełożonemu, który ochotnie się zgodził aby O. Otton zajął się zbieraniem ziół, przygotowywaniem smarowań, maści i wód, jakich natenczas medycyna używała. Stało się to wielką dla staruszka pociechą, gdy nowe znalazł zajęcie. Modlitwa żywiła ducha jego, ale sama reguła zakonu i charakter jego wymagał czynnego zatrudnienia do życia. To było znalezione, i O. Otton prawie oczu swych i malarstwa nie żałował.

Już jesienią rozpoczął przechadzki po górach, szukając ziół o których cudownych własnościach miał wiadomości, lecz jesień ledwie go zaopatrzyła w korzonki roślin, kwiatów musiał czekać do wiosny. Najskuteczniejsze liście młode, pączki, kwiecie dać mu dopiero miała ta pora roku co nowe soki wlewa w martwe i uśpione istoty. O. Otton oczekiwał jój jak wybawienia z zimowej niewoli, — a w tym roku później jakoś niż zwykle przychodziła. Góry długo stały śniegiem okryte, lasy szronem osypane, ziemia oblezona zmarzłymi skorupy, słońce się nie ukazywało, wiatr z południa nie zwiastował zmiany. Ale ptastwo wędrownie już górą ciągnąć zaczynało, o południu czasem tajały na dachach śniegi, a jednego dnia rozdarły się zasłony płowe, i wesołym blaskiem oblała okolica. Wiatr już wiał z południa.

Naówczas w mgnieniu oka prawie, jak to bywa w północnych krajach, metamorfoza świata się dokonała. Zima co już się zdawała wieczną, nie przeżyła dnia jednego słonecznego. Poruszyło się w górach wszystko, spadły dėszeze, powiały wiatry gorące, topniały śniegi w oczach i strumienie, których wczoraj nie było, dziś się stały groźnymi rzekami. O. Otton patrzył na to przez okienko swój celi i radowała się dusza jego... miały mu zakwitnąć pierwiosnki, miały pęknąć pączki brzozowe, leśne bogactwa dla niego się rozwijały.

Nigdy dzieło bożej ręki cudowniejszemu mu się nie wydawało... To budzenie się do życia całej natury, łzy zachwyty wywoływało mu na oczy. Cudem zdawało mu się wszystko, choć tyle wiosen przeżył w życiu swoim, choć tyle ich widział i pamiętał. Zdało mu się że żadna jeszcze taką jak ta nie była.

Drugiego dnia stała się zieloność na łąkach w górach, trzeciego ponabierały pączki i przyleciały jaskółki niespokojnie lepić gniazda, bociany chodziły po nad strumieniami, dzikich gęsi wily się sznury spóźnione, i żorawie klekotały gdzieś lecąc pod obłokami wysoko.

Nawet w spokojnym Ossiackim klasztorze, którego życie latem i zimą jedno było, wiosna przyniosła wesele i głośniejsze chóry nocne zakonników chwałę nuciły bożą. Dla wielu z nich jak dla O. Ottona pora ta zwiastowała także pracę w polu, ogrodzie, około budowli, od której odpędziła zima. Radowali się wszyscy, bo praca nie karą bożą, ale darem najdroższym Opatrzności, osładzającym życie. I jednego dnia tej wiosny tak szybko nadeiagającej i wesołej, O. Otton z kijem w rękę, z nożem w kieszeni, z koszyczkiem, w którym chleba i sera był kawałek, wychodził już, za pozwoleniem przełożonego, z furty klasztornej na cały dzień, na łowy lekarskie, po zioła, pączki, korzonki i co las a góry dać mogły. Śmiała mu się pomarszczona twarz z pod

czarnój czapeczki, która całą głowę i uszy zakrywała. Już miał wyniść, gdy O. Augustyn przełożony zjawił się we drzwiach klasztornych i widząc go w progu, rzuciwszy okiem na to co koszyzek zawierał, ozwał się doń łagodnie.

— A wzięliżeście ojeze Ottonie, choć małą flaszeczkę wina, abyście mieli się czém pokrzepić. W waszym wieku, niezbędnie to potrzebne, reguła pozwala, zdrowie wymaga.

O. Otton potrzasał głową.

— A woda? z tych kryształowych źródeł górskich, nie jest że to najzdrowszy z napojów?

— Przyda się do niej dla was choć kropla wina — dodał O. Augustyn.

I skinąwszy na przechodzącego braciszka, kazał mu z refektarza przynieść małą wina flaszeczkę, którą pod posłuszeństwem wziąć polecił, aby od wody staruszek febry, na wiosnę częstą, nie chwycił.

O. Otton podziękował, choć mu się to wcale potrzebném nie wydawało. Przełożony wesóło życzył mu szczęścia, zalecił ostrożność i tak go w góry wyprawił. Wyszedł staruszek powoli krocząc i rozpatrując się po świecie. Dzień był prześliczny, dzień złocisty, na niebiosach świąteczny, na ziemi radośny, a O. Otton modląc się Bogu zań dziękował. Piękniejszego na podróż w góry wybrać było niepodobna. Powietrze nie gorące ni chłodne, żywilo nie osłabiało, wiatr chodził



ostróżny, aby się nie naprzykrzył nikomu, promienie słoneczne nie dopiekały, a wśród ciszy pozorniej, chóry pieśni brzmiały, gdy się ucho wsłuchiło w nie. Śpiewała pszczoła pieśń miodową, szczebiotała jaskółka gniazdkową, skowronek rolniczą, bocian satyryczną, a strumień stary plotkarz bełkotał trzy po trzy nowiny, które niósł do morza.

I ludzi nie było dokoła, ani ich gwaru, ni swaru, ni troski, ni śmiechu straszniejszego czasem niż płacz sam.

Staruszek znał już wszystkie ścieżyny w góry i lasy... Były one zaledwie dojrzane dla innych, dla niego znaczne bardzo, a choć się piąć było trzeba po nich, z pomocą kija, powoli idąc, oddychając, O. Otton dostawał się na najwyższe wierzchołki.

Na tych to wyżynach rosły i kwitły kwiaty, których doliny nie miały, a stanawszy na górze, cóż to za widok u stóp staruszka się roztaczał! Oczy jego co na książce z trudnością czytały, skutkiem popsucia swojego, w dal sięgały wielką i dopatrywały czego pospolitego człowieka wzrok nie mógł zobaczyć. Tam stały szeregami wierzchołki białe, szare, sine, zielone, gór piętrzących się ku niebu, po których szczytach czepiały się chmury jak dymy, bliżej zieleniały całe boki wzgórzów lasami przyodziane, majowemi łąkami poprzecinane, a gdzieś wśrodku drzew bieleły

i złościły się, szarzały i czerwieniały jak odrąbane skały ściany, po których leciały w dół pianą okryte strumienie. Na te obrazy pięknego górskiego świata bożego — O. Otton czasem się zapatrywał aż — do grzechu! Wyrzucił sobie nawet to rozmiłowanie się w pięknościach znikomego świata — choć tłumaczył sobie, że w niém było i uwielbienie wszechmocności Boga. Gdy patrzył, lzy mu płynęły jakieś, z nieznanego źródła, i były niemal modlitwą.

Cóż gdy na ten krajobraz bez końca, którego skrajów nie mogło dosięgnąć oko — padły cienie od chmur i promienie słońca, czyniąc sobie igraszkę jakby z gór jasnych, które czyniły ciemnymi, czarnych które nagle okrywały blaski złotemi. Wówczas świat ten ożywiał się, mienił, dyszcć się zdawał i przechodzić jakieś dzieje rozkoszy i boleści. Całunem mgły osnuwała się góra i stała jak wdowa w żalobie, a drugie urągały się jój purpurą i złotem. To znowu z między dwu chmur strzelał promień długi niby oszczep złocony, przerzynał lasy, nbielał skały i odkrywał kątki rozkoszne jak ogródki, które wprzód ciemność światu kradła. Jak łaska z niebios zstępowała jasność na lasy i wydać je było z najdrobniejszych gałązki, jakby z bronzu odlane, na tłach sinych gór dalekich. Chwila tylko, chmura tylko, wnet co się pyszniło już znikło, co nie żyło wstało do życia...

O. Otton gdy się nakarmił widokami temi, gdy się w piersi nabił za to, że się zbyt niemi rozkoszował, szedł i zbierał już pilnie zioła.

Tego dnia stała się rzecz dziwna z nim, bo się dał słabostce małej uwieść i zapomniał o celu wycieczki. Równie jak roślin, O. Otton ciekaw był i stworzeń bożych, ptastwa, zwierząt, motylów nawet i muszek.

Zaledwie wszedł w las ścieżyną sobie znajomą, na gałęzi drzewa postrzegł ptaka, którego nie widział w życiu.

Zdało mu się, że to być musiał przybysz z obcych krajów, może wędrowiec, który tylko w drodze spoczywał. Ptak był kształtny, ale szczególniej pióra jego wdzięczną barwę miały, skrzydła zdobiły niebieskie wyłogi jasne, blade lazurowe... O. Otto nigdy w lesie podobnego nie spotkał ptaka. Chciał mu się przypatrzeć zblizka, podchodził ostrożnie, ale ptak, dawszy się zbliżyć do siebie, unosił nieco dalej i o kilka kroków przysiadł znowu.

O. Otto podchodził ostrożnie bardzo, po cichu, kryjąc się za gałęzmi, lecz zaledwie przystąpił nieco, niebieskoskrzydły zlatywał z gałęzi, często niedaleko sobie obierając nową, na której siedząc to piórka poprawiał, to dzióbek czyścił o drzewo, to nóżkę jedną podnosił i skrobał się nią. Zdawał się nie lękać wcale podchodzącego, ale nie życząc sobie, aby mu się przypatrywał

zbyt blisko — porywał się i leciał dalej, zawsze w jednym kierunku, w głąb lasu. Ani się spostrzegł O. Otton, gdy za ptaszyzną tą zaszedł tak daleko, że gdy się obejrzał za siebie, już przez pnie drzew, sinych w dali gór widać nie było. Znając doskonale okolicę, bynajmniej się tём nie strwożył; postanowił się ciekawemu ptakowi przypatrzeć i szedł dalej jeszcze. Tu już gąszcz leśna zaczynała być coraz mniej dostępną, ścieżynka nawet pod stopami niknęła, a zastępowała ją wyryta wodami w ziemi rozpadlina, którą reszta zbiegających z wierzchołków wód spadała w dolinę...

Dziko było i samotnie, wśród drzew zielonych, przebijały się już ciemne gałęzie jodeł starych, a gdzieś tam obnażone ich pnie, jak ogromne słupy. Na drodze leżały w poprzek na pół zgniłe kłody, susz obłamana wiatrami jesiennymi, ślizgie mechy i na pół przegniłe liście kupy.

Ptak, który ciągle był na widoku, znikł gdzieś w czarnych tych powieszanych ku dołowi, ciężkich świrków konarach; droga stawiała się ciężką nie do przebycia, temu brakło starcowi, obejrzał się nareszcie, czy gdzie nie znajdzie kłody na którejby mógł przysiąść i spocząć.

W lesie panowała cisza uroczysta świątyni, ani listek się nie poruszał, zaledwie bliżej podlatujących muszek brzęczenie chwytало ucho. Podszedłszy jeszcze kilka kroków, O. Otton znalazł

obalony pień wywróconego drzewa, na którym jeśli nie usiąść, mógł się zeprzeć przynajmniej. Pot biegł mu z czoła. Chwilę tu postawszy i oglądając się, czy której z górskich roślin, potrzebnych mu, nie odkryje — nagle usłyszał dźwięk jakiś dziwny, niezrozumiały, dla którego i o ptaku, i o kwiatach zapomniał.

Wśród milczenia puszczy, nieopodal gdzieś słychać było niby jęk, niby oddech ciężki, — z piersi jakby ludzkiej się dobywający. Mogło to być sapanie dzikiego zwierzęcia? Nie — O. Ottonowi razem z tym głosem przyszło poczucie, że jakiś człowiek nieszczęśliwy wydawać go musiał. Ta-kiem westchnieniem z głębi piersi nie dysze zwierzę żadne.

Wnet ustąpiło znużenie własne, a obawy nigdy na chwilę nie miał staruszek, ruszył się więc żywo, posilkując kijem swoim ku górze, idąc na to stękanie, które coraz bliższemu mu się być zdawało. Oczywiście naokoło szukał i podpatrywał z kąd głos mógł wychodzić.

Przed nim stał ogromny dąb stary, którego cień i korzenie rozpuszczone szeroko, żadnym zarostom dokoła puścić się nie dawały. Mała trawka i mchy okrywały jego podnóże. Tu u pnia, dostrzegł Otton leżącego człowieka, u którego nóg pies jeden leżał jak zdechły, drugi dogorywać się zdawał. Sam człek, gdyby nie ciężki oddech co mu się z piersi wyrywał, za trupa mógł być

wzięty. Nie poruszał się wcale. Głowę miał na zgiętym ręku opartą, zwróconą ku górze, bladą, z zamkniętymi oczyma i usty otwartymi. Włos obfity rozkładał się około niej w nieładzie. Na sobie miał suknię ciemną, i płaszcz, który podeślał na ziemi, u boku miecz w pochwie. Obok leżał łuk rógowy piękny i oszczep. Z ubioru i twarzy poznać było można możnego pana, który albo się zbłąkał na łowach, lub ranny, sam jeden, legł nie widząc już dla siebie żadnego ratunku.

Na sznurze który przewieszony był przez plecy, mnich dostrzegł róg maly, w kawalki zdruzgotany. Tłumaczył to poniekąd, że nikogo do siebie przywołać nie mógł. Na widok tego nieszczęśliwego, O. Otton zrazu się żywo poruszył, pies który u nóg pana konał, podniósł głowę nieco, spojrzał nań oczyma jakby wzywającemi ratunku i padł bezsilny. — Z oczyma wlepionemi w twarz tę bladą pośpieszał zakonnik, gdy nagle podszedłszy bliżej, a wpatrzywszy się w nieznajomego, jak osłupiały stanął. Oparł się o drzewo, zdając wahać już czy iść miał dalej. Oczu nie spuszczał z leżącego, a na twarzy jego malowała się walka wewnętrzna. Wreszcie złożył ręce jak do modlitwy, podniósł oczy ku niebu, łza mu się pod powieką zakręciła — i, jakby prze-mógłszy przeszkodę jakąś szybszym krokiem przybliżył się do nieszczęśliwego, który ani szmeru rozgarnianych gałęzi, ani chodu nie zdawał się

słyszeć. Leżał tak, konać się zdając, mąż ogromnej i silnej postawy, złamany cierpieniem jakimś i walczący z pozostałą życia odrobiną, przeciw zbliżającej się śmierci. Strasznie blade miał lice, sfałdowane czoło, a dokoła ust, ból ściągnął policzki i nadał mu wyraz męczeński. A jednak, mimo tej męki widać w nim było niezłamaną jeszcze dumę i jakby urąganie się cierpieniu.

O. Otton, złożwszy kij swój i koszyczek, podszedł i przyklęknął przy nim. Wierny pies leżący u nóg jęknął dziwnie...

O. Otton zlekka rękę do czoła przyłożył zemdlalemu.

Zaledwie ona spoczęła na niém, gdy całe ciało zadrgało, głowa się poruszyła, oczy otwarły czarne i widać było usiłowanie zdrętwiałego aby się porwać z ziemi. Sił nie miał — miotał się w miejscu, obłąkanym wzrokiem, przestraszony jakiegoś pełnym wpatrując się w starszka...

Rysy twarzy malowały zdumienie i niedowierzanie; czekać się zdawał na to ażeby mnich doń przemówił.

O. Otton nie rzekł słowa, ręką tylko badał ciało, a widząc osłabienie, którego głód i zmęczenie mogły być przyczyną — zwrócił się ku koszyczkowi swojemu. Szczęściem leżała w nim owa mała flaszczenka wina, którą mu ojciec Augustyn na drogę narzucił. Dobył ją dziękując Bogu i po-

śpieszył do ust przyłożyć wycieńczonemu, który jeszcze poruszyć się nie mógł. Ostróżnie po kilka kropel wlewał mu w zaschłe wargi, i natychmiast prawie życie wracać zaczęło. Głowa się dźwignęła pierwsza, ręka rozprostowała, i myśliwiec siadł zwolna, opierając o pień, który miał za sobą. Żrenice jego ani na chwilę nie schodziły z tego co go ratował.

Mówić czy nie mógł, czy nie chciał jeszcze... Gdy po raz drugi czy trzeci O. Otton flaszeczkę swą do ust mu przyłożył, oczy się jego zapaliły, drgnął i ręką odpychając go zlekka, wołać począł głosem ochrypłym.

— Klecha! jadem poi! klecha...

Nic nie odpowiadając na to Otton, potrząsł tylko głową smutnie.

— Znasz ty mnie? odezwał się głośniejszym głosem.

Na to pytanie O. Otton nie rychło się zebrał na odpowiedź, głowę spuścił, zamyślił, blada jego twarz oblekła się jakby dziewiczym rumieńcem, gwałt widocznie zadawał sobie — i rzekł cicho.

— Nie.

Nieznamy zdumiał się i patrzył nań brwi marszcząc. Zwolna oczy jego zeszyły z mnicha i błędzić poczęły dokoła po lesie, padły na psy, potem się potoczyły po drzewach i okolicy.

— Nie znasz mnie! rzekł jakby sam do siebie — a pociąg mnie do życia ocucił? — Klecho!



chcesz abym męczył się dłużej... Wszyscyście tacy, przez miłosierdzie męczycie! Wtém oko jego padło na róg wiszący u boku, wziął go w rękę. Był to złamek już tylko, który nie mógł wydać głosu, odrzucił go wprędce. Pragnienie paliło — głód dokuczał i zapomniawszy się ręce obie wyciągnął do flaszeczki, którą mnich trzymał przed nim, chwycił ją, a raczej wyrwał, nachylił i nie dając sobie odebrać, wypił do dna, potem z pogardą i szyderstwem, rzucił precz w krzaki, dziłko się śmiejąc.

Na wycieńczonym człowieku napój w mgnieniu oka skutkować począł, oczy zajaśniały, twarz zadrgała, lice poczynalo się rumienić. O. Otton z początku z przestachem na to patrzył, potem z radością, życie jeszcze niewyczerpane powracało.

Mnich, chociaż sam głód czuć poczynął, zwrócił się do koszyczka, przypomniawszy chleb i sér, który miał z sobą. Na widok jadła, myśliwiec przegiął się cały ku niemu, i znowu dłonie wyciągnął niecierpliwie. Niezostawując nic dla siebie mnich oddał co miał.

Ze zwierzęcą chciwością rzucił się na chleb wygłodniały, nie patrzył na księdza, cały w sobie, jadł żarłocznie i śmiał się. Raz na żywego jeszcze psa spojrział, jakby z nim podzielić chciał strawę, lecz głód przemógł — pożerał nie oglądając się więcéj.

Życie wracało coraz widoczniej, poruszał się swobodniej. Uradowany dziełem swoim, O. Otton pomyślał że woda świeża byłaby pożądaną dla głodem zgorączkowanego człowieka, poszedł więc po flaszkę leżącą w krzakach, która szczęściem nie rozbiła się całkiem, wyszukał ją i spuścił się ku strumykowi z gór biczącemu, aby w nim zaczerpnąć.

Uradowany niosąc ją wrócił ze świeżym napojem do myśliwca, który nie mówiąc nic, wodę chciwie wysączył. — Po pierwszych słów wymianie nie mówili do siebie. Nieznajomy człek zadumał się głęboko, potem popatrzył na O. Ottona i powtórzył mu pytanie.

— Znasz ty mnica!

Rumieniec oblał znowu twarz mnicha, który głową potrząsnął tylko, nie mówiąc nic.

— Weź twój kij — począł myśliwiec, weź koszyk i idź, idź — idź! Widzisz, miecz mam u boku, zabiję cię. Zabiję cię dla sukni którą nosisz, dla tego żeś mi życie przywrócił, że klechów cierpieć nie mogę, że potrzebuję krwi... Idź — zabiję!

O. Otton nie poruszył się z miejsc, a myśliwiec mówił mruczając sam do siebie.

— Wszyscy tacy! Nic ustąpi żaden... węże zjadliwe od których zabójstwa puchnie człowiek i umiera...

Noga kopnęła, jakby mnicha chciał potrafić,

który z głową spuszczoną, z rękami złożonemi, zdawał się modlić po cichu...

— Psy pozdychały — a ja nie mogłem! odezwał się myśliwy. Trzy dni, dwie nocy i śmierć nie przyszła...

O. Otton zwrócił ku niemu oczy.

— Bóg miłosierny, chce ci dać życie, abys się do niego zbliżył, pokutował i umarł rozgrzeszony...

Te słowa jak piorun podziałały na myśliwca, chciał się zerwać z ziemi.

— Klamco! znasz mnie! krzyknął chwytając za miecz — znasz! Kto cię tu przysłał?

— Pan Bóg — odparł mnich spokojnie. Siedzący pod drzewem nie odpowiedział, ręką tylko dał mu znak aby precz szedł — lecz O. Otton się nie ruszył. Korzystając z milczenia, począł mówić głosem spokojnym.

— Znam cię — rzekł — choć tegom ci mówić nie chciał. Znam cię. Byleś królem, zostałeś zbójcą — jesteś grzesznikiem, a pokutą zbawionym być możesz. Dla tego ja, robak mizerny, nie wahałem się napoić wyklętego i nakarmić, narażając duszę własną, bym ocalił twoją.

Król Bolesław, on to był bowiem, uśmiechnął się szydersko patrząc na mnicha.

— Mojćj duszy nie nie dobędzie ze szpon szatana — zawolał — wy to klechy oddaliście ją jemu, a teraz litujecie się nad nią? Idź — idź — i daj

mi tu zdechnąć ze psami. Zaszedłem na puszcę, aby ludzkie oko mojej śmierci i szatanów co po duszę przyjdą nie widziało... Idź bo zabiję! Dwu klechów czy jeden, nie zaważy więcej...

To mówiąc Bolesław, wziął powoli za miecz, dobył go na wpół z pochew. i przypatrywać mu się zaczął.

— Ten sam — rzekł cicho — ciąłem go w czaszkę! Kość pękła, tak mocno gniew rękę pędził. Nigdy tyle krwi w jednym nie było człowieka... nigdy! lała się strumieniami — oblała mnie — ich... próg, kościół, popłynęła strumieniem do Wisły... Rzeka potem stała czerwoną rok cały! Tyle krwi? w jednym człowieku!

Zadumał się król, i począł nieco spokojniej.

— Klecho? prawda to? musisz wiedzieć? prawda że mi dadzą straszną pokutę? straszniejszą niż cesarzowi, który nie ubił żadnego mnicha... Boso, z powrozem na szyi, od kościoła do kościoła przez cały świat iść, w koszuli jednej, podpasanemu stryczkiem... obrzuconemu błotem, oplwanemu przez gmin... smaganemu przez oprawców?? prawda to!

O. Otton zamyślony patrzył nań.

— A! gdyby nawet taką była pokuta — rzekł — a po niej otwarło się niebo jasne, i Chrystus z krzyża schodząc otworzył ci ramiona, aby grzesznika do piersi przycisnąć? Gdyby krwawym

oblanego potém, anioly na skrzydłach wniosły do niebieskich przybytków wiekuistęj chwały!

Król głową potrząsł, i spytał.

— A — ta krew? ta krew?

— Łzy zmywają krew nawet — odparł O. Otton — a jedna łza unosi z sobą potoki... lecz trzeba aby z głębin serca trysnęła.

Bolesław milczał i jakby już nie słuchał mnicha, począł:

— Ludzie psów nie warci! Słyszysz klecho. Psy pozdychały dla mnie, a ludzie opuścili wszyscy. Nie mogę powrócić do ludzi, ani do świata, ani do państwa mojego, ani w tę gościnę węgierską, z której mnie kosemi oczyma pędzą — mnie, com posadził tego słomianego króla na tronie, com państwo jego mógł wziąć i trzymać, mnie!! — Nie — tu zdychać trzeba...

Pochylił się ku O. Ottonowi.

— Daj mi jakiego jadu, trucizny, takićj żeby duszę wypędziła z ciała jak strzałę z łuku; dam ci...

Tu począł się oglądać po sobie.

— A! nie mam ci co dać — chyba miecz ten na którym przyszła krew twojego brata. Nie mam nic, rozdałem wszystko. Daj jadu przez miłosierdzie, słyszysz, daj jadu, bo cię zabiję — jadu! jadu mi daj!

Podnosił głos i sunął się ku mnichowi, który cicho rzekł tylko.

— Jadu nie mam — lekarstwo ci znaleźć mogę.  
Król oczy w niego wlepił.

— Chodź ze mną, mówił mnich... Tam, u stóp góry, klasztor nasz stoi, cichy, oddalony, spokojny, gdzie możesz niepoznany odbyć pokutę i zbawić twą duszę... Klasztor — tak mówił Otto. Klasztor, to jest kruchta niebieskiego kościoła, gniazdo ciche w pustyni. Oko ludzkie widzieć cię tam nie będzie. Przywdziejesz suknię, poczniesz służyć Bogu, jak dotąd służyłeś grzechowi... Bóg zmiłuje się nad duszą twoją.

Bolesław potrząsł głową, i zamiast odpowiedzi, pokazał mu do pół obnażony miecz. Czy chciał przez to powiedzieć mu jak wielki był grzech jego, czy grozić, O. Otton nie ustąpił.

I nadeszło południe. Siedzieli jeszcze, rzadkie wymieniając słowa, mnich nie odchodził. Głód i pragnienie mu dojmowało, poszedł je ugasić w strumyku, z którego dłonią zaczerpnął wodę, wrócił i siadł przy królu.

Ten leżał znów na ziemi, patrząc w górę, niechcąc widzieć mnicha, ani z nim mówić.

Słońce zaczynało się pochylać ku zachodowi — oba nie ruszyli się z miejsca jeszcze.

Wieczorem niepokój wielki panował w Ossiac-kim klasztoru, O. Ottona nie było! Zwykle powracał na wieczorne w chórze modlitwy, O. Augustyn lękał się bardzo aby starca biednego jaka przygoda nie spotkała w górach, zwierz dziki,

upadek ciężki, kalectwo, oblęd w lesie, lub zbój jaki włóczęga. Posłano dwu młodych nowicjuszków ku górcom na zwiady, nie każąc się im oddalać bardzo, powrócili przed nocą, smutni, nie znalazłszy ani śladu, ani wieści o O. Ottonie. Przy modlitwach wieczornych i nocnych, bracia dołączyli jedną na intencję staruszka.

Następnego poranka nie było go jeszcze, trwoga coraz większa opanowywała zakonników, którzy kochali O. Ottona. Już miano najętych ludzi wyprawiać do lasu, aby przynajmniej ciało znaleźć i pogrześć je po chrześcijańsku, gdy około południa, wbiegł nowicjusz do przełożonego z radością wielką i przyklękawszy, w rękę go całując, oznajmił mu iż na drodze od lasu widać było wracającego O. Ottona, który z sobą wiódł jakiegoś, o ile zdala rozpoznać było można, chorego czy osłabłego człowieka.

Natychmiast wysłano naprzeciw, dwu młodych braciszków, gdyż idący wlekli się tak zwolna, jakby posiłku i pomocy potrzebowali.

Sam O. Augustyn stał w progu czekając na przybywających.

Nie rychło do furty się przywlekli, przodem starszek, żwawy jeszcze, choć zmęczony trudem i głodem, za nim podtrzymywany przez braciszków, mężczyzna który z głową zwieszoną, włókł się zaledwie mogąc utrzymać się na nogach. O. Otton opowiedział po cichu przełożonemu,

jak go znalazł zgłodniałego na puszczy, i że człowiek ten grzesznikiem był, który naprzód dobrowolnej śmierci szukał, potem do odbycia w klasztorze pokuty w sukni zakonnej, dał mu się naklonić.

Przybyły, jakby poprzysiągł na milezenie, nie odzywał się ani słowa, dał się naprzód zaprowadzić do izby przeznaczonj dla chorych, i tu legł na postaniu, kilkanaście dni w gorączce pilnowany przez jednego O. Ottona, gdyż nikogo więcej doń nie dopuszczano.

Gdy po dwu z górą tygodniach wyszedł z infirmerji, ów chory nieznany człek; ci co go tu przybywającego widzieli, ledwie oczom swoim wierzyć mogli, tak strasznie był zmienionym.

Legł na łoże olbrzymem silnym, wstał z niego niemal kościotrupem, obleczonym skórą. Zmieniło go to, że włosy mu ostrzyżono jak wszystkim nowicjuszom, suknię czarną wdziano, i począł od tego dnia pełnić w klasztorze posługi, które z kolei przyjmowani do zakonu braciszkwowie spełniali.

Przypadło nań noszenie wody, rąbanie drew, posługa kuchenna, motyką przygotowywanie roli na ogrody, a choć wychudły człek zdał się na oko bezsilnym, nikt mu nie zrównał w ciężkiej pracy. Owszem zdawała mu się ona ulgę przynosić i czynić przyjemność, tak gorliwie, tak zapalczywie rwał się do niej.

Wstawał o brzasku, szukał zajęcia do nocy, a gdy czemu inni podolać nie mogli, biegł jakby



życia się chciał pozbyć — gdzie był największy trud i niebezpieczeństwo. W kościółku zrazu rzadko się ukazywał, stawał w kruchole lub progu i dalej iść nie chciał. Obudzał w klasztorze powszechną ciekawość, gdyż i z postawy i z ubioru, który zrzucił przybywszy, domyślano się w nim możnego jakiegoś pana. Inni mieli go za leśnego zbójcę, który w górach długo był postrachem podróżnych, nikt jednak nie wiedział nic o nim, a O. Otton milczał.

Trafiło się że do ustronnego klasztoru zajeżdżali czasem panowie możni, z Węgier i słowiańskich krajów jadący, stając tu na noc gospodą. Naówczas, zapewne za pozwoleniem przełożonego, braciszek, któremu dano imię Pawła, nie ukazywał się wcale. Krył się w budzie ogrodowej, zamykał w celi i do posługi nawet nie wychodził.

Najbardziej to było uderzającem, gdy we dwa miesiące po przybyciu jego do Ossiaku, wieczora jednego, kilkunastu polskich rycerzy, przebywających na dworze króla węgierskiego, do klasztoru przybyło. Byli to pozostali do końca przy Bolesławie, królowej i młodym Mieszku Boleszezyce.

Jak wszystkich podróżnych, O. Augustyn przyjął ich gościnnie. Braciszek Paweł, gdy im wrota na podwórze otwarto, niósł właśnie na plecach wiązkę drzewa, pod którą szedł zgarbiony, znikł

natychmiast w kuchni, i cały wieczór, a następny rano szukano go na próżno.

Ułęknięto się nawet, czy mu się eo złego nie stało, ale O. Otton pobiegł do przełożonego, a O. Augustyn, powiedział że sam posłał Pawła z poleceniem jakimś od siebie, na uowiny, które właśnie karczowano.

Boleszezyce, przyjęci w izbie dla obcych przeznaczonój, mówili tylko z O. Augustynem i Ottonem, którego zaraz poznali. Zapytał się staruszek co poczynali i jak im było na świecie... Pytanie to było nawet zgoła niepotrzebne, bo jedno spojrzenie na nich uczyło, jak ta rzeźka i świetna młodzież wiele cierpieć i strasznie przyboleć musiała.

— Mój ojcze — zawołał Dobrogost do staruszka, bo Borzywój, dawniej najmowniejszy, teraz niemal mowę postradał — mój ojcze — nie pytajcie lepiej, abyśmy odpowiadając wam serca sobie nie krwawili. Nieszczęsna to była godzina gdy się z Kijowa wróciło, wojen poprzestało, a doma ze swemi wojować rozpoczęło.

Nie byliście już pono w Krakowie, gdy króla i nas z nim preez wyparto, po oném zabójstwie Biskupa. Jechał Bolesław w tój jeszcze nadziei, że powróci z potęgą wielką i kraj zmusi do posłuszeństwa...

Z pańskim przepychem i okazałością przyjechaliśmy na Węgry, a nie można rzec aby nas

tam źle przyjęto. Ale pan nasz serce miał uciśnięte i myśli pomieszane. A zamiast za gościnę królowi węgierskiemu być wdzięcznym, tak się z nim obchodził, jakby on mu podległym był.

Król i to od dobroczyńcy znosił, ale panowie węgiersey szemrać, sarkać i burzyć się poczęli. Więc gdzieśmy pokoju i druhów szukali, znaleźliśmy nieprzyjaciół i nowe utrapienie.

Król jak w domu ze wszystkiego się uragał, tak i tu lekcewazył wszystko. Z dumy swój nie ustąpił na włos, ani się chciał dać ugłaskać... Ciężkie z nim były godziny nasze; a co przyszło wycierpieć i każdemu z nas, i wszystkim nam, jednemu Bogu wiadomo. Im bardziej doskwierało nieszczęście, a z Polski gorsze wieści dochodziły, tém on na przekór szaleńszym był i rozpasańszym.

Kilka razy we dworze się przyszło zamykać i u ostrokołów bronić przed nacierającymi Węgrami, których gościnności ani chciał szanować, ni być wdzięcznym za nią.

— Ja tu panem jestem — mówił głośno. Kto króla wam dał, kto spokój przywrócił? ja — króla macie z ręki mojej — kraj wasz, kraj mój.

I tak też poczynął sobie jakby doma, a gdyśmy Borzywój, ja, Drużyna, Miszko i inni prosili go aby się miarkował, nogami nas kopał i psami lajał...

Królowej płacz na nic się też nie zdał, chyba

żeby go do większej pobudzić złości. Milczeć trzeba było i cierpieć.

Zdalo się czasami, nocą zwłaszcza jakby rozum postradał, bośmy sypiając u drzwi słyszeli, jak sam z sobą mówił i krzyczał, iż strach brał. Odzywał się jakby przed sobą Biskupa widział stojącego, to wołał Krysty, to innych pomarłych i pobitych — potem się śmiał, głową o ścianę tłukł, psy swe mordował, a potem gdy nazajutrz wstał, znów rozum miał, tylko milczał i patrzył okrutnie, aż krew w żyłach zastygała.

Posyłał raz w raz to na Ruś, to do Polski, od jednych posiłków żądając, a w domu chcąc do siebie rycerstwo przeciagnąć. Rusini ani myśleli ruszyć za niego, chyba dla siebie, a rycerstwo znać go i nas nie chciało. Tylko kto tam poszedł, każdy się wstydu napił i z ciężkiem sercem powracał...

Jak się dowiedział że do księcia Władysława posłano, aby po nim koronę wziął, zaraz do niego wyprawił, aby się nie ważył jej tknąć — bo ją życiem przypłaci. Książę też i tak obawiał się—i uchodził, krył się aby go nie kuszono.

Namówić go chcieliśmy aby syna z królową posłał, któremu by stryj za opiekuna mógł służyć ale za to omal mówiącego nie zabił, twierdząc się pauem, i zapowiadając że nazad mścić się powróci.

— Cóż się z nim stało? zapytał O. Augustyn.

Na to Dobrogost i Borzywój westchnęli tylko.

— Nikt nie wie, rzekł pierwszy z nich. Będzie temu dwa miesiące, gdy się z nami na łowy wyprawili, właśnie w te okolice. Nie dalej nad mil dziesięć ztąd nocowaliśmy. — Król przez pierwsze dni łowów, chmurniejszy był i gniewliwszy niż zwykle. Zaraz drugiego dnia psiarczyka pięścią w czoło uderzył i na miejscu go położył. — Biegł z koniem tak, nie zważając na przepaście, na góry, na nic, iż zdało się że chyba śmierci szuka, my za nim ani podążyć, ani z nim zrównać się nie mogliśmy. Trzech konie postradało, bo karki pokrećiły, Andrek rękę wyłamał, Sreniawa żebra potłukł. Na noclegu, gdyśmy się opowiadali, ani słuchać chciał.

— Licho bierz tych co koni nie mają, a kto kaleka niech do jamy rusza i liże się.

Nikomu nie dał słowa dobrego.

— Wszyscy karki pokrećcie, powiedział mi — nie będę po was płakał. Tak z wami jak bez was.

Zmniejszała się liczba nasza, a król na to nie zważał. Ostatniego dnia, sześciu nas zostało, obejrzal się, policzył oczyma, splunął, zaśmiał się i ruszyliśmy w lasy... Do południa zwierza nie było, pomordowaliśmy się srogo, konie ledwie się wlekły, padały, trzeba było stanąć na popas i spoczynek. My też popadaliśmy na ziemię jak nieżywi, jeść się odechciało, byle spać. — Zasnęliśmy twardym snem, postawiwszy Miskę Drużynę

na straży, aby zbudzić było komu gdy znowu nas popędzi.

Budzi mnie Miszko — wstawaj — myślałem że jechać czas, rzuciłem się do konia. Wtém Drużyna powiada:

— Króla niema.

— Jakto, niema?

— Gdyśmy stanęli, parę psów ze sobą wziął najulubieńszych i poszedł w las, zakazując aby za nim nikt się iść nie ważył. Powiedział że powróci, aby nań czekali.

Tymczasem i słońce się ku zachodowi schylać zaczęło — a króla ni słychnu. Sądząc że się obłąkać mógł, wzięliśmy się w rogi trąbić bez ustanku, jeden po drugim, co jeden się zmordował, poczynął z kolei inny. — Król z sobą róg wziął, nasłuchiwalismy czy nie zatrąbi — ani słychnu!

A tu — noc.

Rozpaliliśmy więc ogień ogromny, aby na lunę się mógł kierować, nie śpiąc przesiedzieliśmy noc całą, do rana. Nie było go. Dopiero straszna ogarnęła nas trwoga, jak tu powrócić do królowej, co powiedzieć? Ludzie co widzieli srogie pana obchodzenie się z nami, posadzić nas mogli, żeśmy go nawet zabili!

Jeliśmy tedy dokoła las cały strząsać, przeszukiwać, biegać po nim, ludzi w pomoc brać; po osadach i chatach zaglądać, czy gdzie nie dostaniemy języka. Nigdzie nikt nie widział go, nie

słyszał o nim — śladu najmniejszego... Dziś już tylko chyba trupa szukać trzeba — bo żywym być nie może. Obląkał się pewnie na puszczy i z głodu zemrzeć mógł. O. Augustyn dziwnie popatrzał na O. Ottona, i odezwał się do Boleszczyców:

— Powiedźcież nam jak ten wasz pan wyglądał, abyśmy na wypadek i drugim o tém oznajmić mogli?

Dobrogost zaraz począł opisywać, jakiej był postawy, włosa, jaki przy sobie oręż miał, suknię, jako chodził i mówił.

Gdy to mówił O. Augustyn patrzył na O. Ottona, a staruszek, ręką po twarzy tarł i rumienił się jakiś niespokojny. — Wieczorem gdy się rozmowy skończyły, przełożony kazał za sobą iść O. Ottonowi do swojej celi.

Gdy weszli a drzwi się zamknęły za nimi, odwrócił się ku niemu i rzekł, ręce mu kładnąc na ramionach...

— Ten jest o którym opowiadają! Ze złożonymi na piersiach rękami, ukląkł staruszek.

— Przebaczcie mi — odezwał się — zgrzeszyłem kłamstwem wielkiem, ten jest. Spowiadam ci się, ojcze, żem to uczynił, abym duszę jego zbawił — pokutę mi naznaczcie, choćby najsroższą, najstraszniejszą, a nieszczęśliwego mordercę nie wyganiajcie od progu tego, i niech miłosierdzie pańskie nań zstąpi.

— Ojcze mój — odezwał się przełożony — nie

na pokutę zasłużyliście, ale na chwałę... Niech się stanie jako Bóg zrządził przez was.

Natenczas O. Otton opowiedział dopiero, jak go ów ptak niebieskoskrzydlaty wiódł cudownie podlatując aż ku miejscu temu, na którym króla znalazł, i oba wielbili Opatrzność Bożą.

Nazajutrz rano już się Boleszczyce wybierali dalej jechać, gdy Zbilut, który ciekawy był wszystkiego, ogród postrzegłszy klasztorny, a w nim kwiaty i różne ziele i drzewa, które mnisi z cieplejszych krajów tu z sobą przynieśli — zapragnął bardzo wirydarzowi onemu zbliśka się przypatrzyć. Na to pozwolenia nie było trzeba, więc wszedł...

Król w sukni zakonnej braciszka, brudnej i starzej, właśnie schroniwszy się do budy ogrodowej, siedział w niej, nie spodziewając się wcale, aby tu który z Boleszczyców miał się zjawić, gdy Zbilut stanął przed nim.

Stanął, spójrzył i osłupiał

Poznał zaraz, choć wychudzoną, twarz królewską, ale oczom nie chciał wierzyć. — Zerwał się król i dawny gniew go opanował, tak że się na Zbiluta rzucił, jakby go chciał zamordować, ano wnet opadły mu dłonie i sam na ziemię padł, twarz kryjąc w dłoniach. Zbilut mu się też u nóg położył, płacząc i z radości że pana znalazł i z liłości nad stanem jego.



Wtém król się podniósł i głosem zmienionym, prosić począł aby tajemnicy jego nikomu nie wydawał. Zbilut poprzysiągł ale do nóg jeszcze raz padł, aby braciom jego widzieć się pozwolił. Bolesław nie przystał na to, jednego tylko Borzywoja do siebie zawołać kazał. Gdy inni śniadali, o niczém nie wiedząc, Zbilut brata starszego królowi przyprowadził, z którym Bolesław tylko krótką mówił chwilę — nakazując im powracać do królowej, Mieszka i pani téj strzedz, a im pozostać wiernemi.

Wyjechali Boleszczyce z Ossiaku nazad — i wprost do Wielisławy zdążali, aby spełnić ostatnie pańskie przykazanie. Borzywój, który na tajemnicę nie przysięgał, długo ją trzymał, aż raz, gdy królowę widział wielkim żalem zdjętą nad zgonem męża, bo wieści chodziły straszne, nie wiedzieć przez kogo rozsiewane, że go psy rozszarpały, czy że sam śmierć zadał sobie — ulitowawszy się boleści jój, opowiedział o wszystkim jak było.

Radość królowej nadzwyczajna, o mało tajemnicy nie zdradziła, lecz Borzywój uprosił ją by się miarkowała i niewydawała króla, który pokutą oczyścić się pragnął. Wymogła tylko królowa na nim, w rok potém, aby on sam jeden, nikomu nic nie mówiąc, do Ossiaku znowu jechał, pozdrowienie od niej zawiózł, i o rozkazy dla Mieszka i jój prosił. Borzywój, wiedząc iż nie-

nile przyjęty będzie, prawie rok się ociągał z podróżą; wreszcie uprosić się dał i pojechał...

Było to już jesienią, drogi nie bardzo bezpieczne, dni krótsze, dosyć że podróż dłużej trwała niż Borzywój rachował, i ledwie postradawszy dwa konie do klasztoru się dostał.

Przełożony poznał go zaraz.

Zapytał o O. Ottona.

— Pogrzebaliśmy go téj wiosny, odpowiedział O. Augustyn, i żał nam go, bo nie łatwo kto zastąpi człowieka co wszystko umiał, a pokorny był jakby nie znał nic...

O króla zapytać się nie śmiał i nie wiedział jak Borzywój; wtém sam przełożony zagadnął go.

— Wszak z polskiej ziemi jesteście?

— Tak jest — rzekł Borzywój — i służyłem na dworze króla, który —

— Któregośmy tu pochowali, dodał cicho O. Augustyn.

— Umarł!! odezwał się z wyrazem głębokiego żalu i zdumienia Boleszczyc — umarł!!

— Skończył przykładowie — rzekł O. Augustyn powoli. Pan Bóg mu dał śmierć lepszą niż było życie. Dziś nie jest to już dla nikogo tajemnicą, chociaż umierający życzył sobie, aby ani o jego zgonie, ni o miejscu pogrzebu nie wiedziano a przynajmniej nie rozgłaszano po świecie. Kazał na pamiątkę pokuty, nad grobem jego ka-

mień położyć. Zobaczycie go przy kościele na cmentarzu.

— Człowiek był jeszcze nie stary, silny! zawołał Borzywój.

— Ale go złamało życie, zgryzota, upadek... mówił przełożony. Jeśli się nie mylę, wyście go tu widzieli już w sukni naszej, naówczas był wychudły i zwiędły, później zamęczył się sam pracą do upadłego dobrowolną. Była to natura gwałtowna i namiętna, która potrzebowała być czynną, a gdy dobrze czynną być nie mogła — naówczas szalał ją porywał. W klasztorze na chwilę nie można go było namówić do spoczynku. Najcięższa robota najulubieńszą dlań była. Gdy pot ciekł ze skroni, całe ciało drżało z wysilenia, siły się wyczerpywały, naówczas uspokajał się w nim ów duch buntowniczy. Gdy siedział beczynny gryzły go wspomnienia, pożerały myśli, zrywał się choć w nocy i biegł albo poruszać młyn, lub bić w stępie, lub drzewo rąbać... Nawet gdy już chorzał, na łożu go utrzymać nie było podobna. Do ostatniej godziny, ze złożonemi rękami domagał się, błagał roboty ciężkiej.

Najogromniejsze ciężary kładł na barki, zaprzęgał się nieraz do wozów, włókł kłody z lasu — a przytém pokarmu używał mało i wodę pił tylko... Zdawało się, że w ten sposób chce życie w sobie zgasić, a była go w nim jeszcze taka potęga i moc, że w zdumienie nas wprawiała.

Stary człowiek, król i mocarz budził się w nim jeszcze czasami, gdy rycerzy przybywających tu widywał; lecz zwyciężał w sobie te wybuchy i uciekał od widoków, które mogły je wywołać.

Raz nocowali tu sascy rycerze, którzy nad ranem wyjeżdżać mieli. Braciszek Paweł, gdyż tak się zwał między nami, szedł z wiązką drzewa przez podwórze, gdy jednemu z Sasów koń się wyrwał i począł dokazywać. Nikt się doń przybliżyć nie mógł, probowali z kolei i panowie i pacholki, tłukł ich wszystkich i kasał. Brat Paweł stał na progu wiązkę dREW położywszy przy sobie, zarumieniła mu się twarz, uśmiechał się szydersko. Nagle, jakby wytrzymać nie mogąc, zapomniawszy się, poskoczył do konia śmiało, pochwycił go u łba za wiszące cugle, a gdy się jeszcze wyrwał, ściągnął tak, że zwierze paść musiało. Wszyscy co na to patrzali, osłupieli z zadziwienia, podbiegł Sas korzystać z tego, że koń był schwycony, a brat Paweł jak zawstydzony i upokorzony, że w nim krew zawrzała, uciekł i skrył się.

W ostatnich czasach, i w ogóle w ciągu pobytu w klasztorze, prawie nie mówił do nikogo, nie obcował z nikim, od ludzi uciekał. Dopóki żył O. Otton słowo czasem przemówił do niego, po jego zgonie, zapytany tylko i zmuszony, odpowiadał słowem jednem na pytanie. Gdy mi dano znać, ciągnął dalej O. Augustyn, że dnia

jednego zaniemógł brat Paweł, zarazem źle wróżył o nim, bo choć chory, nigdy się nie kładł i pracować nie przestawał.

Poszedłem doń naówczas. Wybrał sobie na garści słomy posłanie w ciemnym kącie nędznej szopy, a gdy go do klasztoru chciał kazać przenieść, prosił mnie aby mu wolno było pozostać na tym barłogu. Mało życia już w nim było, dyszał strasznie, oddychać nie mogąc, oczy miał rozgorzałe gorączką, rzucał się niespokojny, czuł nadchodzącą godzinę ostatnią i walkę z żywotem nędznym, co go zamknąć miała. Chciałem mu posłać ojca Zacharjasza, który na ziołach się znał i na lekach, ale wszelkiej pomocy odmawiał.

Wieczorem zastałem go już na poły obłąkanego, z twarzą i usty spalonemi, lecz przyszedłszy do siebie spowiedź odbył przedemną i ostatni znak jaki jeszcze miał swojej dawniej wielkości, oddał mi swój pierścień królewski. — Zbliżał się zgon, chciałem go dopilnować w ostatniej godzinie, nie dozwolił na to, błagał abym się oddalił. Uczyniłem, oddawszy mu posługę, i na wieczną podróż opatrzywszy go sakramentami, czego żądał odemnie. Młodemu braciszкови tylko, niedaleko szopy siedzieć kazałem na wypadek gdyby wołał o co, lub posługi potrzebował. Umarł w nocy, po ciężkim samotném konaniu, w jękach i płaczu, a gdyśmy rano przyszli do ciała, znaleźliśmy je twarzą na ziemi leżące, z pięściami boleścią za-

ciśniętymi, z garściami pełnemi ziemi, którą darł konając...

O. Augustyn dokończył i westchnął, Borzywojowi lży stanęły na powiekach, gdy wspomniał wielkość i potęgę tego pana, który w takiej uędky i męczarniach żywota dokonał.

Poszli potem do grobu, u którego w ścianie kościółka wmurowany był już kamień. Niewprawna ręka jednego z braci wyciosała na nim rycerskie i książęce godło, naówczas na pieczęciach i na grobach władzę oznaczające i panowanie — konia. Dokoła w łacińskim języku, krótki napis świadczył, że tu — spoczywał — Bolesław, zabójca Biskupa Stanisława.

Dzień cały zabawiwszy w Ossjaku, Borzywój puścił się w drogę nazad ze smutną wieścią do królowej. W Krakowie już zmuszony do objęcia rządów, Władysław Herman króla zastępował, Mieszka i matkę jego wzywano napowrót do kraju...

---

## VI.

Wieczór był letni, skwarne go dnia, który zwykł burzę poprzedzać, nie było czém tchnąć, tak cisnęło brzemienne piorunami powietrze. Najmniejszy wie-  
tryk nie poruszał liści na starych drzewach, które  
wały Jakuszowickiego zameczyska porastały. Cisza  
smutna panowała dokoła, tém dziwniejsza, iż mno-  
giego ludu tłumy zalegały wały, podwórce, nawet  
gościniec prowadzący od zamku do maleńkiego  
kościółka drewnianego, który stał u stóp jego.  
Od niepamiętnych czasów takiego napływu ludzi  
nie widziano na spokojnym gródku Odolajowym.  
A był to lud po większej części rycerski, ziemia-  
nie i żołnierze, wszystkie plemie Jastrzębców,  
i ich powinowatych. Ani szczupła izbica, ni szopy,  
ni podwórce tego natłoku gości pomieścić nie  
mogły, stali więc, siedzieli, leżeli na wałach i na

łąc pod grodem, jakby wielkim obozem. I widać było, że nie wypadkiem się tu znaleźli, ale zwołani na uroczystość jakąś, która ich tu gromadziła, bo każdego przywdział jaką miał najlepszą zbroję, hełm i miecz — każdy się przystroił, jak go stało najczystiej. Rozrodzone plemie trzymało się w większej części gromadkami przy ojcach, dziadach i starszej braci, jakby poczty składając. Od starców siwych począwszy do wyrostków za ledwie z dzieciństwa wychodzących, wszystkie wieki stały się na to zawołanie. Na wszystkich twarzach widać było jeden wyraz jakiś pojęny, uroczysty, poważny. Mówiono po cichu, nigdzie śmiechu na ustach, nigdzie nawet żwawszego ruchu dostrzedz nie było można.

Najtłumniej gromadzili się starsi około izbicy, której okna były poodsuwane, drzwi wyjęte, a przez nie dostrzedz mogło oko światło we wnętrzu, z którego pieśń smutna, powolna płynęła, przerywana jękami płaczliwemi.

W środku izbicy, na wysłanem wysoko łożu, okrytém skórami niedźwiedziemi, spoczywało ciało Odolaja, wedle rozkazów jego odziane w szarą opończę, jaką nosił za życia. W skostniałe ręce krzyżyk mu dano, i krzyż stał w głowach, a przy nim dwu księży psalmy odśpiewywało...

Czekano na trumnę, którą właśnie czterech ludzi dźwigało na barkach. Ówczesnym obyczajem, była ona w jednym olbrzymim kłocu dębowym



wydrażona, a osobno niesiono wieko, które ją przykryć miało...

Prawie tak staro i zgrzybiało wyglądający, jak ten, którego na wieczny spoczynek odprowadzać miano, o kiju, przygarbiony, z włosy siwemi stał u drzwi Mszczuj Odolajów, wnuk najstarszy po Mieszkcu, zapatrzony w ziemię i jak nieprzytomny... Otaczali go dokola młodszy bracia, bratankowie i dalsi plemiennicy. Wszystkich oczy zwracały się ku temu starcowi. którego boleść wielka, litość obudzała.

Jaromierz, drugi z wnuków położył mu zlekka rękę na ramieniu i szepnął:

— Co się tak smucicie? wszystkich to nas los — na ostatku mogiła, a nasz dziad dożył takiego wieku, jakiego z nas żaden mieć nie będzie i należał mu spoczynek...

Mszczuj mileżał długo potrząsając głową, potem dobył się z piersi jego głos jakby grobowy:

— Dziada płaczę — rzekł — tak, ale i nad sobą też razem. Dobrze mu było do trumny się położyć, zostawując po sobie syny, wnuki i prawunki, mając komu przekazać ojcowiznę, imię i pamięć swoją. Nie tak ze mną! nie tak! Jam sierota! Ty wiesz... Z licznój rodziny mojej nikt mi nie został — nikt. Sam stoję nad mogiłą, nie będzie mi komu oczu zawrzeć... A! i sam ja winieniem sieroctwu mojemu...

Pomileżał trochę Mszczuj, patrząc w okno, jak

do trumny, na posłanie z chmielu i kwiatów kładziono ciało ojcowskie, potem począł znów cicho, jakby w sobie boleści wstrzymać nie mógł:

— Sześciu ich miałem! Nie byłoż mi na stare lata, by jednego sobie, jak kija do podparcia się zostawić. Wszystkich oddałem królowi i z nim mi oni wszyscy zginęli!

— Któż to więc! — odezwał się Jaromierz. — Wprawdzie głucho o nich, ale żywi są pewnie i wrócić jeszcze mogą!

— Jak? — podchwycił żywo Mszczuj — po co? Czyż nie wicie, że razem z Bolesławem wyklęci są i wywołani. Stary Odolaj się ich wyparł i przeklął; ziemię, co im przynależeć miała, zabrano i innym rozdano. Nie mają ni po co wracać, ni do czego... Kto więc zresztą, azali żyją!

Jaromierz go nie śmiał, czy nie umiał pocieszać. W tém przysłuchujący się rozmowie, milczący dotąd Bronko Jastrzębiec, rzekł cicho:

— Mówią, że syna Bolkowego Władysław wezwał do powrotu i matkę jego. Kto więc, azali i nasi z nim nie przyciągną. — Niedowierzajaco Mszczuj głową potrząsał.

— A z królem że co się stało? — spytał.

— Różne są mowy — odezwał się Bronko — gdzieś pono przepadł bez wieści. Prawdy nie dójść. Mówią, że oszalał — że uciekł gdzieś, że do Rzymu boso poszedł — drudzy, że w klasztorze pokutę sprawuje...

Mszczuj głowę podniósł.

— On! — zawołał z goryczą — onby miał pokutować! Szaleć i błąkać się może, ale z téj krwi się obmyć!! — hej! hej! zatwardziały to człek!

Ustała na chwilę rozmowa, gdyż księża zaśpiewali głośniejsz, trumnę zabijać miano... Ruszyli się synowie, wnuki i prawnuki żegnać raz ostatni Odolaję, i płacz się dał słyszeć bolesny. Klęcząca u trumny Tyta, zawodziła głosem jęklwym...

Więc szedł przodem najstarszy wnuk Mszczuj do dziadowskiej ręki, pokłękł i całował ją i płakał, za nim Jaromierz, Bronko i drudzy...

Nie wszystkich jednak do zwłok dopuszczano, gdyż zbyt wielka była gromada, a dalsi i najdalsi docisnąć się nie mogli — i trumnę zasypaną kwieciem zabijać poczęto...

Wzięli ją na ramiona synowie i wnuki i z wielką trudnością z ciasnych drzwi izbicy wynieść potrafili. Za trumną, odpychany napróżno, z głową spuszczoną włókł się Hyż wychudły, z najeżoną sierścią i zwieszonym ogonem...

Prowadzono też konia starego pod okryciem, na znak, iż Odolaj rycersko służywał, na którym łuk wisiał i strzały a toporek... Płaczki najęte prowadziła Tyta, szło duchownych dwu, dalej w porządku owe seciny rodu całego, gromadami przy swéj starszyźnie. Cały ten orszak z izbicy wyszedłszy, zwolna w podwórcę wyciągnął i ku

wrotom zmierzał... Z osad i wsi, które do Odolajowych ziem należały, wielkie gromady ludu, obok drogi do kościółka, stały ściśniętymi szeregami, w milezeniu z głowy odkrytymi. W kościółku odzywał się dzwonek powoli...

Dębowa trumna kołysząc się nad głowami niosących, już ze wrót zamku wychylała się na drogę, gdy tuż około niej idący, jakby widok jaki nadzwyczajny oczy ich uderzył, mimowolnie półgłosem krzyknęli.

Mszczuj, który zgarbiony dźwigał dziadowskie zwłoki, mimowolnie głowę podniósł nieco, i gdyby nie bratanek obok idący, możeby był padł na widok, który oczy jego spotkały...

Za gościńcem, naprzeciw idących, na koniach stało we zbrojach, czarno odzianych sześciu ludzi, stało i zdawało się miłosierdzia prosić. Z taką pokorą, z głowy pochylonemi — orszak witali pogrzebowy.

Byli to Boleszczyce, sześciu synów Mszczuja, których on już nigdy widzieć się nie spodziewał, a Odolaj wygnał precz, nawet na pogrzeb swój im niedopuszczając przybyć, wyłączywszy z rodu i plemienia — Boleszczyce razem z królem wyklęci i zatraceni, zjawiający się jakby cudem w Jakuszowicach w godzinie ostatniej posługi.

Nie śmieli oni wjechać na gród, ani się do orszaku przyłączyć — stali na uboczu, oczekując, jaki los i wyrok od własnej krwi ich spotka.

Na widok ich pobladło i zarumieniło się lice ojcowskie, chciałby się był rzucić ku nim, aby raz jeszcze dzieci uczuć przy sobie, ale dziadowski trumny nie godziło mu się opuścić...

Choć drżały pod nim nogi, musiał iść dalej.

Dokoła, mimo śpiewu i płaczu, szmer coraz głośniejszy było słyhać, odbijający się w sercu Mszczuja, to strachem jakimś, to nadzieją. W tłumach czuć było i oburzenie na zuchwalstwo, z jakim Boleszczyce się pokazać tu śmieli, i radość z ich ocalenia i przybycia. W mnogiej rozrodzonej rodzinie jedni byli za niemi, drudzy przeciwko nim.

Starszyzna prawie cała, sądziła ich nielitościwie a srogo, za to, że władzy ojcowskiej i dziadowskiej nie poszanowali; młodzież litowała się nad niemi i czuła, że poświęcenie się dla nieszczęśliwego króla, wiara dotrzymana mu — to co ucierpieli dlań, mogło im wyjednać przebaczenie. Głośniej jednak słyhać było oburzenie i szmery niechętne, niż objawy życzliwe. Nikt nie skinął na nich, aby pozsiadali z koni i z orszakiem się połączyli, nikt się nie zdawał ich widzieć, ani troszczyć niemi.

Sześciu Boleszczyców, jak stali na koniach szeregami nad drogą, tak pominięci, nie powitani, wzgardzeni pozostali sami jedni.

Dopiero, gdy przepłynął tłum cały i czeladź szła, a parobcy dworscy, oni też na drogę wje-

chali, i z tyłu jadąc za wszystkiemi, aż do cmentarza i kościółka się zbliżyli. Z rodziny wszyscy weszli w ogrodzenie, otaczające cmentarz, oni na koniach, przed wrotami się zatrzymali.

Trumnę niesiono naprzód do kościoła, gdzie odśpiewane być miały psalmy i dokonana reszta obrzędu... Na cmentarzu już obyczajem chrześcijańskim widać było wykopany dół, do którego ciało spłścić miano...

Stojący na koniach Boleszczyce, nie ruszyli się ztąd, do kościoła wniknąć nie śnieli... Kilkoletnie wygnanie patrzyło z ich opalonych i bladych twarzy.

Wszyscy postarzelisi nad miarę — a każdy rok tułactwa, dwoma i trzema zapisał się na licu marszczkami. Borzywój na pół był siwy.

Owych młodzieńców wesółych, rażnych, gotowych w ogień i wodę, poznać w nich było trudno. Między obcymi stracili dawną swą butę, przywieźli do domu znękaną niewczasami ciało i wymęczone dusze.

Stali, do siebie nawet przemówić nie śmiejąc, pogrążeni w smutku, a Andrkowi w oku łza się kręciła. Szmer oburzenia i niechęci, jakim ich przywitano tkwił im w sercach, więc się spodziewali litości u swoich. Nikt, nikt nie wyciągnął dłoni, nie powiedział dobrego słowa, mijali ich starzy, mierząc oczyma groźnemi, a młodzi spuszczać oczy.

Nie wiedzieli więc co się z niemi stanie, a nawet dokąd się po pogrzebie udać mieli. Na zamku przygotowaną już była stypa, w której wszystka rodzina miała zasiąść do żałobnych stołów. Gdy na cmentarzu pogrzeb się odbywał, na grodzie w podwórcach stawiano na prędcie z desek ukladane na pniakach stoły, gotowano mięsiwa i beczki piwa i miodu. Stosy chleba leżały przy nich, całe barany i kozły piekły się na ogniskach, a czeladź się około uczty krzątała.

Nie było bowiem naówczas najuboższego nawet pogrzebu bez stypy, którą po sobie pogański jeszcze zostawił obyczaj, a biesiady te niekiedy tygodniami trwały. Ów tysiączny lud i ród nakarmić nie było łatwą sprawą, choć nie wiele wymagano dla ugoszczenia, chleb, mięso, kasza, miód i piwo starczyło...

Na trumnę starego Odolaja sypał się już piasek żółty, którego pierwszą garść rzucił syn najstarszy, a Boleszczyce stali jeszcze niemi, zboleli, nie wiedząc, co dalej poczynać mają.

Wejrzenie ojca, z którym się spotkali, nie ich nie nauczyło, był w niem raczej przestrah niż radość, więcej przerażenia niż miłości rodzicielskiej. Znali ojca jako surowego i nieubłaganego sędziego, stali się mu nieposłusznymi, nie wiedzieli co ich spotkać miało...

Gdy tłum ze cmentarza miał zacząć odpływać nazad ku gródkowi, stojący u wrót Boleszczyce,

ustąpili znów na bok z drogi, a Borzywój postanowił czekać cierpliwie, czyli się nad nimi nie ulitują i nie powołają ich...

Tak na uboczu przystanawszy, oczyma ojca szukali. Ukazał się Mszczuj wreszcie, ale zesłabły znać wzruszeniem i niemocą dawniej złamany, nie sam już szedł, dwu bratanków synów Jaromierza prowadzili go pod ręce. Głowę miał zwieszoną i włókł się jakby nieprzytomny.

Za nim szła żywo i coraz głośniej rozmawiająca starszyczna rodu, a potem zmieszany tłum powinowatych i krewnych.

Śmielęj oczy wszystkich zwracały się ku Boleszczycom, ale nikt ani się zbliżał, ani słowa przemówić nie chciał. Mszczuj idący z głową spuszczoną, jakby unikał synów widoku, stanął nagle, podniósł niespokojnie oczy, drgnął, szukał wzrokiem dzieci swych, postrzegł i zdał się wahać, czy ma ich pominąć, czy przywołać...

Zatrzymał się tłum za nim idący — zamięszanie jakieś widać było. Mszczuj postawszy nieco, począł się ku synom przedzierać. Rozstąpili mu się ludzie...

Z groźną twarzą, przybliżył się ojciec ku stojącym, oczy mu się zaiskrzyły gniewem, usta zabełkotały coś niewyraźnie, lecz mówić nie mógł i ręce wyciągnął.

Wszyscy sześciu skoczyli w téj chwili z koni i przybiegli upaść mu do nóg.



Starzec łkał i płakał, dał im przystąpić, lecz ani tknął żadnego, ani się odezwał słowem...

Nareszcie przemógłszy ból i guiew — zawołał:  
— Na sąd idźcie!

I wskazał ręką na gród. — Na sąd jako winowajcy!

Starszyna powtórzyła za nim groźno: — Na sąd!

Mszczuj lekając się słabości własnej, dźwignął się ku zamkowi, a Boleszczyce konie zdawszy czeladzi, jak stali razem, połączyli się z tłumem wracającym z kościoła. Otoczeni byli rodziną, znajomymi, swoimi, lecz, jak od zapowietrzonych odsuwali się wszyscy, cofali się jedni, wyprzedzali drudzy — zostali sami, jak wśród obcych — odróżnieni, jak winowajcy.

Tak w milczeniu otoczeni złowrogim gwarem, musieli powoli ciągnąć na zamek, a droga wydała się im długą i nieskończoną.

Idąc, mogli dostrzedz, iż zapowiedziany na nich sąd, teraz się już przysposabiał, zwolrywali się i umawiali starsi, otaczali Mszczuja, i gdy przeszedłszy wrota szukali ojca oczyma, zobaczyli go ze stryjami idącego wprost do dziadowskiej izbicy.

W ślad z wolna ciągnęli za nimi. Kilka razy w pochodzie tym znajomsze spotkali twarze, probowali pozdrawiać krewnych, ale ci się odwracali. Chwilę postawszy przed izbicą, gdy niepewni

byli jeszcze czy czekać mają czy wchodzić. Jaromierz przez okno dał znak ręką, aby przybywali.

W pustą izbicy, w której jeszcze resztki po-  
grzebowego łoża niesprzątnięte leżały w pośrodku,  
na ławach siedzieli wedle starszeństwa stryjowie  
wszyscy, Mszejn na ich czele. Na kiju sparty  
nie spojrział nawet, gdy weszli i stanęli synowie

Nie podniósł on głosu, Jaromierz odezwał się  
pierwszy.

— Jakiście się tu zjawić śmieli? — zawołał —  
dla kogoście wypowiedzieli dziadowi i ojcu po-  
słuszeństwo — z tym sobie trzymajcie i giniecie  
z nim. Co tu robicie? Wyście nam obcy!

Borzywój wysłuchiwał gniewnego głosu, pomy-  
ślał chwilę i z wolna dobywając kawał pargaminu  
z za sukni począł:

— Król Bolesław nie żyje — umarł na poku-  
cie w klasztorze. Otrzymaliśmy przebaczenie ko-  
ścielne, wróciwszy na rozkaz księcia Władysława  
Hermana, odwożąc mu królową wdowę i syna  
Bolesławowego Mieszka. Wygnanie nasze z łaski  
nowego Pana się skończyło, wracamy z wywo-  
łania do praw innych ziemian królestwa tego,  
czyż tylko własna krew i ród odmówi nam łaski  
i przebaczenia?

Mszejn podniósł oczy szeroko otwarte i twarz  
mu się wyjaśniła; lecz inni wszyscy milczeli.

Na stryjach widać było zdumienie wielkie  
i nie dająca się ukryć niechęć. Znaczne ziemie

i posiadłości na Mszczuja przypadające, gdyby Boleszczyce przez ród swój zaparci i wyrzuceni zostali, przypadały bratankom — nie bardzo więc powrotowi i łasce radzi byli krewni. Ojciec odezwać się jeszcze nie śmiał, gdy Jaromierz począł.

— Mógł nowy pan łaskę uczynić — rzekł — w tém wolę swą miał, a nieboszczyk nasz dziad, któregośmy dziś pogrzebali, co rzekł, tego z mogiły nie odwoła, a co on wyrzekł, to my święcie spełnić powinniśmy. Słowa jego były, że znać was nie chce, jeśli króla nie opuścicie, prawem dla nas jego słowa! My was za swoich znać nie chcemy!!

Co głowa rodu postanowiła, to ród spełnić musi, inaczej na świecie ładu, posłuchu i rodu i domu i narodu nie będzie!

Zamilkł, inni spoglądali po sobie, Mszczuj głowę spuścił, milczał.

— Takli wyrokuje i ojciec rodzony na synów swych? — spytał Borzywój.

Mszczuj nie odpowiedział, głębokie pano wało milczenie, Jaromierz ze słowem pospieszył:

— Otrzymaliście łaskę pańską, wracacie jako ojczyce do ziemi tej z przebaczeniem... Co nam do tego? Idźcie sobie rodem osobnym Boleszczycami, a do nas się nie łączcie, nie chcemy was.

Dwóch stryjów powtórzyło za Jaromierzem — nie chcemy was!

— Takli mówi i ojciec rodzony? — odezwał się Borzywój.

Stary milczał wciąż z głową spuszczoną.

— Przynieśliśmy list królewski, który łaskę nam swą świadczy — dodał Borzywój — rozwijając kartę pergaminową.

Stryjowie popatrzali na nią zdala, lecz nikt z nich czytać ni pisać nie umiał i co stało na karcie, tajemnicą dla nich było. \*) Głowami strzęśli...

— Co książęciu do spraw rodu i domu? — zawołał z kąta Mieszko — Odolajowc słowo odwołane być nie może. Sam słyszałem od niego, gdy mówił, że na pogrzeb jego jeślibyście przybyć śnieli, czeladź kijni was od trumny przepędzi! Nie śmiała się porwać czeladź, a no my synowie i wnuki poszanować wolę nieboszczyka musimy. Dla was tu miejsca nie ma.

— Takli mówi i ojciec rodzony? — po raz trzeci odezwał się Borzywój ku Mszczujowi, pogładając.

Ojciec siedział jeszcze jak głuchy, osłupiały i bez życia, walczył z sobą, trząsł się i z oczu ku ziemi spuszczonych łzy mu ciekły.

---

\*) Długosz wspomina to pismo Władysława Hermana, pod r. 1084 „Et cum eo (z Mieszkiem) Borzywój filius Mstae, Zbilutus, Dobrogostus, Zema, Odolaj, Andreas et alii omnes milites, qui cum Boleslao rege in Hungarium effugerunt, omnia eorum mobilia ad plenum restituit.“

Milczeli wszyscy odpowiedzi jego czekając, podniósł głowę stary, spojrział na Borzywója i stojących za nim.

Ojciec rzekł głosem poruszonym:

— Ojciec pójdzie za dziećmi swojemi. Wyprze się ich ród, za wierność nieszczęśliwemu okazaną, niechże się i ojca wypiera...

Rękę wyciągnął do Borzywója:

— Sam tu rękę mi daj, chodźmy, a rozstańmy się z rodziną i braćmi i będziemy nowego rodu głową, gdy nas od tego, jako suchą gałąź odcięto...

Jaromierz i ci co przy nim siedzieli z ław powstali, zrobił się szmer; Mszczuj był teraz najstarszym głową rodu...

— Nie może to być, abys ty nas opuścił! — zaczęto wołać — nie może być! Ty z nami!

— Dzieci dla was się wyrzec nie mogę — rzekł Mszczuj. — Przebaczył im kościół, darował pan, a ród ma być nienbłagany?... Pogańska zemsta ma ciążyć nad nimi?...

Chodźmy ztąd! idźmy!

Borzywój i wszyscy synowie otoczyli starca i nie mówiąc słowa, zbierali się go wyprowadzić z izbicy, gdy we drzwiach szmer się dał słyszeć i w progu ukazał się duchowny.

Był to młody ów Jastrzębiec, którego biskup wrocławski na księdza wyświęcił. On teraz w Jakuszowicach na probostwie siedział; on starego

Odolaja przy skonaniu po chrześcijańsku na śmierć przygotowywał i wracał właśnie ze swego kościółka, gdy w izbie sąd na Boleszczyców zasiadł. Stał za progiem przez cały czas, zakryty przez innych, a teraz, gdy ostatnie słowa usłyszał, rozgarnąwszy stojących, wcisnął się do środka.

— O nieboszczyka Odolaja wolę chodzi? — rzekł cichym głosem.

Jaromierz wtrącił:

— Tak jest, bo wyraźna była i po stokroć nam wszystkim powtórzoną, iż tych, co z wyklętym królem trzymali znać nie chce i w rodzie ich cierpieć.

— Tak było — odczuwał się głosem łagodnym duchowny, lecz mogę wam kapłańskiem słowem ręczyć, iż na łożu śmierci przebaczył im, jak przebaczył wszystkim, co mu zawinili. Spowiadałem go i nie byłbym mógł rozgrzeszyć inaczej. Rzekł mi osłabłym już głosem:

— Żywbyim im nie darował nieposłuszeństwa, gdy każecie, muszę...

Zamilkli wszyscy.

Jaromierz syknął niechętnie. Mszczuj się zatrzymał. Stryjowie się wahali chwilę i pomiędzy sobą szepotali. Toczył się spór widocznie, który słowo duchownego przeważyło na Boleszczyców stronę.

— Jeżeli stary przebaczył — odczuwał się Jaromierz choć niechętnie — Bóg z wami! Stoję

przy jednćm, zwycięż się Boleszczycami nie Jastrzębcami, gdyście Bolesława przenieśli nad ród własny! Nie zapieramy się was — a pamięć tego, co się stało, niech zawołanie wasze zachowa po wiek wieków...

Nikt się już nie sprzeciwiał, nawet Mszczuj, którego otoczyli synowie, i tak w ich gromadce szedł starzec szczęśliwy ku stołom na stypę, a gdy z izbicy na podwórce się sędziowie i winowajcy wysunęli, otoczono ich i witać poczęto Boleszczyców, jako braci swych znowu... Dzień pogrzebowy był zarazem dniem zgody i przejednania.

I stypa wśród opowiadań o losach króla, o przygodach na tułactwie, o młodym Mieszku, którego Boleszczycy kochali wielce, nadzieje na nim pokładając wielkie, siedem dni się przeciągnęła. Mszczuj nie chcąc na Jakuszowicach siedzieć, ustąpił je najmłodszemu, a sam z synami w okolice Płocka, na Mazury powrócił.

K O N I E C.



Biblioteka Raczyńskich

**JK 541**



JK0541